

Dochodowe **biura poselskie** | Smutny los **in vitro** | 50 lat **wolnych sobót** | Ken Gosling  
Jak głosują **kobiety** | **Domów wczasowych** czar | Niewinny, aresztowany, **zniszczony**

ILUSTRACJA IRENEUSZ SZUNIEWICZ

POLITYKA.PL

# POLITYKA

LIDER  
SPRZEDAŻY  
1

TYGODNIK, nr 30 (3423), 19.07–25.07.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

## Kościół z partią, partia z Kościołem

Co ten sojusz daje PiS, a co hierarchom?

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



ISSN 0032-3500



9 770032 350305

30>

# Letnie łamanie głowy!

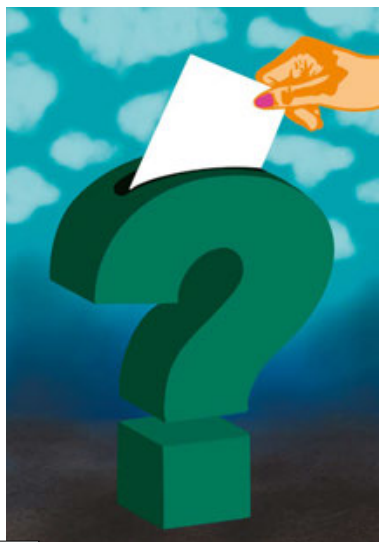
---



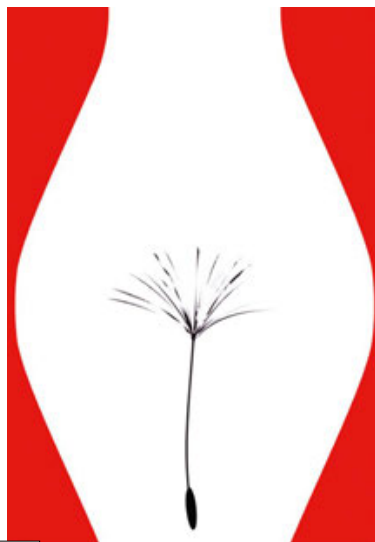
Zagadki logiczne, liczbowe, słowne i wiedzowe  
– każdy znajdzie coś dla siebie!

---

Do kupienia w kioskach oraz na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl)



15 Wybory Polek



24 Piekło niepłodnych



83 Ken, ten od Barbie

## Tematy tygodnia

- 12 Cezary Michalski  
**Czarny przekaz z Jasnej Góry**
- 15 Agata Szczerbiak, Aleksandra Żelazińska  
**Czy i jak chcą głosować kobiety**



## Polityka

- 18 Anna Dąbrowska, Violetta Krasnowska  
**Biura poselskie: ukryta skarbonka**
- 21 Janusz A. Majcherek OGLĄD I POGLĄD  
**Imigranci potrzebni od zaraz**

## Społeczeństwo

- 24 Paweł Walewski  
**In vitro 10 lat temu i dziś**
- 28 Juliusz Ćwieluch  
**Niewinny, aresztowany, zniszczony**
- 31 Agnieszka Sowa  
**Drugie życie rzeczy**
- 34 Dorota Nygren, Ryszard Holzer  
OGLĄD I POGLĄD  
**Jak uzdrowić media publiczne**



## Rynek

- 38 Juliusz Ćwieluch  
**Im mniej ryb łowimy, tym więcej ich przerabiamy**

- 41 Joanna Solska **Pół wieku wolnych sobót, teraz wolny piątek?**

## Świat

- 44 Krzysztof Katkowski HISZPANIA  
**Tu też będzie rządzić prawica?**
- 48 Tomasz Zalewski USA  
**Prezydenckie ambicje Roberta F. Kennedy'ego jr**
- 50 Adam Szostkiewicz  
**Victor Manuel Fernández – nowy numer 2 w Watykanie**

## Nauka/projekt pulsar.pl

- 52 Wojciech Mikołuszko  
**Dekolonizacja wiedzy**
- 55 Agnieszka Krzemińska  
**Co można wyczytać z ceramiki**
- 58 Paweł Walewski  
**Roboty zastępują chirurgów**



## Historia

- 60 Sławomir Leśniewski  
**Kogo w Polsce nie kochano**
- 63 Miłoś Reznik  
**Burzliwe dzieje zakonu jezuitów**
- 66 Adam Krzemiński ESEJ  
**Morskie opowieści**



## Kultura

- 74 Piotr Sarzyński NA WŁASNE OCZY  
**Domów wczasowych czar**
- 78 Aleksander Kaczorowski  
**Koniec ery Kundery**
- 80 Karol Jałochowski „Oppenheimer”:  
**co będzie w filmie**



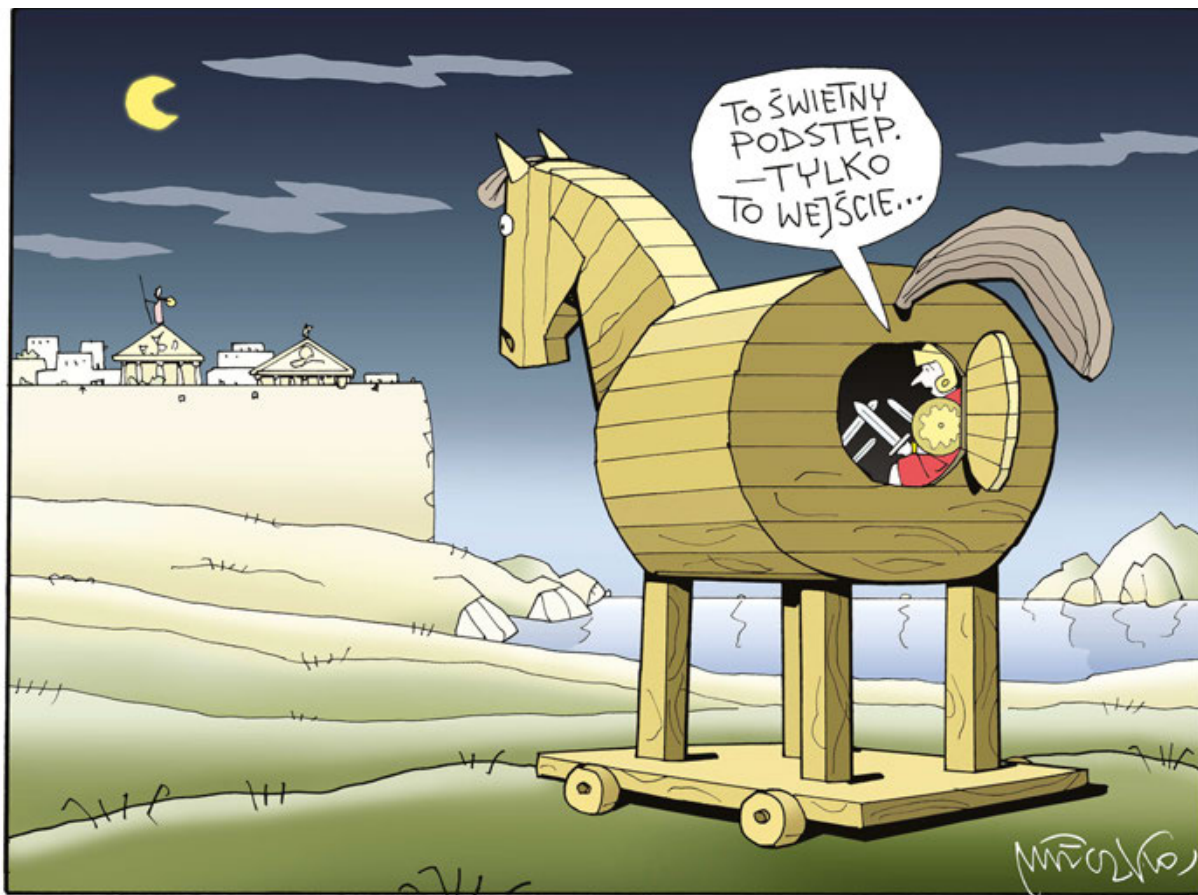
- 83 Janusz Wróblewski **Ryan Gosling: jak twardej został chłopakiem Barbie**
- 86 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

## Ludzie i style

- 92–97 • **Modne wyplatanie**
- Różowa bomba atomowa
  - Pracowakacje
  - O porażkach i pokorze
  - Ruch *no wash*
  - Atrakcje singletracków
  - Wina celebryckie

## Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Przypisy • 7 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 87 Passent • 88 Lis
- 89 Hartman • 91 Do i od redakcji
- 98 Polityka i obyczaj



## SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

## Co Sasin dorzuci Rydzykowi

Osłuszności polityki rządu PiS wobec imigrantów świadczy fakt, że w porównaniu z Francją, Szwecją czy Niemcami w Polsce imigrantów jest tylu, co kot napłakał, dlatego nie dochodzi do podpalania samochodów, rabowania sklepów i tworzenia zamkniętych gett, w których gwałci się kobiety i obowiązuje szariat.

Premier Morawiecki uspokaja, że skuteczne działania PiS „uchroniły nas przed paryskimi wydarzeniami w Warszawie”. Dzięki temu w Warszawie zamiast wydarzeń paryskich mają miejsce wydarzenia warszawskie (w Białymstoku – białostockie, a we Wrocławiu – wrocławskie), polegające na tym, że grupa patriotów spali budkę z kebabem, skopie sprzedawcę lub w geście niezgody na postępującą islamizację wyrzuci z tramwaju osobę o wyzywająco niepolskim wyglądzie. Na szczęście takie wydarzenia, w przeciwieństwie do wydarzeń paryskich, ani premiera, ani nikogo innego w Zjednoczonej Prawicy nie niepokoją.

Na skutek celnego ciosu rządu PiS, który po ironicznych uwagach Donalda Tuska wycofał się z własnego



rozporządzenia mającego ułatwić napływ do Polski 400 tys. imigrantów z krajów Azji i Afryki, niebezpieczeństwo zalania kraju imigrantami zmalało. „Tak działa skuteczny rząd” – wyjaśnił wicepremier Kaczyński. Zasugerował, że w celu powstrzymania fali imigrantów w przyszłości rząd nie zawaha się wycofać z kolejnych wydanych przez siebie rozporządzeń, które Tusk ujawni i skrytykuje.

W tych dniach minister Sasin podarował o. Rydzykowi miecz z czasów Mieszka I za ćwierć miliona złotych, bo – jak przyznał – „musimy bronić naszej wiary, religii i tożsamości wobec tych wszystkich zagrożeń, które mają miejsce”. Gestem tym minister aktywów państwowych potwierdził, że dla obrony polskiej religii i tożsamości gotów jest rozdać w prezencie wszystkie aktywa, którymi dysponuje.

Eksperti jednak podejrzewają, że miecz to tania niemiecka podróbka, w dodatku przez tysiąc lat stępsiał, dlatego niewykluczone, że Sasin zdecyduje się coś Rydzykowi w prezencie dorzucić. Miejmy nadzieję, że nie będą to wawelskie arrasy czy „Bitwa pod Grunwaldem”.

## Peru – Imperium Inków

Wspaniała natura pośród której odkrywać będziemy fascynującą kulturę prekolumbijską w tym tajemnicze rysunki z Nazca czy zaginione miasto Inków – Machu Picchu.

**Program wycieczki:** Dz. 1 Przelot Warszawa – Lima. Dz. 2 Zwiedzanie Limy: Huaca Pucllana – piramida w dzielnicy Miraflores, kolonialne centrum miasta, 2 największe place: Plaza San Martín i Plaza de Armas oraz kościół św. Franciszka. Dz. 3 Cudowne wyspy Ballestas (wycieczka łodzią), oaza Huacachina i tajemnicze rysunki w Nazca. Dz. 4 Przelot nad tajemniczymi rysunkami Nazca (wycieczka fakultatywna) oraz mumie z okresu przed inkaskiego. Dz. 5 Przejazd wzduż wybrzeża Pacyfiku z Chala do Arequipa. Dz. 6 Arequipa. Zwiedzanie kolonialnego centrum miasta z głównym placem Plaza de Armas, kościoła jezuitów La Compania i klasztoru św. Katarzyny. Dz. 7 Arequipa – Kanion Colca: królestwo lam, wulkanów i pustynnych stepów. Dz. 8 Kanion Colca: kondory i miasto Cabanaconde. Dz. 9 Kanion Colca – Puno. Przejazd andyjskim płaskowyżem przez Sillustani w kierunku Jeziora Titicaca. Dz. 10 Jezioro Titicaca: pływające wyspy trzciniowe plemienia Uros i wyspa Taquile. Dz. 11 Podróż pociągiem z Puno do Cusco. Dz. 12 Zwiedzanie Cusco: świątynia Słońca Qoricancha, kompleks świątynny – obronny Sacsayhuaman, wykopaliska Qenqo oraz lokalny targ. Dz. 13 Święta Dolina Inków: osady Pisac i Ollantaytambo. Dz. 14 Machu Picchu – "zaginione miasto Inków". Dz. 15 Stanowisko archeologiczne i solanki w Maras, powrót do Cusco. Dz. 16 Podróż powrotna: Cusco – Lima – Warszawa. Dz. 17 Przyłot do Warszawy.



17 dni | Wyloty z Warszawy 16/02, 11/10 2024

od **20.998,-**



## Kair i rejs po Nilu

Wyjątkowa wycieczka po największych atrakcjach Egiptu: Kair, piramidy w Gizie, 3-dniowy rejs po Nilu z Asuanu do Luksoru oraz plażowanie nad Morzem Czerwonym.

**Program wycieczki:** Dz. 1 Przelot Warszawa – Kair. Dz. 2 Kair. Piramidy w Gizie i Muzeum Egipskie. Dz. 3 Kair. Koptyjska część Kairu, Cytadela i Bazar. Nocny pociąg do Asuanu. Dz. 4 Przyjazd do Asuanu. Tama Asuańska i Świątynia Izdy w Asuanie. Zaokrętowanie na statek. Dz. 5 Asuan – Edfu. Świątynia Kom Ombo i Edfu. Dz. 6 Edfu – Luksor. Świątynia Horusa w Edfu i przepłynięcie przez Esnę do Luksoru. Dz. 7 Luksor. Dolina Królów i świątynia królowej Hatszepsut. Dz. 8 Z Luksoru nad Morze Czerwone. Dz. 9 Makadi Bay. Relaks nad Morzem Czerwonym i wylot do domu. Dz. 10 Powrót do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 31/10 2023, 19/03 2024

od **10.998,-**

## Bergen i norweskie fiordy

Udaj się do najpiękniejszych miejsc w kraju wikingów. Zobacz majestatyczne fiordy, góry rzeźbione lodowcem i wodospadami oraz klimatyczne miasteczka Norwegii.

**Program wycieczki:** Dz. 1 Wylot z Warszawy do Oslo. Przejazd do Hamar. Dz. 2 Hamar – Lillehammer – Droga Trolli – Geiranger. Skocznia w Lillehammer, dolina Gudbrandsdalen. Dz. 3 Geiranger – Hellesylt – Sognefjorden – Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie z Geiranger do Hellesylt. Dz. 4 Bergen – Gudvangen – Flåm – Geilo. Spacer po Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie między Gudvangen i Flåm. Dz. 5 Geilo – Oslo. Zwiedzanie Oslo, ulica Karl Johan i park Frognerparken. Dz. 6 Czas wolny. Wylot z Oslo do Warszawy.

6 dni | Wyloty z Warszawy 19/05, 11/06, 12/07, 22/07, 16/08 2024

od **5.498,-**

**albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81**

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL27

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

## Na dwa fronty



Mariusz Janicki

**C**zasami jedno wydarzenie przypomina i uzmysławia stan rzeczy w ważnej publicznej sprawie. Tak było w przypadku religijno-politycznej imprezy na Jasnej Górze, w której na cześć o. Tadeusza Rydyzka wzięła udział cała wierchuszka rządzącej Zjednoczonej Prawicy. PiS wprzągł Kościół katolicki do swojej politycznej doktryny już dawno, a ten naprawdę twardy sojusz kampanijny powstał przy okazji wyborów w 2019 r., kiedy hierarchowie i księża wsparli partię Kaczyńskiego w walce z LGBT, w „obronie tradycji” itd. To się powtórzyło rok później, kiedy o prezydencką reelekcję starał się Andrzej Duda. W obu przypadkach był to sukces – ale Kaczyńskiego, nie Kościoła, z czego biskupi nie zdają sobie sprawy chyba do dzisiaj. Trzymający się za ręce i kołyszący w rytm religijnych pieśni rządzący politycy odgrywają w istocie własny teatr, tylko korzystając z kościelnej gościnności i scenografii. I nie zmienia tego niedawne oświadczenie episkopatu o politycznej neutralności, bo liczą się nie deklaracje, ale realne wydarzenia, jak to w Częstochowie.

Dla niepisowskiej Polski takie występy jak na Jasnej Górze wydają się nieprawdopodobne w swojej przaśności i sztuczności zarazem. Pobrzmiwia pytanie, jak oni mogą to robić bez zażenowania, ale te spektakle nie są dla antyPiSu. Ten specyficzny konglomerat swojskości i „suwerenności” skierowany jest do wybranych odbiorców, którzy – przynajmniej zdaniem marketingowców obozu władzy – nie śmieją się z tego, ale wzruszają. I nie ma to, jak się wydaje, wiele wspólnego z samą treścią religijną. Biskupi łudzą się, że PiS swoimi wpływami i społecznym poparciem zapewni im prawną ochronę katolickiej ortodoksji. Nie są w stanie dostrzec, że to się nigdzie na dłuższą metę nie udało. Jeżeli Kościół nie ma własnych nowych koncepcji, nie potrafi się otworzyć na wartości współczesnego świata, pozostanie tylko administratorem obrzędów. Politycy jako pierwsi porzucą hierarchów, jeśli tylko dojdą do wniosku, że już nic na tym nie ugrają (więcej o monopartyjnym Kościele s. 12).

**O**prócz bezwarunkowego poparcia Kościoła PiS liczy też bardzo na referendum w sprawie migrantów. Krąży informacja o tajnym badaniu, według którego zmobilizuje to milion dodatkowych wyborców prawicy. Temu ma służyć referendalne pytanie, które – jeśli utrzyma się wersja podana przez Jarosława Kaczyńskiego – będzie brzmieć: czy akceptujesz politykę rządu, który odrzuca przymusową relokację nielegalnych imigrantów? Ma to związać poglądy elektoratu na kwestię przybywających do Europy cudzoziemców, w domyśle muzułmańskich, z poparciem dla Zjednoczonej Prawicy. Słowem, jeśli odpowiedź w referendum będzie na „tak”, to naturalne się wydaje, aby zarazem zagłosować na partię i rząd, którego politykę się „akceptuje”, i to w tak ważnym aspekcie.

Chodzi o to, że jeśli PO wytyka władzy legalnie sprowadzanych cudzoziemskich pracowników, to PiS będzie się skupiał na tych nielegalnych i „narczucanych”, a referendum ma tę różnicę podkreślić.

Chęć wzięcia udziału w referendum zgłasza – według sondażu pracowni US – 57 proc. obywateli. Dlatego opozycja, zwłaszcza Platforma, nie lekceważy – łagodnie mówiąc – tego zagrożenia. Referendum daje ponadto możliwość dodatkowego – praktycznie poza limitem – finansowego zastrzyku na propagandę, gdzie możliwości strony rządowej są znacznie większe niż opozycji. To jeszcze jeden przykład na to, że PiS wyciśnie ze swojej partyjno-państwowej przewagi dosłownie wszystko. I tam jednak widać niepokój co do sytuacji po wyborach. „Konfederaci pójdą w nowym Sejmie raczej z PO niż z PiS, spróbują odsunąć od władzy obecny rząd i doprowadzić do przyspieszonych wyborów, na jeszcze lepszych dla siebie warunkach” – napisał ostatnio Jacek Karnowski, dodając: „PiS musi przemyśleć swoją strategię, swoje linie narracyjne, i musi też sięgnąć po nowe, nawet radykalne rozwiązania”. Nie wiadomo, o co chodzi z tymi „radykalnymi rozwiązaniami”, ale nie brzmi to dobrze. A Kaczyński jeszcze raz ostatnio zapowiedział, że to będą wybory o wszystko, i był łaskaw zauważyć: „Prawdziwa komuna dzisiaj to jest PO. Tamci byli Moskwa, ci Berlin. Musimy obronić Polskę”.

**W**ciąż jest pytanie, czy cała demokratyczna opozycja w pełni sobie uświadamia, w czym uczestniczy. O jednej liście już dawno nie ma mowy, przedłuża się tworzenie paktu senackiego, choć podobno finał się zbliża (więcej s. 8), politycy Trzeciej Drogi występują w najbardziej prorządowych portalach i telewizjach, gdzie dzielą się refleksjami na temat Platformy i ogólnych kłopotów antyPiSu. Trwa normalna krzątania w normalnej kampanii, układanie list i „godzenie ambicji działaczy”. Wyborcy przeciekają jak w klepsydrze z jednej partii do drugiej albo do trzeciej; sondaże pokazują, że można przejść z sympatiami z dowolnej formacji do dowolnej, co nie dotyczy PiS, bo tam kurek jest zakręcony. Ukazało się właśnie interesujące badanie, z którego wynika, że 21,8 proc. Polaków zdecydowanie popiera powstanie komisji ds. zbadania wpływów rosyjskich, a 14,6 proc. raczej popiera, czyli w sumie daje to procentowy wynik PiS w rankingu partyjnym. To kolejny z wielu sondaży, pokazujących, że twardy elektorat formacji Kaczyńskiego wynosi ok. 20 proc., a ten bardziej miękki ok. 15 proc. (niemal identyczny rozkład był wcześniej przy pytaniu o poparcie dla polityki gospodarczej rządu). I nawet te miększe 15 proc. wciąż jest nie do ugryzienia przez opozycję.

**P**ytaniem sezonu staje się jednak to, na ile utwardza się elektorat Konfederacji i z jakiego powodu. Sławomir Sierakowski stwierdził, że „niskie podatki” to nowe 500 plus, i coś w tym jest. Być może, trzymając się terminologii Sadury i Sierakowskiego, właśnie powstaje „elektorat cyniczny bis” (ten pierwszy wspiera PiS za socjal), który przymyka oko na homofobię, antysemityzm, antyunijność, prorosyjskość, więzienie dla kobiet za aborcję czy umieszczanie rodziny na listach wyborczych w zamian za obniżenie dwóch samochodów, grilla, domu i zagranicznych wakacji. I to wszystko za obniżone podatki, co głosi Mentzen. A łamanie różnych tabu i zasad liberalnej politycznej poprawności zdaje się być dla sympatyków „Konfy” dodatkowym bonusem. Każdy zarzut wobec tej formacji staje się kolejnym argumentem „za”. Tworzy się nowa, pancerna „bańka”. W efekcie notowania PiS się nie zmieniają, Platformie po marszewej zwyciężce znów zaczęło spadać, a Konfederacji rosnać. Jeśli Platforma i reszta opozycji mają jeszcze coś w kampanijnym zanadrzu, musi być to naprawdę mocne uderzenie, nie za późno. I jak widać, nie na jednym, a na dwóch frontach.



## Siódme poty

**F**ala gorąca mocno dała się nam we znaki. W weekend Rządowe Centrum Bezpieczeństwa rozesało nawet specjalne alerty pogodowe do mieszkańców wszystkich województw z ostrzeżeniem, aby unikać „słońca, wysiłku fizycznego i odwodnienia organizmu”. Nie wszyscy jednak wzięli sobie je do serca – nie brakowało przypadków zasłabnięć, omdleń i udarów. Wygląda jednak na to, że musimy się przyzwyczaić do okresowych fal upałów, bo te kolejny rok przetaczają się przez nasz kraj i kontynent.

Jak nasz organizm rodzi sobie z gorącem? Generalnie, jak wszystkie stworzenia stałocielne, jesteśmy wytwórcami ciepła.

Musimy je stale produkować, aby żyć. A skoro tak, musimy mieć też możliwość oddawania jego nadwyżek do otoczenia. Na szczęście ewolucja wyposażyla nas w fantastyczny system schładzania. Dzięki temu, że nasi przodkowie pozbyli się gęstej owłosienia, naga skóra umożliwia nam wymianę ciepła z otoczeniem. I to na cztery sposoby – poprzez przewodnictwo, konwekcję, promieniowanie i parowanie potu. Przegrzaniu możemy więc zaradzić, chowając się do cienia (zmniejszamy dawki słonecznej podczerwienu docierającej do naszej skóry), kąpiąc się w chłodnej wodzie (przewodnictwo) lub sięgając po wachlarz czy wentylator (konwekcja).

Jeśli jednak nic nie zrobimy, nasz mózg uruchomi czwarty system schładzania wykorzystujący gruczoły potowe. Występują one u wszystkich ssaków, ale my mamy ich najwięcej. W razie potrzeby wydzielają one wodę z niewielką domieszką soli, czyli pot, który parując z powierzchni skóry, oddaje nadwyżki ciepła do otoczenia.

**D**laczego ten unikalny system termoregulacji, dzięki któremu możemy np. biegać w maratonach, czasami zawodzi? Po pierwsze, intensywne pocenie prowadzi do szybkiej utraty wody przez organizm. Trzeba więc pić, aby się nie odwodnić. Znaczne odwodnienie, w połączeniu z przegrzaniem, może zagrozić życiu. Po drugie, uzupełnianie płynów i intensywne pocenie się niewiele pomogą, gdy powietrze jest bardzo wilgotne. Wówczas bowiem pot nie może wyparować, a tym samym schłodzić organizmu. Po przekroczeniu pewnego progu wilgotności i temperatury nasze ciało traci ostatnią sposobność do pozbycia się nadmiaru ciepła. Najgorzej radzą sobie małe dzieci i osoby starsze, ze względu na mniejszą sprawność systemu termoregulacji. Groźne są zresztą nie tylko upalne dni, ale i noce, ponieważ pora snu to najlepszy moment do pozbycia się ciepła zgromadzonego w ciągu dnia. Wysokie temperatury nocne to uniemożliwiają. Zamiast odpoczywać, pocimy się dalej. (HOLD)

## Wakacje z paragonami

**P**olacy ruszyli na wakacje. Można odnieść wrażenie, że ci, którzy nie leżą jeszcze na plażach Bałtyku, Morza Śródziemnego, Czerwonego albo Czarnego, zapewne pakują walizki i ruszą niebawem. Okres między połową lipca i sierpnia to wakacyjny szczyt szczytów. Nad Bałtyk wybiera się **64 proc.** rodzin z dziećmi i **55 proc.** urlopowiczów w parach. Najchętniej do Jastrzębiej Góry, Gdańska, Władysławowa, Łeby, Ustki, Świnoujścia i Kołobrzegu – ustalił serwis Nocowanie.pl. Czy padnie wakacyjny rekord? Branża turystyczna nie marzy o rekordzie, chciałaby, aby sytuacja wróciła do poziomu z 2019 r. Ale to nie jest takie pewne. Ze wszystkich badań wynika, że **40–50 proc.** obywateli naszego kraju nigdzie nie wyjedzie. Z różnych powodów, ale głównie ekonomicznych. Letnie wakacje, zwłaszcza rodzinne, to spory wydatek, dlatego zaciskanie pasa często zaczyna się od wakacji.

Prawie **63 proc.** mieszkańców małych miast (do 10 tys. mieszkańców) i **42 proc.** dużych deklaruje, że na te wakacje nie wyda

więcej niż na ubiegłoroczne albo w ogóle zrezygnuje z wyjazdu – wynika z „Barometru Rynku Consumer Finance”. Tymczasem agencja badawcza Minds & Roses ustaliła, że zamierzający wydać na wakacje **średnio 1614 zł na osobę** – w ubiegłym roku było to 1358 zł. To rozchwianie łatwo zrozumieć: na wakacje ruszamy z mocnymi postanowieniami zachowania dyscypliny finansowej, a wychodzi – jak zawsze. Trudno wygrać z inflacją, która w turystycznych kurortach działa ze zdwojoną siłą. Dlatego w wakacyjnych relacjach sporo jest opowieści o paragonach grozy, czyli astronomicznie wysokich rachunkach. Smażona rybka z frytkami na papierowym talerzyku potrafi kosztować **ponad 100 zł**.



„Polska nie jest i nie będzie już tania. I w sumie dlaczego ma być? Tanie nie są usługi, mieszkania, samochody, ubrania, jedzenie. Dlaczego więc tani ma być wypoczynek, skoro właściciele obiektów płacą więcej za wszystko i w dodatku inwestują w rozwój?” – tłumaczy Tomasz Machała, prezes spółki Nocowanie.pl. Apeluje jednocześnie, by nie ulegać podszeptom i wypoczywać w kraju, który choć drogi, ma liczne inne zalety.

**D**ziś w wielu bałtyckich kurortach wciąż jeszcze są wolne miejsca czekające na gości, tymczasem w biurach turystyki zagranicznej większość wakacyjnych miejsc jest już wykupiona. To dla turystyki zagranicznej może być rekordowy rok i znów za sprawą ekonomii. Wszystko dzięki mocno trzymającemu się kursowi złotego w stosunku do dolara i euro. W efekcie cena wycieczki na plażach riwiery tureckiej czy egejskiej – najpopularniejszych celach zagranicznych wyjazdów Polaków – może być nawet niższa od tego, ile trzeba dziś zapłacić w Świnoujściu, Kołobrzegu czy Międzyzdrojach. (AG)

## Pat zamiast paktu

**B**rak wspólnej listy opozycji do Sejmu sprawia, że uwaga wyborców antyPiSu siłą rzeczy kieruje się w stronę Senatu. To bowiem wyborcze minimum, co do którego udało się porozumieć politykom partii demokratycznych – przynajmniej podczas senackiej kampanii nie będą ze sobą konkurowali i skupią się na walce z kandydatami PiS. Ma to niebagatelne znaczenie, bo w wyborach do Senatu – inaczej niż w przypadku Sejmu – obowiązują jednomandatowe okręgi wyborcze (najsilniejszy wygrywa).

Już w lutym przedstawiciele PO, Polski 2050, PSL i Nowej Lewicy oficjalnie ogłosili, że obowiązujący podczas poprzednich wyborów pakt senacki zostanie odtworzony. Tyle że od tego czasu niewiele się wydarzyło. – Rozmowy trwają, wszystko jest dopinane, pakt będzie – powtarzają od kilku tygodni politycy opozycji. Ale zamiast konkretów są tylko spekulacje. Nie wiadomo nawet, kiedy będą znane nazwiska kandydatów – Władysław Kosiniak-Kamysz mówił ostatnio, że to kwestia dni, z kolei obecny marszałek Senatu Tomasz Grodzki dał do zrozumienia, że wszystko będzie wiadomo, dopiero kiedy listy będą rejestrowane (czyli we wrześniu). Wyznaczeni przez partie negocjatorzy dotarli do ściany.

– Każdy chce ugrać jak największą część dla siebie, stąd negocjacje paktu przeniosły się teraz na poziom liderów – mówi jeden z ważnych polityków Nowej Lewicy. Takie spotkanie odbyło się w ubiegły czwartek w Pałacu Kultury, ale tematu nie zakończyło. Wciąż do uzgodnienia pozostaje 14–15 okręgów i kandydatów. Z naszych informacji wynika, że negocjacje 5–6 okręgów „mogą potrwać niemal do końca” – czyli właśnie do czasu rejestracji kandydatów. To oczywiście nic nadzwyczajnego – z reguły listy wyborcze są korygowane niemal do ostatniej chwili. Ale zarazem sprawa paktu senackiego ma wymiar symboliczny – wszak to zaprawa przed ewentualną powyborczą koalicją. Przeciagające się negocjacje,



zgrzyty i wzajemne pretensje mogą tylko demotywować wyborców.

Rozmowy o pakcie zaczęły się już we wrześniu ub.r. – Ustaliliśmy, że podział okręgów sprzyjających opozycji pomiędzy poszczególne partie będzie odzwierciedlał poparcie w sondażach z ostatnich trzech miesięcy 2022 r. Założyliśmy, że czekamy do stycznia, żeby wiarygodnie wyliczyć średnią z tych wszystkich badań z października, listopada i grudnia – opowiada senator Ja-

cek Bury, negocjator paktu z ramienia Polski 2050. I dodaje: – Ale teraz, kiedy Platforma zobaczyła, że się umacnia w sondażach, zaczęła mówić, że trzeba zmienić ustalenia, bo zmieniło się poparcie.

Politycy PO przypominają jednak, że ustalano także „aktualizację” sondażowej średniej w czerwcu, jak również – zlecenie dużego wspólnego badania. Zarazem jednak twierdzą, że bieżące poparcie nie zwiększyłyby znacząco liczby okręgów do obstawienia przez ich kandydatów. Nie w tym rzecz. – Umawialiśmy się, że wybierzemy najlepszych senatorów. Jeżeli więc mamy aktualnego senatora, który był lojalny przez cztery lata i wygrał w danym okręgu, to będziemy się upierać, że wymienianie go na innego, przywiezionego w teczce, bo komuś zależy, aby mieć tam swojego człowieka, to nie jest najlepszy pomysł – słychać w PO. Platformersi za Tuskiem powtarzają, że kluczem przy wyborze kandydatów na listy do parlamentu będzie lojalność – stawka tych wyborów jest zbyt wysoka, nikt nie chce „powtórki z Kałuży”.

**W**PSL jeszcze niedawno można było usłyszeć, że Senat nie będzie po wyborach tak istotny: – Ta kadencja pokazała, że Senat ma znaczenie symboliczne, ale niewiele ponad to, bo większość sejmowa i tak odrzuca weto lub poprawki senackie. Ale po październiku sytuacja może być zgoła inna, a waga Senatu wzrosnąć. Bo jeżeli PiS wygra, ale nie będzie miał samodzielnej większości sejmowej, montowanie koalicji z Konfederacją i odrzucanie senackich sprzeciwów będzie Jarosława Kaczyńskiego słono kosztować. A tak rządzić długo się nie da.

MALWINA DZIEDZIC

## PZPN: afera niskich lotów

**S**portowe dno, po którym właśnie szoruje reprezentacja Polski – niedawna sensacyjna porażka z Mołdawią, jedną z najsłabszych europejskich drużyn, mocno skomplikowała awans na przyszłoroczne mistrzostwa Europy – to niejedyne zmartwienie Polskiego Związku Piłki Nożnej. W powietrzu wisi exodus sponsorów. Jeden z nich, producent kabanosów Tarczyński, przyznał, że prawnicy firmy pochyliają się nad możliwością wypowiedzenia umowy z PZPN. Także Rafał Brzozka, prezes InPostu, zapowiedział poddanie krytycznej analizie dalszych związków biznesowych z federacją.

Burza rozpętała się po ujawnieniu, że na pokładzie lecącego do Kiszyniowa samolotu z piłkarzami znalazł się Mirosław Stasiak – skazany za notoryczne łapówkarstwo w rodzimym futbolu na trzy lata więzienia w zawieszaniu. PZPN dożywotnią karę wykluczenia ze swoich struktur skrócił mu do 10 lat. Stasiak trzymał się z dala od głównego



piłkarskiego nurtu, ale odkąd ster w PZPN objął **Cezary Kulesza** (były prezes i właściciel Jagiellonii Białystok, który zbił majątek na lansowaniu zespołów disco polo), musiał wyczuć, że może wrócić na salony. Sponsorzy oburzyli się, bo w oficjalnym komunikacie PZPN próbowano zrzucić winę za zaproszenie niesławnego działacza właśnie na partnerów biznesowych. Jako że nie wskazano, o kogo chodzi, firmy jedna po drugiej były

zmuszone zapewniać, że to nie one. Wszak wiązały się z polskim futbolem po to, by korzystać z blasku, którym emanuje (fakt, że coraz słabiej) Robert Lewandowski, a nie odcinać się od podejrzeń o znajomości z korupcyjnym skazańcem. W końcu do załatwienia Stasiakowi wyjazdu przyznała się mało znana porównywarła ubezpieczeń Inszury – świeżo upieczony sponsor PZPN.

**P**rezes Kulesza oznajmił, że „sytuacja jest taka, że gdzieś tam się komuś wymknęła”. Wcześniej „wymknęło” mu się powołanie na stanowisko selekcjonera Czesława Michniewicza, który nigdy przekonująco nie wytłumaczył się z podejrzeń o uwikłanie w ligową korupcję. Kulesza przetarł też szlaki do ochrony piłkarzy reprezentacji przez niejakiego „Gruchę” – kiedyś zatrudnił go w jednej ze swoich dyskotek, ale „Grucha” działał też w nazistowskiej bojówce i dostał zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej. Do tego jeszcze na boisku reprezentacja przegrywa ostatnio niemal wszystko, jak leci, często w kompromitującym stylu. Ale dopóki oglądalność jakoś się trzyma, sponsorzy to przelkną. (MP)

## Larum grają

**Marek Borowski**

Senator, ekonomista, marszałek Sejmu IV kadencji



**P**o marszu 4 czerwca komentatorzy zajęli się tym, co lubią najbardziej, czyli szacowaniem liczby uczestników. Rozrzut był znaczny: TVPiS dostrzegła 50 tys. osób (które zresztą „głównie przyszyły na lody”), a organizatorzy – 500 tys. uczestników. Sprawa pozostałaby sporna, ale niedawno ukazał się ciekawy sondaż CBOS, który rozwiewa wątpliwości. W badaniu zapytano o uczestnictwo w marszu. „Tak, wziąłem udział” odpowiedziało – uwaga! – 3 proc. pytanym. Przy 30 mln dorosłych Polaków daje to 900 tys. uczestników! Tylu, oczywiście, nie było. Mamy tu do czynienia ze znanym zjawiskiem „podczepiania się pod sukces”. Gdy instytuty sondażowe niedługo po wyborach pytają: „Na którą partię pan/pani głosowa(a)”, okazuje się, że do głosowania na partię zwycięską przyznaje się o 30 proc. osób więcej, niż podała PKW, a na przegraną – wyraźnie mniej niż w rzeczywistości. Tak to już jest, że ludzie wolą raczej zaliczać się do tych, co mieli rację albo okazali się zwycięzcami, niż do tych, co się mylili lub przegrali. Jednak bez względu na to, czy pomniejszy liczbę deklaracji o udziale w marszu o 30 proc. czy nawet o 40 proc. – liczba rzeczywistych uczestników wyniesie co najmniej 500 tys.! Ale to nie wszystko.

Te ustalenia pozwolą wreszcie właściwie interpretować podawaną przez TVPiS liczbę opozycyjnych demonstrantów. Wystarczy ją pomnożyć przez określony współczynnik. Dla TVPiS współczynnik ten wynosi 10 i od teraz zwany będzie współczynnikiem Holeckiej. Tak więc, drogi Czytelniku, od dziś zamiast rzucać kapiem w telewizor – użyj współczynnika. I spokó.

**O**biecałem sobie nie wypowiadać się więcej na temat wspólnej listy, bo w końcu jak długo można przekonywać do rzeczy oczywistych. Tłumaczyłem, że jeśli pogoda jest burzowa, a nie

chcesz zmoknąć, to są tylko dwie drogi: albo siedzisz w domu, albo wychodząc, weź parasol. Na to usłyszałem, że jest Trzecia Droga: wychodzimy bez parasola, bo na pewno nie będzie padać. Minęło parę miesięcy i już nie tylko pada, ale zaczyna solidnie lać. Mimo to nadal bym milczał, gdyby nie ostatnie wypowiedzi Szymona Hołownia w sprawie systemu D'Hondta i wspólnej listy. O systemie D'Hondta (cyt. za Onetem): „Wcale nie promuje najsilniejszego. Chodzi o to, żeby

tworzyć jak najwięcej list, przekraczających 15 proc., a najlepiej 17–18 proc.”. W swoich założeniach Trzecia Droga miała być tym silnym środkiem (17–18 proc.), co gwarantowało opozycji zwycięstwo. No właśnie – miała być. Czy p. Hołownia nie widzi, że o takim porządku Trzecia Droga może już tylko pomarzyć? Że obecnie szczytem marzeń jest utrzymanie głowy ponad powierzchnią wody, czyli ponad 8-proc. progim?! A co będzie, jak i to się nie uda?

Po tej oderwanej od rzeczywistości argumentacji Szymon Hołownia ironizuje, że „Ci, którzy głoszą jedną listę (...), nigdy nie położyli na stole konkretnej propozycji”. Byłem jednym z pierwszych, który głosił potrzebę jednej listy. Pogląd ten prezentowałem w radiu, telewizji i gazetach. Zaproponowałem jednocześnie taki system układania list wyborczych do Sejmu, aby wyborcy PL2050 i PSL nie mieli problemu z odnalezieniem kandydata swojej partii na wspólnej liście, a jednocześnie aby było jasne, że wspólna lista nie oznacza, że PL2050 i PSL rezygnują z własnego programu. Mało tego: ten system gwarantował obu tym partiom – zresztą kosztem KO – więcej mandatów w Sejmie, niż gdyby startowały osobno.

Wszystko to było przedmiotem publicznej ożywionej dyskusji w licznych mediach. Można było wziąć tę propozycję albo opracować własną i pozytywnie odpowiedzieć na apel Tuska o wspólną listę, można też było a priori odrzucić tę ideę, jak to faktycznie liderzy PL2050 i PSL uczynili.

Panie Szymonie, Panie Władysławie – larum grają! Porzućcie złudzenia, myślcie pragmatycznie – jeszcze nie jest za późno!

## Korki w komisjach

**W**śród rodziców absolwentów podstawówek pojawiają się pomysły, aby kierować pozwy do sądu w związku z uniemożliwieniem dzieciom nauki w wybranych szkołach średnich. Kompletnie niedopasowany do sytuacji okazuje się grafik rekrutacji do liceów i tempo pracy Okręgowych Komisji Egzaminacyjnych, które są zasypywane przez wnioski o wgląd do egzaminu ósmoklasisty i o weryfikację ocen. Do połowy lipca do OKE w całym kraju złożono **9,2 tys. wniosków** o wgląd (w ubiegłym roku 10,9 tys. wpłynęło ich do listopada). – *Córka uzyskała zero za wyceniane na 10 punktów zadanie na egzaminie z angielskiego. A wykonała je i sądzę, że raczej dobrze* – mówi Monika, matka uczennicy z Wielkopolski. Zwróciła się o wgląd do pracy dzień po uzyskaniu wyników (4 lipca). Po pięciu dniach dowiedziała się, że może obejrzeć test córki 19 lipca. Tyle że to już po ogłoszeniu list przyjętych do liceów w Poznaniu. Kobieta dodaje, że nawet jeśli od razu złoży wniosek



o zmianę oceny, a OKE przyzna dodatkowe punkty, miejsca w najlepszych szkołach będą i tak już rozdane; rozważa wystąpienie do sądu. Każdy punkt na egzaminie ma w tym roku szczególną wagę, bo ponad pół miliona uczniów – 1,5 rocznika – ubiega się o miejsca w szkołach średnich i tak już załóżonych po kumulacjach z poprzednich lat. To skutek pisowskich reform systemu edukacji.

Podobnie zablokowaną ścieżkę do skutecznych odwołań mają maturzyści, choć akurat ich jest ledwie 253 tys. Do połowy

lipca 17,2 tys. z nich prosiło o wgląd do prac (w listopadzie zeszłego roku wniosków było 40,2 tys.). – *Mój syn złożył wniosek zaraz po ogłoszeniu wyników, bo uzyskał niższą, niż przewidywał, ocenę z rozszerzonej matematyki. Wczoraj pojawiła się lista przyjętych na Warszawski Uniwersytet Medyczny i syna na niej nie ma. A wieczorem przyszła informacja z OKE, że pracę będzie mógł obejrzeć...* 28 lipca – denerwuje się Piotr. Ewentualne „odzyskane” punkty mogą przydać się do naboru na kierunki, które prowadzą rekrutację uzupełniającą, ale w przypadku medycyny czy prawa – w zasadzie jest po temacie. W ubiegłym roku naturalne odwołania uznano 2,2 tys. razy. Jednak teraz ta liczba może być większa, ponieważ sposób oceniania egzaminu w nowej formule budzi dość poważne kontrowersje.

Uczelnie ustalają dokładny grafik rekrutacji samodzielnie, ale o terminach naboru do szkół średnich decydują kuratorzy oświaty. To, że w tym roku może się pojawić sporo odwołań – ze względu na liczniejszą ósmoklasistę i nową formułę matur – i że mogą z tego być problemy w rekrutacji, można było przewidzieć. (J.CIEŚL.)



## Indie lecą na Księżyc

**W**drodze na Srebrny Glob jest Chandrayaan-3, indyjski statek kosmiczny, którego nazwa w sanskrycie oznacza pojazd księżycowy. Na 23 lub 24 sierpnia zaplanowane jest lądowanie łazika, mającego za zadanie eksplorację słabo zbadanego, być może zasobnego w wodę, bieguna południowego, przez urozmaiconą rzeźbę terenu uchodzącego jednak za miejsce dość niebezpieczne. Jeśli się uda, Indie zostaną czwartym państwem – po Stanach Zjednoczonych, ZSRR i Chinach – które wyślą swoją misję na powierzchnię Księżyca. Już udany start dał krajowi powody do powszechnie manifestowanej dumy. Premier Narendra Modi poruszył nacjonalistyczną strunę, stwierdzając, że razem z rakieta leca marzenia i ambicje każdego obywatela. Eskapada oprócz naukowych ma cele bardziej przyziemne, jej zadaniem jest tchnąć dodatkową energię w prężnie rozwijającą się indyjską branżę kosmiczną, wyspecjalizowaną w posyłaniu satelitów na orbitę.

Oczywiście Indie nie są jedyne. W tym roku w okolicach Księżyca będzie „najtłoczniej od czasu zakończenia programu Apollo”. W kwietniu tuż przed metą rozbił się ładownik prywatnej firmy z Japonii. Na sierpień planowany jest start sondy rosyjskiej, niedługo później swoje projekty powinny posłać dwie firmy amerykańskie i Japońska Agencja Eksploracji Aerokosmicznej. Powrót na Księżyc wynika m.in. z tego, że dziś do organizacji misji bez załogi nie potrzeba możliwości technologicznych supermocarstwa i gigantycznego budżetu, w przypadku Chandrayaan-3 wystarczyła równowartość 75 mln dol. Moze czasy i ceny się zmieniły, ale w kosmosie nadal obowiązują reguły mocarstwowej rywalizacji, teraz amerykańsko-chińskiej. W czerwcu Indie dołączyły do obozu amerykańskiego, podpisały porozumienie Artemis, które z inicjatywy Waszyngtonu określa deklarowane zasady pokojowej eksploatacji Księżyca, Marsa, asteroid i innych ciał niebieskich, potencjalnie bogatych w surowce naturalne.

## Upalny mnożnik zagrożeń

**M**amy najgorętsze dni i tygodnie w historii pomiarów meteorologicznych. Do zapamiętania jest nowa uśredniona najwyższa temperatura powietrza na wysokości 2 m – to ponad 17,2 st. C. A miejsca po przecinku szybko się zmieniają. WMO, Światowa Organizacja Meteorologiczna, przewiduje, że z 98-proc. prawdopodobieństwem pięciolecie 2023–27 będzie najcieplejsze w dziejach badań. Z prawdopodobieństwem 66-proc. w tym okresie temperatura będzie o 1,5 st. wyższa w porównaniu z poziomem sprzed epoki przemysłowej, co jest graniczną wartością wskazaną m.in. w porozumieniu paryskim, przyjętym „w celu ograniczenia ryzyka i szkód wywołanych przez zmianę klimatu”.

Na dłuższą metę to ona odgrywa zasadniczą rolę, doraźnie akompaniują jej pacyficzny mechanizm El Niño i inne aberracje cyrkulacji powietrza oraz szereg zjawisk o trudnej do wyjaśnienia etiologii. Ponadnormatywnie podgrzane są oceany, zwłaszcza północny Atlantyk. Wśród możliwych przyczyn podawany jest brak pyłu saharijskiego, o tyle istotnego, że niesione wiatrem i rozpylone na wielkich obszarach drobinki piasku Sahary mają zdolność do odbijania promieni słonecznych. Bardzo skutecznie odbija je także dwutlenek siarki, ale poziomy tego silnie toksycznego gazu spadają po wprowadzeniu restrykcyjnych przepisów bijących w zanieczyszczenia pochodzące z silników statków handlowych.

**F**ale ekstremalnych upałów dotykają Europę i Amerykę Płn. W południowo-zachodnich Stanach Zjednoczonych utworzyła się odpychająca wilgoć tzw. kopuła ciepła. Konsekwencje są łatwe do przewidzenia. Osoby z chorobami układu oddechowego bądź krwionośnego narażone są na wyższe ryzyko śmierci. W zeszłoroczne europejskie lato – wcale nie rekordowo ciepłe – odnotowano co najmniej 61 tys. zgonów, do których przyczyniły się podwyższone temperatury. W Kłopcio jest europejskie i amerykańskie rolnictwo, Kanada zmagająca się z wyjątkowo rozległymi pożarami lasów, w morzach zamierają rafy koralowe, ryby chronią się w chłodniejszych głębinach, rwąc podwodne łańcuchy pokarmowe i utrudniając połowy rybakom.

Najciekawsze pytania zadawane w tych okolicznościach dotyczą reakcji przywódców politycznych. Udzielane odpowiedzi? Nadal zajmują się krótszymi perspektywami. Zarówno liberalne demokracje (jak Kanada, Stany czy kraje z Europy) i autokracje (w tym Chiny) robią sporo szumu o ścinaniu emisji gazów cieplarnianych, ale robią za mało i za wolno, także w dziedzinie adaptacji do warunków nowej upalnej normalności, wciąż decydujący głos mają krótkowzroczne potrzeby gospodarki przyspawanej do paliw kopalnych. Sojuszu Północnoatlantyckiego nie absorbuje temperatura wody w Atlantyku, a oczywiście Ukraina, Rosja, Iran. W komunikacie NATO, ogłoszonym na wileńskim szczycie, klimatowi poświęcono raptem jeden akapit z dziewięćdziesięciu, mimo że ocieplenie się uznaje za „mnożnik zagrożeń” i „decydujące wyzwanie o głębokim wpływie” na bezpieczeństwo samego Sojuszu, obecnych i przyszłych pokoleń.

**J**ednak pewnie prędzej niż później politycy będą musieli uwzględnić temperatury w swoich kampaniach i kalkulacjach. W Europie szlak wytycza wysuszone na wiór Hiszpania, gdzie wybory parlamentarne 23 lipca (czytaj na s. 44) stają się czymś w rodzaju plebiscytu w sprawie klimatu i dystrybucji wody (do hotelowych basenów, na pola golfowe czy uprawy rolne?). Hiszpanie zdecydują m.in., czy poprzeć mogącą wejść do koalicji rządowej partię Vox, ugrupowanie klimatycznych denialistów, twierdzących, że trzeba tłuc termometry i żyć po staremu. Ot, „mnożnik zagrożeń” w praktyce.



## Powoli, powoli

**K**ijów na szczycie NATO w Wilnie otrzymał bilet do poczekalni. Na więcej broni, na samoloty, na otwarcie drzwi do Sojuszu, które są szerzej uchylone, ale przez które nie da się przejść. Wołodimir Zełenski najpierw się wściekł, ale musiał zaakceptować interpretację Waszyngtonu i Berlina, która uniemożliwiła zgodę wszystkich: przyjęcie Ukrainy teraz wywoła wojnę NATO–Rosja, której nikt nie chce. Na pocieszenie ukraiński prezydent dostał obietnicę wsparcia od grupy G7, ekonomicznie i politycznie silnej, ale która po raz pierwszy wchodzi na arenę europejskiego bezpieczeństwa. Czy luźna deklaracja przełoży się na oczekiwane w Kijowie silne gwarancje bezpieczeństwa, zależy od dwustronnych porozumień z państwami-sygnatariuszami. A więc to dziś niewiadoma. Gwarancje G7 i tak dotyczyć mają ewentualnej nowej rosyjskiej agresji, a Ukraina musi sobie najpierw poradzić z odparciem tej, która trwa od szesnastu miesięcy. Główne ukraińskie siły wciąż czekają na wejście do walki w rozpoczętej w czerwcu kontrofensywie, ale nie wygląda na to, by próby przełamania rosyjskiej obrony doprowadziły gdzieś do wyłomu.

Tempa natarcia Ukraińców nie poprawiło wyjście z szyku wagnerowców ani chaos w dowództwie



Most krymski nadwerężony podczas tej wojny już drugi raz.

południowego okręgu wojskowego – prawdopodobnie aresztowanie jego dowódcy gen. Wiktora Surowikina za związku z Jewgienijem Prigożynem czy odwołanie dowodzącego 58. armią gen. Iwana Popowa za otwartą krytykę zwierzchników. Rosjanie trzymają się mocno na wszystkich odcinkach frontu południowego i wschodniego. Ukraińcy idą co prawda mozolnie naprzód, ale przez półtora miesiąca posunęli się o dwa do góra dziesięć kilometrów. Co gorsza, gdy odzyskują teren na południu, na granicy Zaporozża i Donbasu, na północy pod Kremliną i Swatowym trwa mała ofensywa rosyjska, też w skali paru kilometrów.

**S**ytuacja znów jest patowa, a wojna znowu jest pozycyjna, z dużą rolą artylerii, ale brakiem manewru. Pocisków brakuje do tego stopnia, że nawet liberalny rząd Joe Bidena postanowił dostarczyć Ukrainie zakazaną przez ponad sto krajów amunicję kasetową. Najwięcej nadziei dowódcy w Kijowie wiążą z samolotami F-16, które mogą dotrzeć do Ukrainy w ciągu pół roku, po zakończeniu szkoleń. Niedostatek siły w powietrzu to najbardziej odczuwalny brak po ukraińskiej stronie, a umiejętnie zastosowane myśliwce pomogą wyizolować jakiś obszar pola walki, by pod ich osłoną swobodę odzyskały wojska lądowe. Ale to już plan na następną ofensywę.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

## Rosja wraca na Kubę

**T**akiego ożywienia nie było od czasu upadku ZSRR, kiedy to bratnia pomoc Moskwy dla Hawany skończyła się prawie z dnia na dzień. Pozostał po niej wielki dług, na którego spłatę nie było żadnych szans i w 2014 r., w kwocie 32 mld dol., został umorzony. Misję wspierania gospodarczego Kuby wzięła na siebie częściowo Wenezuela, ale i ona, jak wiadomo, popadła w kryzys, a ostatnio przykręciła kurek z ropą naftową. Kuba jest w permanentnym kryzysie i nieustannie ćwiczy sztukę przetrwania, ale obecny jest szczególnie dotkliwy. Dramatycznie brakuje żywności, środków higieny, leków, powszechnie są wyłączenia prądu, z powodu braku paliw odwołano w tym roku manifestację pierwszomajową, w której dawniej uczestniczył nawet milion osób zwiezionych do stolicy. W kolejce po benzynę czeka się wiele dni, z tym że procedura została unowocześniona: państwo prowadzi zapisy i przydziela numery na WhatsAppie.

Powrót Rosjan na wyspę wywołał entuzjastyczne tytuły w państwowych mediach i wielkie nadzieje. Jest też nowa nić porozumienia: Rosja ćwiczy to, co Kuba poznała aż za dobrze: amerykańskie embargo i sankcje. Premier Manuel Marrero w czerwcu spędził w Moskwie aż 11 dni i przywiózł m.in. umowy na dostawy ropy i zboża, cukrownię, stalownię, wspólną produkcję rumu, a także ożywienie kurortu Tarara, gdzie Rosjanie mają się leczyć i wypoczywać. Wznowiono też połączenie lotnicze. To na początek. Ale i konkurencja nie śpi: pojawiły się pogłoski o zaawansowanych rozmowach z Chińczykami o umieszczeniu na wyspie stacji wywiadu elektronicznego i wspólnego ośrodka szkoleniowego dla żołnierzy, co wywołało zaniepokojenie USA. Czy podobne ambicje mają Rosjanie, na razie nie wiadomo. W pamiętnym 1962 r. analogiczne plany dotyczące rozmieszczenia radzieckich rakiet na wyspie wywołały globalny kryzys.



## Solidarne Hollywood

**A**ktorzy w fabryce snów przystąpili do trwającego od maja strajku scenarzystów. Wspólna akcja paraliżuje produkcję filmów i seriali telewizyjnych. Przyczyną sporu są cięcia kosztów zainicjowane przez wytwórnie po spadku dochodów wskutek pandemii, m.in. redukcje liczby autorów scenariuszy oraz nowe technologie produkcji i dystrybucji filmów. Streaming, dzięki któremu można je oglądać na życzenie, pozbawił tantiem ich twórców, którzy domagają się gwarancji stałych dochodów. Studia filmowe zaoferowały umiarkowane podwyżki, ale WAG (związek scenarzystów) i SAG-AFTRA (gildia aktorów) żądają więcej.

Drugą kością niezgody jest coraz szersze korzystanie przez producentów z usług sztucznej inteligencji (AI). Zagroza ona dziś głównie scenarzystom, którzy wymyślają fabuły dla seriali oparte na prawdziwych historiach, a jeśli fikcyjne, to według utartych schematów, co dla AI nie wydaje się zbyt trudne. Aktorzy jednak również mają powody, żeby się obawiać – w niektórych serialach zaczęły już grać ich awatary, a wytwórnie domagają się zgody SAG, by po zeskanowaniu twarzy aktorów drugiego planu, za jednorazową opłatę, można było używać ich podobizn bez ich kolejnej zgody i bez wynagrodzenia. Rzeczywistość naśladuje więc mroczne wizje z futurystycznego serialu „Black Mirror” o złowrogich konsekwencjach AI i innych najnowszych technologii. Brad Pitt, Tom Cruise czy Jennifer Lawrence mogą chyba na razie spać spokojnie, ale gwiazdy walczą o swych mniej znanych kolegów i statystów, którzy mogą znaleźć się na bruku.

**M**imo strajku, w domowych telewizorach nieprędko zabraknie seriali oferowanych na platformach streamingowych, a w kinach starczy filmów, wcześniej zrealizowanych i czekających na dystrybucję. Strajkujący aktorzy odmawiają jednak także udzielania wywiadów na temat nowych filmów, udziału w ich premierach, na festiwalach filmowych i ceremoniach rozdawania nagród, co uniemożliwi promocję, od której zależy komercyjny sukces filmów. Finansowy kryzys Hollywood będzie się więc pogłębiać. A ponieważ fabryka snów to poważna gałąź amerykańskiej gospodarki, odpowiedzialna (przed pandemią) za co najmniej 3,2 proc. PKB i zatrudniająca setki tysięcy ludzi, strajk może zagrozić całej ekonomii. A nawet zaszkodzić gospodarkom krajów, w których amerykańskie wytwórnie kręcą często swoje filmy.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

# Tron z ołtarzem

Jarosław Kaczyński obiecał Kościołowi katolickiemu przeczekanie liberalnego Zachodu i końcowy triumf polityczno-religijny. Hierarchowie uwierzyli w ten cud i postawili niemal wszystko na sojusz z PiS.

# 32

CEZARY MICHALSKI

Pielgrzymka Radia Maryja, której kulminacją było przemówienie Kaczyńskiego w jasnogórskim klasztorze, a następnie hołd złożony Tadeuszowi Rydzykowi przez ministrów i liderów PiS, nie była oczywiście pierwszym takim wydarzeniem w tym miejscu.

Można jednak powiedzieć, że ostatnie widowisko jak w powiększającym szkłe skupiło wszystkie patologie sojuszu pomiędzy tronem Kaczyńskiego i ołtarzem Rydzyka.

Najważniejsze sanktuarium polskiego katolicyzmu, ważne być może dla wszystkich Polaków, a na pewno dla wszystkich polskich katolików, stało się miejscem, z którego Kaczyński i Rydzyk znów najbardziej Polaków i polskich katolików podzielili. Po raz kolejny recytując listę wszystkich wrogów Kościoła i partii. Także „miecz rycerski z czasów Mieszka I”, wręczony Rydzykowi przez ministra aktywów państwowych Jacka Sasina, za który pisowska



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

władza, według portalu WP, zapłaciła ćwierć miliona złotych z budżetu spółki Skarbu Państwa, czyli z kieszeni wszystkich Polaków, był symbolem darów pisowskiego państwa dla twórcy Radia Maryja. Ich wartość mogła już przekroczyć pół miliarda złotych (bardzo ostrożne szacunki z początków 2021 r. mówiły o 325 mln zł przetransferowanych do Rydzyka z samych tylko budżetów ministerstw, bez wliczania w to „darów” spółek Skarbu Państwa). Wisienką na torcie był groteskowy taniec polityków i polityczek PiS mający kopiować ich zachowania na imprezach Radia Maryja w Toruniu.

Bezsilność polskiego Kościoła instytucjonalnego wobec tych patologii dokonujących się w jego imię, pod jego sztandarem, w sposób najbardziej kompromitujący wyraził rzecznik prasowy jasnogórskiego klasztoru ojciec Michał Bortnik, który wobec powszechnego wzburzenia wykonał po prostu gest Piłata. W swoim oświadczeniu stwierdził, że „miejsce wygłoszenia przemówienia nie było związane z przestrzenią wyłącznie liturgiczną, jest ono miejscem dla kantora lub animatora spotkań, a udzielenie głosu zaproszonym gościom leży w wyłącznej gestii organizatora pielgrzymki”.

## Rydzyk bierze wszystko

Nie zawsze ojciec Tadeusz Rydzyk był tak wszechmocny i tak bardzo bezkarny. Były prymas Polski Józef Glemp, którego nikt przy zdrowych zmysłach nie uznałby za „lewaka” czy „liberała”, świetnie rozumiał, że Rydzyk jest trucizną w polskim Kościele, a co najważniejsze, miał odwagę to głośno powiedzieć. W głównym liście z 1997 r. do prowincjała redemptorystów, będącego formalnym zwierzchnikiem Tadeusza Rydzyka, prymas Glemp pisał bez ogródek: „ojciec Rydzyk, mimo popularności i poparcia wielkich rzesz, nie może żądać dla siebie przywilejów i stać ponad prawem...”, „nie można szerzyć przekonania, że teraz przeżywamy najtrudniejsze czasy, zasada: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam, nie jest zasadą ewangeliczną”. I dodawał: „sam słuchałem ojca Rydzyka i byłem upokorzony jego pychą”.

Był to czas, kiedy Radio Maryja można było głośno krytykować. Robił to wówczas ks. Adam Boniecki, nie ryzykując jeszcze kary kościelnej. Krytyczni wobec Radia Maryja biskupi, tacy jak Józef Życiński czy Tadeusz Pieronek, odgrywali jeszcze ważną rolę w polskim Kościele.

Co zapewniło Rydzykowi triumf? Jednym z powodów było ostrzeżenie się „wojny kulturowej”. I towarzyszący temu lęk przed sekularyzacją, który opanował znaczną część polskiego Kościoła. Nauczanie Jana Pawła II odegrało w tym procesie nieoczywistą i niejednoznaczną rolę. Tadeusz Rydzyk nie słuchał papieża, kiedy ten popierał wejście Polski do Unii albo nawoływał do dialogu z innymi religiami lub nawet z niewierzącymi. Jednak za każdym razem, kiedy papież mówił o zachodnim liberalizmie jako „cywilizacji śmierci” albo ostrzegał, że „demokracja bez wartości (w domyśle, religijnych) zmienia się w jawny lub ukryty totalitaryzm” – był brany na sztandary Radia Maryja. Po śmierci „polskiego papieża” Rydzyk będzie już mógł zupełnie bezkarnie wypreparować z całego nauczania Karola Wojtyły wszystkie motywy mówiące o lęku przed sekularyzacją „idącą z Zachodu”. W ten sposób Radio Maryja stało się skuteczną bronią w „wojnie kulturowej” i pożądanym sojusznikiem dla wszystkich nurtów antyliberalnej prawicy.

O ostatecznym triumfie Rydzyka przesądzi jednak nie jakaś subtelna „wojna kulturowa”, ale zwyczajna polska wojna na noże. Okres po roku 1989 jest czasem triumfu polskiego Kościoła, który zdobywa wciąż nowe pozycje, wpływ na władzę i własność. Im instytucja jest silniejsza, tym bardziej jej najslabsi, najbardziej zepsuci przedstawiciele zaczynają czuć się bezkarnie. Pojawiają się kompromitujące Kościół skandale. W 2001 r. w Tylawie wybucha

głośny skandal pedofilski, którego ważnym elementem jest publiczna obrona księdza pedofila przez zwierzchnika archidiecezji przemyskiej abp. Józefa Michalika. W 2002 r. media (także katolickie) ujawniły skandal związany z molestowaniem przez arcybiskupa metropolitę poznańskiego Juliusza Paetza młodych kleryków z poznańskiego seminarium duchownego. W 2005 r. IPN ujawnił dokumenty, z których wynikało, że dominikanin Konrad Hejmo przez wiele lat był współpracownikiem komunistycznych służb PRL, donosząc na Jana Pawła II, a także dostarczając informacji, które mogły pomóc SB w zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki. W każdej z tych spraw Tadeusz Rydzyk i Radio Maryja jednoznacznie stawały po stronie osób oskarżanych o pedofilię, molestowanie czy agenturalność – pokazując, że będą bronić hierarchów i księży przed wszelkimi zarzutami i krytykami – obojętnie, formułowanymi z zewnątrz czy od wewnątrz Kościoła.

Przełomowa w historii Radia Maryja okazała się jednak sprawa abp. Stanisława Wielgusa. Kiedy w 2006 r. miał on objąć stanowisko metropolity warszawskiego, wypłynęły informacje o jego wieloletniej współpracy z IV Departamentem komunistycznego MSW zajmującym się zwalczaniem Kościoła. Wybuchł wówczas spór o przeszłość, który bardzo głęboko podzielił cały polski Kościół. I to zupełnie nie według linii dawnego podziału na „Kościół łagiewnicki” i „Kościół toruński” (przywołując znaną klasyfikację Jana Rokity). Hierarchowie obu tych „kościółów”, którzy sami mieli obyczajowe lub agenturalne problemy, stanęli wówczas solidarnie w obronie Wielgusa lub przynajmniej wymownie milczeli. Jako jeden z nielicznych publicznie wezwał do zablokowania tej nominacji abp Tadeusz Gocłowski. Podzieliły się wtedy diecezje i zakony, kłócili się między sobą dominikanie i jezuici. Tylko Tadeusz Rydzyk i jego radio okazali się po raz kolejny lojalnymi i pozbawionymi wszelkich wątpliwości obrońcami, opoką polskiego instytucjonalnego Kościoła.

Ostatecznie ojciec Rydzyk zastosował metodę, której później nauczył się od niego Jarosław Kaczyński. Zaczął odpuszczać grzechy, stosując jedno bardzo proste kryterium: mogłeś robić w przeszłości i możesz robić dzisiaj, co ci się żywnie spodoba, ale ja obmyję cię z grzechów, a nawet poczucia winy, jeśli złożysz mi hold. Tadeusz Rydzyk nie pytał nikogo o moralność. Oczekiwał wyłącznie posłuszeństwa.

## Kaczyński marzy o Cerkwi

Jarosław Kaczyński zawsze traktował religię instrumentalnie. W okresie wczesnego Porozumienia Centrum dystansował się od fundamentalistycznej prawicy, a konkurencyjny ZChN uważał za „najkrótszą drogę do dechrystianizacji Polski”. Kiedy Marek Jurek, który przed 2005 r. zapisał do PiS sporą część fundamentalistycznej prawicy, upomniał się o swoje po pierwszym wyborczym zwycięstwie Kaczyńskiego i w 2006 r. zażądał wpisania „ochrony życia” do konstytucji (co pozwoliłoby następnie wymusić zmianę zbyt łagodnej dla fundamentalistów ustawy antyaborcyjnej jako „niekonstytucyjnej”), został przez Kaczyńskiego „wyprowadzony na kopach” z obozu władzy. I pożegnany przez niego słowami: „idiota albo agent”.

Była to ze strony Kaczyńskiego pragmatyczna chęć zapobieżenia konfliktowi dodatkowo destabilizującemu państwo, w którym był wówczas premierem. Kiedy bowiem po wyborach w 2007 r. Kaczyński stracił władzę, sam potrzebował kulturowej wojny z użyciem religii. Priorytetem nie było już dla niego przejęcie centrum, ale zabetonowanie wokół siebie twardego elektoratu, w którym większość stanowiła najbardziej radykalna obyczajowa konserwa. Kaczyński napisał wówczas projekt konstytucji, w którym całkowicie zmieniały się zapisy dotyczące ochrony życia poczętego. Jak zwykle okazał się przy tym cynikiem pozbawionym ►

► wszelkich zahamowań. W jego projekcie konstytucji z 2010 r. gwarancje dla „życia od momentu poczęcia” były o wiele twardsze, a inwokacje do Boga nieporównanie częstsze, niż kiedykolwiek wymarzyłyby to sobie Marek Jurek.

Jarosław Kaczyński wiązał jednak z polskim Kościołem poważniejsze plany. Po 2015 r. złożył Rydzykowi, Jędraszewskiemu, Meringowi i innym „smoleńskim” biskupom (często uwikłanym w skandale lustracyjne lub obyczajowe) propozycję analogiczną do tej, jaką w Rosji Putin złożył prawosławnej Cerkwi. Putin, chcąc ideologicznie odseparować Rosję od liberalnego Zachodu, mógł postawić wyłącznie na Cerkiew. Bynajmniej nie dlatego, że ten dawny funkcjonariusz KGB przeszedł jakieś żarliwe religijne nawrócenie. Po prostu nie miał żadnej innej ideologii czy nawet idei pod ręką.

Świecka obietnica komunizmu skompromitowała się w oczach Rosjan prawie całkowicie. Podejmowane przez grono związanych z Kremlem „technologów władzy” próby cynicznego skonstruowania nowej imperialnej ideologii świeckiej też spełzły na niczym. Putinowi potrzebna była ideologia dostarczająca ludziom poczucia sensu, dyscyplinująca ich życie codzienne, a także mobilizująca ich po stronie władzy i państwa. A przede wszystkim niebędąca „zachodnim liberalizmem” ani w ogóle żadną z „zachodnich”, „europejskich”, „świeckich” idei wolności osobistej czy politycznej. Cerkiew stała się dla niego „współczesnym odpowiednikiem dawnego partyjnego wydziału agitacji i propagandy”, jak powiedział kiedyś znany rosyjski historyk Andriej Zorin, nie zaskarbiając sobie tymi słowami sympatii Putina i Cerkwi.

Jarosław Kaczyński jako polski ideolog „demokracji nieliberalnej”, chcąc ideologicznie odseparować Polskę od liberalnego Zachodu, postawił na Kościół. Księża mieli ideologicznie namaszczać partię władzy, aby otrzymać za to pieniądze, własność i gwarancję bezkarności.

## Recepta na sekularyzację

Oferta Kaczyńskiego była dla Kościoła kusząca. Tylko cynik albo idiota może powtarzać twierdzenia prawniczych publicystów, że w III RP, pod rządami PO i PSL, nawet SLD, Kościół był prześladowany. W zamian za ideologiczne namaszczenie swojej władzy Kaczyński przeliczył jednak wszystkie wcześniejsze oferty. Porzucił temat likwidacji Funduszu Kościelnego (budżetowych dotacji na Kościół) i zawiesił prace nad zastąpieniem go przez podatek kościelny, który w oczach wielu polskich hierarchów i księży uzależniłby ich od oceny wiernych. Zaostrzył ustawodawstwo i praktykę w obszarze aborcji i in vitro. Kolejni pisowscy ministrowie i kuratorzy zagwarantowali Kościołowi monopolistyczną pozycję „jedynego źródła wartości” w polskiej szkole.

Najbardziej naiwni polscy antyklerykałowie są pewni, że ten sojusz tronu i ołtarza przyspieszy, wręcz zagwarantuje sekularyzację Polski. Faktycznie, powoli, lecz systematycznie maleje liczba wiernych uczestniczących w pełnej katolickiej liturgii, pustoszeją seminaria duchowne. Ani Kaczyńskiemu, ani hierarchom związanym z PiS jakoś to nie przeszkadza. Jędraszewski czy Rydzyk sami chętnie używają języka apokaliptycznego, roztaczając przed wiernymi wizję polskiego Kościoła wciąż uciskanego i zagrożonego zagładą. Ich nadzieje związane z Kaczyńskim bardzo długo opierały się na złożonej przez niego obietnicy „opóźnienia” sekularyzacji, a także „opóźnienia” przez pisowskie państwo rozliczeń z pedofilią czy innymi patologiami polskiego Kościoła. A jest to obietnica niebagatelna, biorąc pod uwagę konsekwencje, jakie podobne rozliczenia miały dla pozycji Kościoła katolickiego w USA czy Irlandii.

W ostatnim czasie obietnica Kaczyńskiego uległa jednak radykalizacji, a nadzieje Rydzyka czy Jędraszewskiego związane z PiS

stały się większe. Kaczyński (podobnie zresztą jak Putin) pożywił się politycznie na realnym kryzysie Zachodu (imigracyjnym, kryzysie legitymizacji UE, „wojnie kulturowej” – pomiędzy skrajną lewicą i skrajną prawicą – osłabiającej liberalne uniwersytety, media, kulturę). Pisowskie media z lubością pokazują każdy przejaw tego kryzysu, żeby Polacy przestali widzieć w liberalnym Zachodzie źródło „normalności”. I żeby Kaczyński mógł wreszcie zrzucić gorset zachodnich instytucji i norm. Ten sam kryzys, który pozwala Kaczyńskiemu poszerzać i utwardzać elektorat PiS, wykorzystał w swoich stosunkach z Kościołem. Nie poprzestaje już na obietnicach opóźnienia sekularyzacji, dziś obietnica Kaczyńskiego, Ziobry, zideologizowanych „teologów” z „Uważam Rze”, „Frondy” czy „Sieci” jest bardziej radykalna. To obietnica osłaniania polskiego Kościoła przez państwo PiS tak długo, póki nie rozpadnie się liberalny Zachód; po prostu trzeba to przeczekać, a potem mają nadejść znowu dobre konserwatywne czasy. To obietnica dania polskiemu Kościołowi szansy na wyczołganie się z ruin oświecenia, z ruin UE, liberalnego Zachodu, tak jak u swoich początków Kościół wydobyl się triumfalnie z ruin pogańskiego Rzymu.

## Wahania Kościoła

W kraju takim jak Polska, gdzie wciąż trudno jest znaleźć dla Kościoła alternatywę, bo świeckie społeczeństwo obywatelskie jest słabe, świecki światopogląd płytko zakorzeniony, o tym, czy oferta Kaczyńskiego zostanie przyjęta, zdecydować mogą nie antyklerykałowie, ale ostatni chrześcijanie w Kościele. Także wśród polskiego kleru i episkopatu.

Do najbardziej wstrzemięźliwych wobec partyjnego zaangażowania hierarchów należeli od dawna prymas Wojciech Polak i abp Kazimierz Nycz. Po niedawnej papieskiej nominacji do tego grona z przytupem dołączył nowy zwierzchnik archidiecezji katowickiej abp Adrian Galbas. W czasie swego ingresu do katowickiej katedry powiedział: „Wszyscy bolejemy z powodu dwóch Polsk w Polsce. Coraz bardziej oddalonych od siebie, coraz bardziej napiętych...”. Po tej dość banalnej diagnozie dodał jednak słowa, których nie usłyszeliśmy od Rydzyka czy Jędraszewskiego: „Przed laty Kościół pomógł zbudować okrągły mebel, przy którym usiedli ludzie z bardziej jeszcze odległych ideoowo światów. Nie wiem, czy dziś Kościół w Polsce byłby w stanie to zrobić – nie ma już takiego autorytetu i takiej siły. Poza tym przez wielu kojarzony jest tylko z jedną z tych Polsk”.

Obóz Kościoła bezpartyjnego wzmocniła kardynalska nominacja biskupa Grzegorza Rysia. Ten hierarcha pracował jeszcze z abp. Nyczem przy projekcie zastąpienia Funduszu Kościelnego podatkiem kościelnym. A na bardziej zamkniętych spotkaniach potrafi chwalić zasadę „przyjaznego rozdziału Kościoła od państwa”. Dla antyklerykałów jest on rozczarowaniem, gdyż nie kopie publicznie instytucji, którą stara się zreformować. Jednak to właśnie czyni go potencjalną szansą na odpartyjnienie polskiego Kościoła.

To wszystko są jednak tylko nadzieje, czasem bardzo słabe. Nic z tego sporu nie przebija się do wiejskich (a także wielu miejskich) parafii, w których, dzięki cynicznej pisowskiej „reformie prawa wyborczego”, już w czasie tych wyborów będzie nie tylko uprawiana partyjna propaganda, ale będą też liczone głosy.

Najlepsza część polskiego Kościoła boi się Rydzyka i Kaczyńskiego, najgorsza dawno już odeszła od chrześcijaństwa i stała się wyznawcami nowego cesaropapizmu. Dlatego to czarny przekaz z Jasnej Góry, a nie słowa (lub choćby znaczące milczenie) biskupów Polaka, Galbasa, Nycza czy Rysia, jest zapowiedzią tego, jak będzie wyglądała najbliższa kampania wyborcza. Partia postawiła na Kościół, a Kościół na partię.

CEZARY MICHALSKI

Kiedy mówi się o wyborcach, często wspomina się o seniorach, którzy w większości wspierają PiS, czy o młodych mężczyznach, chcących głosować na Konfederację. Czasami mówi się o tym, że kobiety to ważny elektorat – ale jakie mają polityczne sympatie i czy w ogóle chcą głosować?

# Wybory Polek

AGATA SZCZERBIAK, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

**W**ioletta, 40-letnia matka i żona z 20-tys. miejscowości na Śląsku, gdzie pracuje w zakładach mięsnych, głos oddawany dotąd na PiS teraz przekaże Konfederacji. Dlaczego? – *PO i PiS już miały czas zabłysnąć i zrobić coś dla nas i kraju, ale im po prostu nie wyszło. Patrzą tylko na swoje korytka, obywatele mają za nic* – opowiada. Zakaz aborcji? Ogólnopolskie protesty po wyroku TK sprzed trzech lat? Ciężarne kobiety umierające w szpitalach na sepsę? Wioletta namyśla się i dopytuje: – *Niech mi panie przypomną: Mentzen jest przeciw aborcji, prawda? Już trudno. Naprawdę nie ma na kogo głosować.*

A jednocześnie to prawda, że kobiecy elektorat ma znacznie bardziej lewicowe i społeczne potrzeby niż męski. – *Kobiety często nie patrzą pod kątem partii politycznych, tylko języka korzyści, które są w dużej mierze materialne, ale też osadzone w kontekście różnych rozwiązań społecznych i emocji* – tłumaczy Katarzyna Pawlikowska, ekspertka od zachowań społecznych i konsumpcyjnych kobiet. To dlatego strach o podstawy bytu ekonomicznego sprawił, że w ostatnich wyborach prezydenckich masowo poparły Andrzeja Dudę, a wcześniej PiS. Sugerowały się głównie tym, czy ktoś proponował nowe świadczenia.

Zapytane przez Pawlikowską w badaniu „Polki same o sobie” kobiety odpowiadają, że najważniejsze jest dla nich – niezmiennie – zdrowie, ale na drugim i dalszych miejscach już jest rzeczywistość niejako publiczna: inflacja, praworządność i państwo prawa, niższe podatki. Jeszcze w 2018 r. szukały w mediach przede wszystkim treści związanych z życiem codziennym, poradami psychologicznymi, kuchnią i przepisami, urodą, a dziś na topie są doniesienia ekonomiczne i polityczne.

Najstarsze Polki wydają się dla opozycji niemalże stracone. Prawie 70 proc. wyborców PiS ma więcej niż 60 lat. Z sondażu IPSOS i OKO.press z czerwca wynika, że 45 proc. badanych w wieku 50 plus jesienią na pewno zagłosuje na PiS. Seniorzy, mimo kulturowego przekazu o bardzo silnej międzypokoleniowej solidarności między matkami a córkami, to grupa najbardziej konserwatywna, przeciwna równouprawnieniu osób LGBT, postulatowi liberalizacji aborcji, najsilniej też związana z Kościołem. I najmniej wrażliwa na ekologię czy łamanie praworządności. Znaczenia wielu afer obozu władzy nawet nie mają szansy rozstrzygnąć, bo oglądają tylko TVP, nigdy się o nich nie dowiadują.

Starsze kobiety nie dostają oczywiście 500 plus, ale nie muszą już w tak wielkim ►

► stopniu dokładać się do wychowania swoich wnuków. Mogą zacząć cokolwiek odkładać albo wyjść z długów. Mimo centrowych czy nawet lewicowych poglądów głosowanie np. na lewicę wciąż źle im się kojarzy („komuchów nie poprę”).

### Młodych mniej niż starszych

A demografia jest nieubłagana. Osób w wieku 60 plus jest prawie dwa razy więcej (9,8 mln) niż choćby ludzi w grupie wiekowej 18–29 lat (5 mln). Przy czym w każdej z grup kobiet jest więcej, a z wiekiem dysproporcje jeszcze się pogłębiają – powyżej 80. roku życia na jednego mężczyznę przypada mniej więcej, jak to się dziwnie ujmie w statystyce, dwie i pół kobiety. – *Osób w wieku 60 plus jest znacznie więcej niż osób w wieku 18–30. Jeszcze 15–20 lat temu była między tymi grupami względna równowaga, dziś seniorzy mogą młodych nakryć czapką* – mówi prof. Miłkołaj Cześniak, socjolog, politolog, dyrektor Instytutu Nauk Społecznych na Uniwersytecie SWPS. – *Wielu starszych może nie chcieć iść na wybory, a i tak rezerwuuar głosów jest ogromny. Osoby młode tej armii emerytów nie są w stanie przegłosować, nawet gdyby się w 100 proc. zmobilizowały* – wylicza prof. Cześniak.

Kluczowe jest wreszcie miejsce zamieszkania. PiS utrzymuje swoje twierdze: wyborców ze wsi i małych miast. W ogóle małe miasteczka (20–100 tys. mieszkańców) to ostoje konserwatyzmu. Wiele osób żyje z renty, jest na emeryturze, dominują małe przedsiębiorstwa typu wulkanizacja, mały spożywczy. Tu Polska często zatrzymała się w latach 90. To może zaskakiwać, ale jak pokazują badania, mieszkańcy tych miast dużo rzadziej niż choćby kobiety na wsi wspierają swoje córki w tym, żeby wyszły z domów, skończyły studia, miały lepsze życie niż one same. Mają mniej aspiracji. Jednocześnie roszczeniowe podejście, żeby „państwo dało”, jest silne, bo – jeszcze raz – to środowisko zdominowane przez emerytki, rencistki, kobiety zajmujące się domem, bezrobotne. Dochód jest naprawdę kluczowy – jedyna grupa, w której w 2020 r. Andrzej Duda uzyskał mocną przewagę, to kobiety zarabiające poniżej tysiąca złotych. Wściekłe na PO za to, że nie potrafiła dać 500 plus wcześniej.

Tymczasem pojawiła się na scenie politycznej Konfederacja, na którą chce głosować 7 proc. kobiet i 18 proc. mężczyzn. To osoby, którym znudził się „pisowski socjal”. Mieszkająca na wsi 49-letnia Patrycja mówi wprost: – *Nie będę głosowała na rządzącą partię, bo nie podoba mi się to, co się dzieje, wszelkie rozdawnictwo*

*i drożyzna, pomoc Ukrainie zwłaszcza. Mimo indoktrynacji TVP, która dociera przede wszystkim na wieś i do miasteczek, do wszystkich w tym momencie dociera już inflacja, a także rozsiane po kraju billboardy, że „PiS równa się drożyzna”. Wchodzi na to poletko Konfederacja, która mówi, że wszystko da się zrobić prosto. Przyjmuje strategię mimikry – upodabnia się do wyborcy. Chce być fajna. Zaprasza na grilla i piwo.*

– *Rozmawiałam niedawno z młodą kobietą, która głosuje na Konfederację. Dlaczego? „Bo oni mają takie proste rozwiązania gospodarcze, wreszcie ludzie przestaną kraść”, usłyszałam. Dowiedziała się o tym z komunikatorów, z TikToka. To ode mnie usłyszała, że Mentzen chce zakazu aborcji. Oczywiście wyszły jej z orbit – opowiada Pawlikowska. Julia Niemirska, 20 lat: – *Będę głosować na Konfederację, bo popieram ich postulaty dotyczące gospodarki. Niestety żadna partia w Polsce nie jest idealna. Staram się wybierać mniejsze zło.**

Jest pewna grupa wyborczyń PiS i Konfederacji, która ma świadomość, co politycy tych partii planują w kontekście aborcji, rodzenia, polityki wolnościowej, i mimo to ich popiera. – *To jest dla mnie naprawdę dużym zaskoczeniem. Opozycja powinna to szybko kontrolować, przygotowywać swoje filmiki na ten temat, próbować odzyskać młode wyborczynie* – komentuje Pawlikowska.

– *Jestem głęboko przekonana, że zainteresowanie kobiet Konfederacją, jeśli jakieś występuje, to jest chwilowe i wynika stąd, że Konfederacja próbuje przedstawić się jako siła antysystemowa. To oczywiście oszustwo, Konfederacja to koalicyjne zaplecze PiS, które zresztą już kiedyś z PiS rządziło, jak pan Bosak* – mówi Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, posłanka Lewicy. – *Konfederacja kobietom nie ma do zaoferowania nic, a jeśli już, to jeszcze większy kaganiec. Kaja Godek, która chciała usadzić kobiety do więzienia za przerywanie ciąży, startowała z list tej partii. To jest twarz Konfederacji.*

### Nadal mniejsze zło

Dla młodszych pokoleń ostatnie osiem lat to pasmo rozczarowań, a frustracja, zmęczenie, odmowa uczestnictwa w życiu publicznym bywa jedynym skutecznym mechanizmem obronnym. Rządy Zjednoczonej Prawicy są antykobiece, chociaż chcą uchodzić za prorodzinne. Prawo aborcyjne to najjaskrawszy tego przykład. Żadna władza w Polsce po 1989 r. nie wyprowadziła tylu kobiet (i sojuszników sprawy) na ulice, a jednocześnie protest okazał się w gruncie rzeczy nieskuteczny

– Trybunał Julii Przyłębskiej wydał swój wyrok, sankcjonując drakońskie prawo, które dziś przyczynia się do śmierci kobiet. „W Polsce umiera się na ciążę”, plany prokreacyjne odkłada na przyszłość, rośnie nieufność do lekarzy.

Zdaniem 48 proc. ankietowanych Kantara (sondaż dla „Faktów” TVN i TVN24 z czerwca) sytuacja kobiet w ostatnich ośmiu latach się pogorszyła, zmiany na plus ocenia 24 proc. Z kolei w niedawnym spocie opublikowanym przez Kancelarię Premiera Polki dowiadują się, że są „wyjątkowymi Europejkami”, przedsiębiorcze, silne. Rząd tymczasem dba o ich „zdrowie i bezpieczeństwo” i „wspiera ich rozwój”. Ale inne wypowiedzi o kobietach należałoby raczej zapisać w anałach: że każda średnio rozgarnięta wie, gdzie przerwać ciążę. I że lubią sobie „dać w szyję”. Niemniej spot świadczy o tym, że PiS kobiet – w różnym wieku – sobie nie odpuścił.

Ale zdaniem naszych rozmówców na wielkie poparcie młodych liczyć nie może. Marta Lempart, która jesienią nie będzie startować z list żadnej partii, mówi tak: – *Z różnych analiz wiadomo, że tematem numer jeden jest inflacja. Jednocześnie wiemy, jak ważne dla młodych są aborcja, prawa osób LGBT, uchodźców. Jeśli ktoś będzie przed wyborami znowu mówił, że strategicznie trzeba schować te tematy, to straci wielu młodych i głosy kobiet.*

Zdaniem liderki OSK zaważyć o wynikach wyborów może aborcja. Lempart planuje włączyć się w kampanię profrekwencyjną, rozbudowując m.in. portal „Aborcja na tak”, który zbiera deklaracje polityków na temat legalizacji przerywania ciąży, a jeśli nie chcieli takich złożyć, analizuje ich głosowania w Sejmie i wypowiedzi w mediach. Tytaniczna praca.

### Siostry wynoszą śmieci

Dla opozycji szansą jest postępująca zmiana pokoleniowa. Dziś kobiety do 40. roku życia są najbardziej progresywną grupą w Polsce, zaniepokojoną stanem praw człowieka, mniejszości i środowiska, obawiającą się o przyszłość Polski w Unii. Chciałyby dobrej polityki społecznej, liberalizacji ustawy antyaborcyjnej. Nie bez powodu w swoim newsletterze Ordo Iuris grzmi: „Raz po raz daje się w Polsce słyszeć lament z powodu zawłaszczania młodego pokolenia przez ideologię gender, subkulturę LGBT i radykalną lewicę. We współczesnym świecie zmiany społeczne postępują błyskawicznie. Kilka lat temu amerykańska firma badawcza Pew Research Center uznała Polskę za światowego lidera w tempie laicyzacji młodego

pokolenia. Jak to zwykle bywa, wielu stawia ponure diagnozy, a tylko niewielu proponuje rozwiązania”. Wiedza, co się szykuje. Boją się. I słusznie.

Polki są poza wszystkim dobrze wykształcone, dwukrotnie częściej niż młodzi mężczyźni migrują ze wsi i miasteczek do dużych miast. Nasi rozmówcy bardzo ostrożnie podchodzą do narracji o „młodych nawróconych konfederatkach”, choć takich deklaracji nie należy rzecz jasna lekceważyć. – *Kobiety nie tak chętnie jak mężczyźni głosują na partie skrajne, populistyczne. W przeszłości Samoobrona, partia Janusza Korwin-Mikkego, teraz Konfederacja – to zawsze męski elektorat* – komentuje prof. Małgorzata Fuszara, prawniczka, socjolożka, współtwórczyni i kierowniczka Gender Studies przy Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych UW. – *Badania CBOS przed laty wykazały, że po czarnych protestach, mimo poczucia fiaska, elektorat kobiety w wieku 18–24 lata przesunął się bardzo na lewo. Jeśli młodzi uczestniczą w gigantycznych protestach dotyczących praw reprodukcyjnych, klimatu itd., a politycy sądzą, że mogą spać spokojnie – to są w błędzie.*

To kolejne ważne mity do rozbrojenia – że para z czarnych protestów poszła w gwizdek, energia całkiem wygasła, młodych polityka nie interesuje, nie głosują. W 2019 r. do wyborów europejskich poszło ich 27 proc., w październiku 2019 – 46 proc., a w czerwcu 2020 – 65 proc. W rok frekwencja w wyborach w przypadku młodych wzrosła z 27 proc. do 64 proc., ponaddwukrotnie. Są wkurzeni. Te emocje nie są jeszcze w pełni zagospodarowane politycznie, stąd rozsypanie głosów na kilka różnych opcji, ale to dla opozycji dobra wiadomość, bo grupa w całej swojej masie najwyraźniej jest podatna na mobilizację. Cztery lata temu najwyższą frekwencję odnotowano w grupie osób 40–49 lat – aż 75 proc. Wśród 30-latków również wysoko, bo 60 proc.

Bojkot wyborczy też jest zresztą jakąś deklaracją. A jak wynika z różnych badań, to kobiety częściej czują, że „żadna partia ich nie reprezentuje”. – *Polacy nauczyli się w latach 80., że bojkot głosowania jest jakimś sposobem radzenia sobie z polityką* – mówi prof. Mikołaj Cześnik. – *Dziś frekwencja u starszych nie spada tak gwałtownie, a młodzi mają mniej do stracenia lub zyskania. Nie mają też jeszcze własnej historii politycznej. Nie bez powodu mówią, że socjalizujemy się do głosowania* – wyjaśnia prof. Cześnik.

Młodsze wyborczynie potrzebują wiedzieć, że mają za czym głosować. – *Prawda jest też to, że część kobiet w Polsce*

*zastanawia się, czy w ogóle iść na wybory. To bardzo istotny sygnał dla całej klasy politycznej* – mówi Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. W ogóle udział kobiet w polityce, czynnie i biernie, stał się niesłychanie gorącym tematem na świecie. – *Opowiadania naszych polityków, że taki postęp dokonuje się tylko w Skandynawii, są bala-mutne* – mówi prof. Fuszara. – *To się dzieje we Francji, Belgii, w Ameryce Południowej.*

### Prawie pozamiatane

Cudów nie ma – dodaje prof. Fuszara – szklany sufit może i został w Polsce przebity. Ale stołki są jeszcze zajęte. Postęp jednak widać: w ostatnich latach do polityki weszło sporo kobiet, najwyżej regularnie wchodzi z list PO (to dzięki regule, że w pierwszej trójce musi być przynajmniej jedna kobieta lub mężczyzna, a w pierwszej piątce zachowane proporcje 2:3), polityczne aspiracje spełniają też co niektóre aktywistki (bardzo popularna Katarzyna Kotula weszła do parlamentu z czwartego miejsca w Szczecinie). – *Nawet Donald Tusk od historii Izabeli z Pszczyny wielokrotnie mówił o „piekle kobiet”* – zauważa prof. Fuszara. – *Jego przemówienia są czasem bardzo, powiedziała bym, feministyczne. Psychologiczną barierę wciąż trzeba jednak przebijać. – Rozmawiam z koleżankami, które są blisko NGO-sów, organizacji społecznych, ale boją się zrobić ten krok do przodu, czyli startować w wyborach. Uważam, że to ważne, żeby być w partii i ją zmieniać. My jako polityczki mamy wpływ na to, dokąd partia zmierza* – mówi Katarzyna Kotula, która do Sejmu startowała w 2019 r.

z list Wiosny. Do partii wstąpiła dopiero pół roku po wyborach.

Może zresztą wszystko jest kwestią narracji, dobrej opowieści. Katarzyna Pawlikowska: – *To social media wygrały wybory. Nie spoty, nie billboardy, tylko TikTok i Instagram. Tam są dziś młodzi, tam są kobiety. Wszystko inne, także konieczne spotkania w terenie będą tylko dopełnieniem. Do kobiet trzeba trafić z bardzo jasnym i pozytywnym przekazem dotyczącym wizji państwa: świeckiego – nawet wierzący w Polsce chcą rozdziału państwa od Kościoła, a Kościół jest dziś autorytetem tylko dla 5 proc. kobiet – z jasno prowadzoną polityką gospodarczą, obietnicą zmniejszenia inflacji, przywrócenia praworządności, dbania o klimat i środowisko, z planem zwiększenia poczucia bezpieczeństwa, nie tylko zewnętrznego, ale i spokojnego życia. Żeby za granicą nie trzeba się było wstydzić, że jesteśmy Polkami, Polakami. Żeby każdy mógł wychowywać dzieci, jak chce. Chcesz chodzić pięć razy dziennie do kościoła, to chodź. Potrzebujesz aborcji, to masz do niej dostęp i nie boisz się śmierci w szpitalu. To są bardzo proste oczekiwania.*

Dla polityków to jednak trudne zadanie: muszą lawirować na wielu frontach. Ruszyć w Polskę powiatową i wejść na Tik-Toka. Walka toczy się nie o te dwadzieścia parę procent twardego elektoratu głównych partii, który głosuje zawsze, nawet na urlopie, ale o te 100–300 tys. najbardziej labilnych, czyli młodych, głównie kobiet. Do nich PiS nie dociera: mimo zaangażowania potężnych środków, nowych obietnic i próby rozpętania wojny kulturowej partia Kaczyńskiego przez trzy miesiące sondażowo nie urosła. Powtórka z kampanii 2015 czy nawet 2019 r. się nie sprawdzi, zmieniła nas pandemia, wojna, mamy inną świadomość po tym, co stało się z aborcją. Już też nie trzeba się bać Kościoła – młodszym wyborcom księża kojarzą się ze średniowieczem, a popierający ich politycy ze słomą wystającą z butów. – *Młodzi to nie jest grupa rekonstruktorów bitwy pod Grunwaldem, ale parę milionów ludzi, których nie można lekceważyć* – mówi prof. Cześnik.

Jednocześnie o tym, jak kto ostatecznie głosuje, decydują emocje z ostatnich tygodni i dni kampanii. Można się spodziewać nagłych zwrotów akcji, prowokacji, a także wzmacniania poczucia zagrożenia. Które jest jednak zdecydowanie większe i głębiej odczuwane – na różnych polach – właśnie przez kobiety. W październiku może się to okazać szczególnie mobilizujące.

AGATA SZCZERBIAK  
ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

# Biuromaty

ANNA DĄBROWSKA

VIOLETTA KRASNOWSKA

# N

a działalność biur parlamentarnych podatnicy wydają miesięcznie 10 mln 640 tys. zł.

Rocznie na każdego posła i senatora przypada 228 tys. zł. Prawo nakłada na nich obowiązek prowadzenia przynajmniej jednego biura, ale nie daje wskazówek, czym konkretnie mają się w nich zajmować. Ustawa o wykonywaniu mandatu posła i senatora mówi za ledwie, że tworzą biura „w celu obsługi swojej działalności w terenie”.

Z ryczałtu można opłacać wynagrodzenie pracowników biur poselskich, tłumaczenia, opinie ekspertów, usługi telekomunikacyjne związane z wykonywaniem mandatu poselskiego i przejazdy samochodami w związku z wykonywaniem mandatu. Ryczałt ma być przeznaczony na pokrywanie wydatków bieżących, jak czynsz i rachunki lokalowe, oraz podróże służbowe pracowników, zakup materiałów biurowych, prasy, koszty obsługi rachunkowo-księgowej i bankowej biura. I tyle.

A jak to się ma do dzisiejszej rzeczywistości?

## Dla siebie

Jak wynika ze sprawozdań z rozliczeń ryczałtów na biura, które zbiera Radosław Karbowski (twórca Skrótu politycznego, bazy danych na temat polityków) i przeanalizowała POLITYKA, bywa on traktowany przez parlamentarzystów jako po prostu dodatkowy pieniądź do wydania na rzeczy, które z wykonywaniem mandatu trudno połączyć. Posłanka PiS Ewa Kozanecka kupiła z tych pieniędzy lampy-kule do ogrodu za 308 zł,

Biura poselskie są dziś głównie przyczółkami służącymi do celów partyjnych. PiS, z sejmową większością, mógłby to zmienić, ale partii na tym nie zależy. Opracowała system korzystania z tych publicznych pieniędzy.

BIURO POSELSKIE



pulsoksymetr i smartwatch – zegarek z funkcją liczenia kroków, mierzenia ciśnienia itp. za 304 zł. Małgorzata Wassermann na potrzeby sprawowania funkcji posłanki zakupiła ekspres do kawy za 2 tys. zł plus spieniacz do mleka za 300 zł. A minister infrastruktury i poseł Andrzej Adamczyk za 1,4 tys. zł kupił sobie sprzęt do lokalizacji fotoradarów. – *To tym bardziej dziwne, że przecież Andrzeja jako ministra wozi limuzyna, więc nie powinien się przejmować mandatami, może to sprzęt dla żony?* – zastanawia się jeden z posłów PiS.

Powszechnie są zakupy z pieniędzy na biuro telefonów z wyższej półki. Poseł Franciszek Starczewski z Koalicji Obywatelskiej kupił sobie telefon za prawie 8 tys. zł, a spytany, czy nie rozważał zakupu tańszego modelu, odparł, że taki po prostu był mu potrzebny. Takich „gadżeciarzy” za publiczne pieniądze jest w Sejmie więcej. Jacek Ozdoba, wiceminister środowiska i klimatu, oprócz telefonu za 5,6 tys. zł kupił jeszcze słuchawki za 949 zł. Rafał Bochenek z PiS nabył dwa telefony, za 5,2 tys. i 4,8 tys. zł. Posłanka Joanna Lichočka w 2021 r. kupiła notebok za 5 tys. zł i smartfon za 3,6 tys. zł, za rok kolejny telefon.

Zbigniew Ziobro z 231 tys., które wydał w minionym roku na prowadzenie biura, aż 76 tys. przeznaczył na promocję w internecie. Ponieważ minister jest wożony limuzyną, więc koszty przejazdu jako posła wyniosły go zero złotych. Dominika Chorościńska (PiS) w sejmowym wykazie współpraco-

wników ujawniła tylko dwóch asystentów społecznych, ale już w rozliczeniu biura zeznała, że na pensję na podstawie umowy o pracę wydała prawie 5 tys. zł, a na umowy-zlecenia i o dzieło prawie 80 tys. zł. Dla kogo, trudno ustalić. Wiadomo na pewno, że posłance zależy na komforcie w biurze, bo z pieniędzy sejmowych zakupiła narożnik za 6 tys. zł.

## Dla partii matki

Poza tymi zakupami pieniądze na działalność biura kierowane są do partii matki. Najprościej – i to jest popularne – współwynajmując z nią biuro czy dzieląc się pracownikami. Marszałek Ryszard Terlecki swoje podstawowe biuro poselskie otworzył wprost w siedzibie małopolskiego PiS przy ul. Retoryki 7 w Krakowie. Partia płaci za wynajem tego biura 5 tys. zł miesięcznie. Terlecki zaś największą część ryczałtu przeznaczył na wynagrodzenia dla pracowników – 159 tys. zł, choć jak sam podał w innym miejscu na stronie sejmowej, nikogo formalnie nie zatrudnił. To komu wypłacił te pieniądze? Pod sprawozdaniem ostatnim jak i poprzednimi jest podpis osoby pracującej dla PiS. – *To powszechna praktyka, ktoś pracuje dla partii, ale płaci mu się z pieniędzy na biura, bo tak partia może sporo zaoszczędzić* – opowiada były poseł PiS.

Przykładów powiązania biur poselskich z siedzibami partii jest więcej. Do lokalu warszawskiego biura okręgowego PiS trafiliśmy, szukając biur posła Mariusza Kamińskiego, posłanki Anity Czerwińskiej i Jarosława Krajewskiego. Wszystkie pod jednym adresem: ul. Koszykowa 10 w Warszawie. Na domofonie karteczka, żeby iść kilka kroków dalej, za róg, i po schodkach do siedziby PiS. Partia płaci za wynajem tego biura z partyjnej kasy 1,5 tys. zł miesięcznie, resztę dorzucają posłowie, którzy też mają tu swoje wspólne biuro. Pytamy o lokal posła Kamińskiego. – *No co pani, przecież to jest minister* – odpowiada mężczyzna przedstawiający się jako dyrektor biura. Ale też poseł – upieramy się. – *Nie, jakie biuro, minister jest zajęty* – słyszymy. To jak wyborca może się skontaktować z posłem? – *My jesteśmy tylko skrzynką przesyłową. Jak jakiś list do niego przyjdzie, to mu przekazujemy* – tłumaczy mechanizm. Poseł Kamiński na swoje biuro podstawowe wydaje rocznie z pieniędzy publicznych: 135 tys. zł na pensje pracowników i prawie 29 tys. zł za wynajem. Za sprząatanie – 5,2 tys. zł, usługi gastronomiczne prawie tysiąc złotych, artykuły spożywcze – 700 zł.

Dużo jest wydatków na catering szykowany – jak piszą posłowie – „na spotkania z wyborcami”. Sebastian Kaleta na przykład wpisał 5 tys. zł za „usługę cateringową na spotkania z wyborcami” plus „dostawa stołów”. Choć nie ma żadnego zdjęcia na stronie internetowej posła z takiego spotkania (stół składany za ok. 600 zł poseł na potrzeby biura zakupił). W Sejmie plotkuje się, że wielu posłów bierze faktury na biuro na poczęstunek dla wyborców, a tak naprawdę opłaca z tych pieniędzy swoje menu.

Jako poseł premier Mateusz Morawiecki poza czynszem za biuro – 54 tys. zł, pensją pracownika – 90 tys. zł, wykazał 25 tys. zł na catering na spotkania z wyborcami. W sumie koszt biura posła-premiera to 176 tys. 537,41 zł.

Szef Kancelarii Premiera Marek Kuchciński dzieli adres swojego biura poselskiego w zabytkowej kamienicy w Przemysłu z siedzibą Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego. Do niedawna Kuchciński był jego szefem. Ostatnio pisaliśmy w POLITYCE, że organizacja dostała jedną z najwyższych dotacji – 352 tys. zł – z Narodowego Instytutu Wolności

na swój „rozwój instytucjonalny i misyjny”. W minionym roku w siedzibie odbył się wielki remont. Na Facebooku poinformowano: „Nasze spotkanie w lokalu mogło odbyć się dzięki Fundacji PKO Banku Polskiego, która przekazała na rzecz Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego darowiznę na dofinansowanie działalności, w tym na remont i przystosowanie siedziby do aktualnych potrzeb oraz doposażenie w niezbędny sprzęt. Dziękujemy!”. W maju w związku z naszym tekstem Kuchciński wydał oświadczenie: „Dla ścisłości informacji: biuro poselskie mieści się na piętrze tej kamienicy, a lokal Towarzystwa – na parterze. Najważniejsze jest co innego – od czasów pierwszych wolnych w Polsce wyborów to miejsce jest siedzibą środowiska ludzi zmieniających Polskę w zgodzie z ideałami Solidarności (...) Przemyskiego Towarzystwa Kulturalnego, Porozumienia Centrum, Prawa i Sprawiedliwości...”.

Jednak nasi rozmówcy, również z PiS, przyznają, że PTK służy w dużej mierze promocji Kuchcińskiego, który osobiście doglądał, jak idzie remont siedziby, finansowany za pieniądze ze spółki Skarbu Państwa. Towarzystwo utrzymywane jest głównie z państwowych środków (sponsorami są fundacja PZU, PGE, Agencja Rozwoju Przemysłu, a także Orlen Oil oraz wspomniany już NIW). – *Z Sejmu nie dostaję aż tyle pieniędzy, aby powiększyć biuro, więc ma teraz bardzo komfortowe warunki do organizacji spotkań, na których się promuje, za co w większości płacą państwowi sponsorzy* – opowiada nasz informator. Kuchciński w minionym roku wydał na wynajem biura poselskiego 8,5 tys. zł i 145 tys. zł na umowy o pracę z trzema pracownikami.

Tyle samo pracowników zatrudnia Jarosław Kaczyński i tyle też wydał w ub.r. na ich pensje. Ile komu zapłacił, tego nie sposób ustalić. Wiadomo natomiast, że za czynsz na biuro poselskie, w tym rachunki, zapłacił prawie 11 tys. zł (zatrudnia trzech pracowników i na ich pensje wydał 145 tys. zł), a biuro zarejestrował w budynku przy Al. Jerozolimskich 125/127. To adres biurowca należącego do spółki Srebrna, z którą – jak przekonywał wiele razy prezes PiS – osobiście nie ma nic wspólnego. Jednak przy okazji „taśm Kaczyńskiego” i nagranych negocjacji w sprawie budowania bliźniaczych wież wyszło, że to on zarządza Srebrną. – *Ale w dokumentach spółki go nie ma, więc formalnie wynajmuje lokal na biuro poselskie od spółki, z którą nic go nie łączy* – przekonuje polityk PiS. I dodaje, że to żadne wielkie pieniądze, więc nie ma się o co czepiać. A jednak pieniądze publiczne, bo z Kancelarii Sejmu.

Tak naprawdę Kaczyński nawet w tym biurze nie bywa. Naklejka z napisem „biuro poselskie” jest w biurowcu partii przy ul. Nowogrodzkiej. Do tego biura prowadzą te same drzwi co do Biura Prezydyjnego partii. O co tu chodzi? – *To siedziba partii, a tu nie można urządzać biur poselskiego, więc formalnie biuro poselskie prezesa jest przy Al. Jerozolimskich, choć praktycznie tu* – tłumaczy nasz rozmówca. Zarządzenie marszałka Sejmu nie pozwala wykorzystywać ryczałtu m.in. na finansowanie działalności partii politycznych, na prowadzenie kampanii wyborczej. Choć trudno oddzielić działalność poselską od partyjnej, nie mówiąc już o tym, że cała działalność poselska teraz przed wyborami jest kampanią.

Okazuje się, że wiele partyjnych biur okręgowych PiS ma dokładnie ten sam adres co biura poselskie. Tak jest m.in. w Radomiu, Bydgoszczy i ze wspomnianym już biurem przy ul. Koszykowej w Warszawie. Finansowo korzystają na takim układzie i partia, i posłowie. Sprawdziliśmy, że PiS na czynsz na biuro okręgowe w Radomiu wydaje miesięcznie 850 zł, ►

► a w Bydgoszczy 1,5 tys. zł. Gdyby partia chciała wynająć całe biuro, to z partyjnej kasy musiałaby wydać o wiele więcej, a tak dorzucają się posłowie z pieniędzy z Kancelarii Sejmu przeznaczonych na biura poselskie. Nasi rozmówcy opowiadają, że w takim biurze na jednych drzwiach wieszają się tabliczkę biuro poselskie, na drugich okręgowe, i formalnie to są dwa oddzielne lokale, choć pod jednym adresem i działają w jednej partyjnej sprawie.

## Dla swoich

Czynsz dzieli się z partią, a wynagrodzenie idzie dla ludzi partii. Dyrektorem biura poselskiego Mariusza Kamińskiego jest 29-letni Michał Szpąderski. To radny PiS z Ursynowa. Od Kamińskiego dostaje za to – według jego ostatniego oświadczenia majątkowego – 68 tys. zł rocznie. To dwa razy więcej, niż dostaje diet jako radny.

W sierpniu 2022 r. na stronie sejmowej posła Przemysła Czarneckiego pojawiło się czterech pracowników, ale ze sprawozdania biurowego za miniony rok wynika, że żaden nie jest zatrudniony na umowę o pracę (poseł wydał 38 tys. zł na umowy o dzieło/zlecenia). – *Zazwyczaj wygląda to tak, że wykonują jakieś prace dla posła, ale są związani z partią i dzięki PiS mogą zarobić pieniądze w jakichś spółkach, radach nadzorczych itp., do których ich deleguje* – opowiada nasz informator. Poseł może dzięki temu zaoszczędzić na inne wydatki biurowe, np. na paliwo, i nie musi ich pokrywać z własnej kieszeni. Faktycznie jeden z pracowników Czarneckiego to też wrocławski radny Dariusz Piwoński, zatrudniony w Polskiej Spółce Gazownictwa jako specjalista ds. organizacyjno-prawnych z dochodem 157 tys. zł rocznie, a także członek rady nadzorczej WFOŚiGW we Wrocławiu, gdzie dorabia jeszcze prawie 50 tys. zł rocznie. Marek Suski też zadbał finansowo o dyrektorkę swojego biura poselskiego Kingę Bogusz. Poza tym, że rocznie zarabia u niego w biurze ok. 50 tys. zł, to kiedy Suski był ministrem w KPRM, ona też tam zarabiała ok. 100 tys. zł rocznie. Kiedy odszedł z Kancelarii Premiera, Bogusz dorabia drugie tyle co w biurze poselskim jako specjalistka w WFOŚiGW w Warszawie.

Są też biura, które istnieją, ale nie wiadomo po co, pozakładane we wsiach czy małych miasteczkach, jak np. biuro marszałka Terleckiego na obrzeżach małej, liczącej 7 tys. mieszkańców wsi Zielonka w Małopolsce. – *Tabliczka jest, ale ruchu tu nie ma* – mówi pracownik sklepu pod tym samym adresem. Terlecki ma też – jak wynika ze strony sejmowej – biura w Miechowie i pobliskich Słomnikach (4 tys. mieszkańców). Dzieli je formalnie z posłanką Elżbietą Dudą z PiS. Takich łączeń – jedno biuro na kilku posłów i senatorów z okręgu – w małych miejscowościach jest sporo. Poseł Horala ma wpisanych w sumie sześć takich biur. Poza swoim podstawowym w Gdyni, też w Łęborku, Wejherowie, Człuchowie, Miastku i w Kartuzach. Ale numer telefonu jest tylko jeden – okazuje się – do biura w Gdyni. Po co tyle biur? Czy poseł ma w nich dyżury? – pytamy. Pani z biura tłumaczy: – *Jakby ktoś zadzwonił np. z Wejherowa czy okolic i chciał się spotkać z panem posłem, to byłaby taka możliwość i starałabym się umówić takie spotkanie*. Choć dodaje, że poseł ostatnio jest bardzo zajęty. Czyli przez cały czas te wynajęte mieszkania na biura

po prostu stoją? – dopytujemy. – *No, w sumie tak* – przyznaje kobieta.

Nasi rozmówcy z PiS twierdzą, że prezes kazał pozakładać te biura, aby było widać, że są blisko ludzi. Posłowie tu nie bywają, ale podobno te lokale przydają się w czasie kampanii. Można coś zorganizować, przechować, jest jakaś wyborcza baza.

Siedziba biura nie może być usytuowana na terenie nieruchomości stanowiącej własność posła lub członka jego rodziny bądź nieruchomości, do której przysługuje im inny tytuł prawny. Traktowanie biur poselskich i senatorskich jako dodatkowych apanaży potrafi jednak sięgać nadspodziewanie daleko. Na obrzeżach Białej Podlaskiej, w budynku przy ul. Francuskiej 136, swoje biuro senatorskie ma od lat milioner Grzegorz Bierecki, twórca SKOK. Wcześniej swoje biuro miała tam też jego prawa ręka w SKOK Janusz Szewczak (dziś we władzach Orleń).

W 2020 r. swoje biuro poselskie otworzył tam również Jacek Sasin – i to jest podstawowe biuro wicepremiera i ministra aktywów państwowych. A także poseł Dariusz Stefaniuk, niegdyś dyrektor biura Biereckiego, dziś poseł, oraz europosłanka Beata Mazurek. Tymczasem – jak ustaliła POLITYKA – nieruchomość ta należy do spółki Arenda (wynajem i zarządzanie nieruchomościami) – własności Grzegorza Biereckiego i prawnika z Gdyni Andrzeja Sosnowskiego. Innymi słowy pieniądze z wynajmu tych biur trafiają m.in. do samego senatora. Za najem biura Bierecki płaci z pieniędzy parlamentu – wynika ze sprawozdania – zaledwie 4 tys. zł, ale Dariusz Stefaniuk, kiedyś jego szef biura, dziś poseł, prawie 11 tys. zł, a Jacek Sasin – 60 tys. zł (w tym 8 tys. za naprawy i remonty).

Może uczciwszym rozwiązaniem byłoby opłacanie biur poselskich z pieniędzy partyjnych, skoro i tak w większości te biura są z partią zrośnięte.

## Dla wszystkich

Posłowie, i to z różnych klubów parlamentarnych, nie chcą rozmawiać o biurach pod nazwiskiem. Mówią o nadużyciach, niejasnych przepisach, a także o słabej kontroli wydatków na działalność parlamentarzystów. Szefowa Kancelarii Sejmu (z PiS) raz w roku przedstawia na prezydium komisji regulaminowej sprawozdanie z kontroli w biurach poselskich, ale – jak twierdzą posłowie – nic z nich nie wynika. Parlamentarzyści w rocznych sprawozdaniach nie muszą nawet przedstawiać faktur za zakupy, tylko oświadczenia, na co wydali publiczne pieniądze.

– *Na pewno należy zmienić sposoby funkcjonowania biur, bo w dzisiejszych czasach koszty można ograniczyć do jednego pracownika, laptopa, internetu i telefonu* – mówi jeden z posłów PiS. Dodaje, że dziś do biur ludzie przychodzą najczęściej po pomoc (załatwienie mieszkania, pracy, pomoc w sprawie sądowej), której i tak posłowie nie mogą im udzielić. Pojawiały się już pomysły, aby zrobić wspólne centrum parlamentarne, w którym pracują wszyscy posłowie z danego okręgu. – *Ale przy tej polaryzacji i emocjach to się nie może udać* – zauważa nasz rozmówca.

Może uczciwszym rozwiązaniem byłoby opłacanie biur poselskich z pieniędzy partyjnych, skoro i tak w większości te biura są z partią zrośnięte, a posłowie to głównie wykonawcy partyjnych wytycznych. Jednak do przeprowadzenia tych zmian nie ma woli politycznej, a PiS w tej kadencji zmienił tyle, że trzy razy dał podwyżki na biura.

ANNA DĄBROWSKA, VIOLETTA KRASNOWSKA

Obrazy docierające z Francji w minionych dniach, a także polski spór o imigrantów, mogłyby sugerować, że to jedynie sprawcy kłopotów i nosiciele destrukcji. Dlaczego w takim razie prawie wszystkie kraje zachodnie utrzymują dodatnie saldo migracji?



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

# Potrzebujemy, ale się boimy

JANUSZ A. MAJCHEREK

**P**odstawową korzyścią płynącą z imigracji jest, oczywiście, wypełnianie narastającej luki demograficznej. W ubiegłym roku zanotowano we Francji najmniejszą liczbę urodzeń od 70 lat (723 tys.), ale w dużej mierze dzięki imigrantkom kraj ten ma najwyższy w Europie wskaźnik dzietności (1,80) i dodatni przyrost naturalny. Niemiecki Instytut Maxa Plancka oszacował, że przy takich wskaźnikach w połowie stulecia populacja Francji może przebić zaludnienie Niemiec, co byłoby bodaj nie

do przyjęcia nie tylko dla rządzących, lecz także mieszkańców państwa tracącego w ten sposób status najludniejszego i tym samym dominującego w Unii Europejskiej (nie mówiąc już o pewnego rodzaju porażce w odwiecznej, choć w ostatnich dekadach pokojowej, rywalizacji z zachodnim sąsiadem).

Rząd Niemiec zorganizował więc pod koniec 2022 r. konferencję pod znamienym hasłem „Niemcy – kraj imigracji”, na której zadeklarował znaczne ułatwienie procedur osiedlania i naturalizacji przybyszy do tego państwa. Na rządowym portalu minister spraw zagranicznych Republiki Federalnej zamieścił tekst zachęcający

potencjalnych imigrantów do osiedlania się w Niemczech pod wymownym tytułem „We need You”. Posunięcia te oddalają ryzyko utraty populacyjnej przewagi nad zachodnim sąsiadem, także dlatego, że dla odmiany władze francuskie pod wpływem presji ze strony skrajnej prawicy zaostrzają politykę imigracyjną.

**Rządy wielu państw zdają sobie sprawę z zagrożenia depopulacją, pogarszaniem struktury wieku ludności i deficytem siły roboczej.** Władze Kanady, liczącej tyle samo mieszkańców co Polska i notującej dzietność na porównywalnym poziomie 1,49, stale zwiększają ►

► limit migracyjny, sięgający już obecnie kwoty pół miliona osób rocznie. Kanada to kraj migracyjny z istoty, ale na przykład rządząca we Włoszech prawicowa koalicja ma w składzie ugrupowania o rodowodzie faszystowskim i nacjonalistycznym, deklaruje więc ostentacyjnie antyimigrancką politykę. Jednak z tamtejszego rolnictwa i przemysłu napływają permanentne skargi i utyskiwania na brak rąk do pracy. Minister rolnictwa stwierdził więc, że zezwoli na sprowadzenie pół miliona imigrantów w ciągu dwóch lat. Zapewne to nie wystarczy, zatem można się spodziewać po dwóch latach kolejnych transzy migracyjnych. Włochy należą do państw o najniższej dzietności (1,25 w 2022 r.), w 2022 r. urodziło się tam najmniej dzieci od czasu zjednoczenia (czyli powstania) państwa w połowie XIX w., na każde 7 urodzeń przypada 12 zgonów, populacja kraju spadła w ciągu roku o 179 tys. Liczba imigrantów przekroczyła 5 mln, ale bez szybkiego jej wzrostu nie tylko populacja, ale i gospodarka kraju będą się kurczyć.

Podobna sytuacja powstała w pobliżu Wielkiej Brytanii: tamtejsi farmerzy alarmowali, że brak rąk do pracy powoduje niemożność zebrania zbiorów, więc ich część pozostaje na polach i gnije. Premier zgodził się na przyznanie dodatkowych 45 tys. wiz dla zagranicznych pracowników rolnych.

Przykład sugestywny stanowi Szwajcaria, której populacja wzrosła od 1989 r. o jedną trzecią (z 6,6 do 8,8 mln), mimo spadającej dzietności rodowitych Szwajcarek (obecnie 1,33), niższej niż Polek. Od kilku dekad saldo migracji jest jednak dodatnie, na poziomie kilkudziesięciu tysięcy rocznie (w 2022 r. ponad 70 tys.). W tym czasie pozycja państwa, jego gospodarka i waluta umocniły się. W rankingach reputacji Szwajcaria zajmuje regularnie miejsce w pierwszej piątce, często pierwszej trójce na świecie.

### **Korzyści z imigracji nie ograniczają się jednak do uzupełniania deficytu demograficznego.**

Analitycy McKinsey Global Institute w swoim raporcie przedstawili wyliczenia, z których wynika, że imigranci, stanowiący 3,4 proc. populacji ludzkiej (tylu żyje poza krajem urodzenia), przyczyniają się do powiększenia światowego produktu o 9,4 proc., czyli 6,7 bln dol., przy czym gdyby pozostali w swoich macierzystych państwach, ten udział wyniósłby jedynie ok. 3,7 bln dol., zatem per saldo globalna korzyść z migracji wynosi 3 bln dol. Inaczej mówiąc, ich migracja do państw o wyższej produktywności zwiększyła globalny produkt

ILUSTRACJA IRENEUSZ SZUNIEWICZ



### **W ciągu pięciolecia 2018–23 liczba cudzoziemców zarejestrowanych w ZUS, czyli stale przebywających w Polsce pracowników zagranicznych, podwoiła się.**

o 4 proc. W przeważającej części ten wzrost i korzyść z niego wynikająca przypada państwu wysoko rozwiniętym, gdyż to w nich osiedla się dwie trzecie migrantów. Wypełniają w nich nie tylko lukę populacyjną, lecz także niedobór zasobów siły roboczej, przysparzając od 37 proc. jej przyrostu w USA do 48 proc. w UK.

Wybór oraz dobór odpowiedniej polityki migracyjnej jest tym ważniejszy, im znaczniejszej roli oczekuje się od imigracji w rozwiązywaniu problemów demograficznych i ekonomicznych kraju, państwa czy regionu. Zaś według prognoz do końca obecnego stulecia populacja Europejczyków zmaleje o kilkadziesiąt milionów, w tym najwięcej we Włoszech, Niemczech, Polsce i Rumunii. Utrzymanie w krajach Unii Europejskiej relacji ludności w wieku produkcyjnym i poprodukcyjnym na obecnym poziomie wymagałoby imigracji na poziomie kilkunastu milionów rocznie. Jak podaje Eurostat, w 2021 r. na obszar UE trafiło 2,3 mln imigrantów. Istotny jest ich wiek, w przeważającej większości sytuujący ich w kategorii produkcyjnej i reprodukcyjnej, najbardziej pożądanej z demograficznego i ekonomicznego punktu widzenia. Średnia wieku przybyszy do Unii jest znacznie niższa niż jej mieszkańców: nieco ponad 30 lat wobec ponad 44. To znaczy, że imigranci istotnie odmładzają populację Europy.

Taka prawidłowość znajduje potwierdzenie w strukturze wiekowej imigrantów do Polski z Ukrainy, w czasach przed agresją rosyjską (czyli imigracji zarobkowej, występującej jeszcze przed napływem uchodźców wojennych). Aż 520 tys. stanowiły osoby w wieku przedprodukcyjnym, 503 tys. w produkcyjnym i jedynie 75 tys. w poprodukcyjnym. Z demograficznego punktu widzenia to wielkości bardzo korzystne.

Faktem jest niższy odsetek aktywności zawodowej imigrantów w wieku produkcyjnym (niespełna 60 proc.) niż tubylczych mieszkańców państw UE (74 proc.). Wynika on z koniecznego okresu adaptacji i przystosowania do nowych warunków życia i pracy, w tym nauki języka i lokalnych stosunków społecznych; wskazuje na to niższy wśród imigrantów odsetek bezrobotnych długotrwale (ponad rok). Jak zaznacza Eurostat, imigranci wykonują prace na newralgicznych stanowiskach, do których nie ma chętnych tubylców, są więc niezastępowalni. Oznacza to, że na lokalnych rynkach pracy uzupełniają zasoby siły roboczej w branżach i na stanowiskach, gdzie występują jej niedobory, a nie rugują dotychczasowych pracowników z miejsc, w których ci są ustabilizowani i do których są przywiązani ze względów materialnych lub sentymentalnych.

### **Polska wyróżnia się w Europie wysokim odsetkiem zatrudnienia wśród imigrantów:**

według Eurostatu wynosi on wśród imigrantów przybyłych z innych państw UE 77,6 proc., a wśród tych spoza UE 78,2 proc. i oba są wyższe niż wśród ludności tubylczej. Można więc stwierdzić, że imigranci są bardziej aktywni zawodowo niż autochtoni.

W całym 2022 r. wydano 365 tys. pozwoleń na pracę w Polsce, z czego 85 tys. dla Ukraińców, czyli ok. 280 tys. dla przybyszy z innych państw, głównie pozaeuropejskich. O ile liczba ukraińskich pracowników pozostaje na stałym poziomie, o tyle rośnie napływ imigrantów z innych obszarów, w tym egzotycznych, takich jak Indie, Turcja, Indonezja, Nepal, Filipiny. Sumarycznie w ciągu pięciolecia 2018–23 liczba cudzoziemców zarejestrowanych w ZUS, czyli stale przebywających w Polsce pracowników zagranicznych, podwoiła się. Według szacunków prof. Pawła Kubickiego z SGH cudzoziemcy stanowią ok. 6,5 proc. ogólnej liczby pracujących w Polsce i w ciągu kilku lat te wielkości podwoją się lub nawet potroją. Maciej Bukowski z WiseEuropa prognozuje, że w 2050 r. cudzoziemcy będą stanowili 30 proc. siły roboczej w Polsce. O ile, oczywiście, Polaków nie ogarnie antyimigrancka histeria.

Ekonomiści toczą spór o wpływ zróżnicowania etnicznego i kulturowego populacji na efekty ekonomiczne. Sugestywny jest przykład etnicznego składu pracowników Doliny Krzemowej – tego emblematycznego symbolu nowoczesności i innowacyjności technologicznej. Imigranci (urodzeni poza USA) stanowią ponad 38 proc. zatrudnionych, a osoby pochodzenia azjatyckiego i latynoskiego

(licząc także drugie i trzecie pokolenie) to łącznie ponad 60 proc., zaś klasyfikowani jako „biali” to jedynie 30 proc. (pozostałe kilka procent to imigranci z innych regionów świata). W sektorze informatycznym i wymagającym wiedzy matematycznej imigranci stanowią 70 proc. Co więcej, udział wszystkich grup etnicznych w Dolinie rośnie, a „białych” spada. Ponad połowa personelu Doliny rozmawia w domu w innym języku niż angielski.

Badania przeprowadzone w USA wykazały wyższą u imigrantów niż u rodowitych Amerykanów aktywność przedsiębiorczą, inne ustalenia wskazywały, że aktywność ta jest także bardziej efektywna. W Europie samozatrudnieni stanowią wśród imigrantów wprawdzie mniejszy odsetek niż wśród rodowitych mieszkańców (ponad 13 proc. wobec niespełna 15), lecz tworzą porównywalną statystycznie liczbę miejsc pracy. Widać generalnie pozytywny wpływ imigracji na grupę przedsiębiorców. To racjonalne i wytłumaczalne: imigranci nie wchodzą na ogół w branżę, w których specjalizują się przedsiębiorcy działający w ich miejscu osiedlenia, tworzący trudną do pokonania lokalną konkurencję, lecz szukają nowych form zaangażowania. We Włoszech imigrant z Bliskiego Wschodu nie założył pizzerii czy winiarni, lecz ewentualnie kebabownię lub herbaciarnię; w Niemczech nie będzie próbował sił w branży browarniczej czy przemyśle precyzyjnym, lecz raczej w obuwnictwie albo jubilerstwie.

Także aktywność ekonomiczna imigrantów ukraińskich w Polsce potwierdza ich wysoki poziom przedsiębiorczości. Według Polskiego Instytutu Ekonomicznego założyli oni w 2022 r. łącznie 20 tys. przedsiębiorstw, w tym ponad 15 tys. jednoosobowych form działalności gospodarczej oraz ponad 4 tys. spółek z kapitałem ukraińskim (tych działa łącznie już ponad 24 tys.). Jedynie kilka procent z nich przewiduje powrót do kraju, zdecydowana większość planuje rozwijać działalność w Polsce.

**Badania wskazują, że zróżnicowanie etniczne przynosi więcej efektów pozytywnych niż negatywnych** w państwach dobrze zarządzanych, o sprawnej administracji publicznej, wysokiej jakości instytucji prawnych i sądowych, zwłaszcza stojących ponad tożsamościami etnicznymi, kulturowymi i wyznaniowymi (neutralnych pod tymi względami), a także zdecentralizowanym modelu zarządzania. Wyjaśniałoby to, dlaczego imigranci, stanowiący około jednej czwartej mieszkańców obecnej Szwajcarii, nie tylko nie

osłabili, lecz wręcz umocnili wysoką pozycję i renomę tego państwa, będącego właśnie przykładem sprawnej, neutralnej światopoglądowo i zdecentralizowanej (kantonalnej), a przy tym wielojęzycznej administracji publicznej.

W literaturze przedmiotu dominuje przekonanie, że imigracja ma w ogólnym bilansie pozytywny wpływ na rozwój kraju docelowego, poprzez różne formy oddziaływania. Świadczenia korzystnego wpływu etnicznej i kulturowej różnorodności na efektywną aktywność ekonomiczną wspólnoty są tak liczne i dobrze udokumentowane, że pojawiło się nawet określenie dywidenda od różnorodności (*diversity dividend*), obejmujące korzyści w zakresie kreatywności, innowacyjności i produktywności.

Badacze i analitycy kanadyjscy postanowili obliczyć wielkość tej dywidendy. Według nich produktywność miejsc pracy rośnie przeciętnie o 0,5 proc. wraz ze wzrostem wskaźnika dywersyfikacji etniczno-kulturowej o 1 proc., natomiast ich dochodowość o 2,4 proc. (ale np. w przemyśle informatycznym i kulturowym, obejmujących telekomunikację, działalność wydawniczą, muzyczną, filmową, plastyczną, aż o 6,2 proc.), choć są takie dziedziny produkcji czy usług (zwłaszcza niebezpiecznych, wymagających wysokiego poziomu zaufania zgranej grupy doświadczonych wykonawców), w których dywersyfikacja zespołów może mieć nieznaczny efekt negatywny. To jednak przypadki względnie nieliczne (odnotowywane jedynie w jednej z analizowanych 14 gałęzi przemysłu – surowcowego).

Jedną z barier utrudniających prowadzenie otwartej i odważnej polityki imigracyjnej jest obawa lokalnych beneficjentów pomocy socjalnej, że przybysze staną się ich konkurentami do korzystania z niej albo wręcz że motywem ich migracji

nie jest chęć znalezienia pracy, lecz pragnienie dostępu do socjalnych benefitów i dobrodziejstw państwa opiekuńczego. Hipoteza socjalnego magnesu (*Welfare Magnet Hypothesis*) jest obecna także w profesjonalnym dyskursie. Badania prowadzone w Europie nie potwierdzają takich obaw. Wykazują bowiem, że imigranci w państwach UE korzystają z pomocy socjalnej rzadziej niż rodowici mieszkańcy, a socjalne benefity nie są czynnikiem motywującym ich do migracji.

**Wśród zagrożeń postrzeganych przez tubylców ze strony imigrantów** wyróżnia się realistyczne i symboliczne; te pierwsze dotyczą sfery materialnej, ekonomicznej, te drugie kultury symbolicznej. Te pierwsze są w obecnej sytuacji demograficznej (malejąca populacja w wieku produkcyjnym) i ekonomicznej (praktyczny brak bezrobocia) bezpodstawne. Nawet więcej: dla utrzymania poziomu rozwoju i dobrobytu niezbędna staje się imigracja siły roboczej.

Gdziekolwiek jednak utrzymują się jeszcze wśród ludności, zwłaszcza o niskich kwalifikacjach, wyobrażenia o konkurencji stwarzanej przez napływową siłę roboczą, wytworzone w czasach, gdy w zachodniej Europie występowało bezrobocie strukturalne, a w Polsce transformacyjne. Obecnie są to wyobrażenia nieadekwatne do realnej sytuacji na rynkach pracy, wynikającej zresztą w znacznej mierze ze spadku przyrostu naturalnego i liczebności osób w wieku produkcyjnym. Bezrobocie jest prawdopodobnie zjawiskiem należącym trwale i nieodwracalnie do przeszłości, problemem przyszłości jest natomiast niedobór zasobów pracy.

JANUSZ A. MAJCHEREK

Autor jest profesorem filozofii i doktorem socjologii, pracuje w Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej.

OGŁOSZENIE

**SPRZEDAM NIERUCHOMOŚĆ**  
POŁOŻONĄ W WARSZAWIE (MŁOCINY)  
**PAŁAC BRÜHLA Z PARKIEM O POW. 4 HA**



**Kontakt: gardocki@gardocki.pl**

Ciernista droga niepełodnych par  
zdaje się nie mieć końca.  
A władza mówi im: „Radźcie sobie sami”.

# Piekło niepełodnych



ILUSTRACJA SYLWIA MARKIETA

**P**rzemyśl in vitro przyjmuje postać współczesnej enklawy eugeniki. Dziecko traktowane jest w sposób rażąco przedmiotowy, na zasadzie towaru czy produktu. Aby jedno mogło przyjść na świat, inne muszą zostać zniszczone, nie powiem: zabite” – perorowała 15 czerwca z mównicy sejmowej posłanka PiS Elżbieta Płonka. A jednak powiedziała, czego miała nie powiedzieć: „Sześć zarodków się zapładnia, dwa implantuje, a resztę likwiduje”.

Oświadczenie doktor Płonki – bo jest lekarką, specjalistką medycyny rodzinnej – zostało wygłoszone w imieniu jej klubu parlamentarnego w sprawie obywatelskiego projektu o finansowaniu procedury in vitro z budżetu państwa. Trafił on po pierwszym czytaniu do prac w komisji zdrowia, która miała rozpocząć nad nim pracę na początku lipca, akurat w 10. rocznicę inauguracji rządowego programu „Leczenie niepłodności metodą zapłodnienia pozaustrojowego” (gdy premierem była Ewa Kopacz z PO). Trudno przewidzieć, jakie będą losy projektu: czy obecna władza, która ma do niego stosunek taki jak jej reprezentantka w Sejmie, wybierze strategię na przeczekanie, czy odrzuci go przed wyborami. Ma na to trzy miesiące. Wprowadzony za rządów PO-PSL program finansowania in vitro partia Jarosława Kaczyńskiego zlikwidowała po trzech latach. I gdzie jesteśmy dzisiaj?

## Wielki skok w tył

1,5 mln par w Polsce nie może doczekać się upragnionego dziecka. 500 tys. podpisów złożonych pod projektem – gwarantującym trzem milionom osób dotkniętych problemem niepłodności dostęp do uzyskania pomocy – sugerowałyby silne społeczne wsparcie dla tej metody. 25 lipca tego roku Louise Brown, pierwsze dziecko poczęte na świecie poza ustrojem matki, będzie obchodziła 45. urodziny – po tej słynnej dziewczynce z Oldham przyszło na świat 10 mln dzieci (w Polsce 100 tys.), więc trudno wciąż uznawać ją za eksperymentalną lub etycznie wątpliwą (w 2010 r. przyznano jej tytuł Nagrody Nobla).

– *Ludzie to już wiedzą, a niektórzy politycy, prawicowi dziennikarze i środowiska kościelne wciąż nie* – zauważa Marta Górna, szefowa Stowarzyszenia na rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji Nasz Bocian, które od 2002 r. jest głosem polskich pacjentów zmagających się z niezamierzoną bezdzietnością. W jednym z sondaży przeprowadzonych w marcu dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF 66 proc. Polaków było za przywróceniem finansowania in vitro z budżetu państwa, ale przy okazji okazało się, że opowiada się za tym aż 44 proc. wyborców PiS. – *A jednocześnie w podręczniku zaaprobowanym przez Ministerstwo Edukacji dla szkół średnich historia i terażniejszość opublikowano passus o „produkcji ludzi metodą in vitro” i zadano pytanie, kto będzie ich kochał. Postawie na Sejm mówią o eugenice, a Ministerstwo Zdrowia promuje naprotechnologię, która na świecie jest kompletnie nieznaną* – wylicza Marta Górna. Kiedy pod koniec czerwca na Kongresie Europejskiego Towarzystwa Ludzkiego Rozrodu i Embriologii (ESHRE) 10 tys. ekspertów zajmujących się leczeniem niepłodności usłyszało od delegatki z Polski, że w naszym kraju finansowanie naprotechnologii zastąpiło refundację procedur in vitro, ktoś zadał pytanie, czy w jej kraju kobiety rodzą za dużo dzieci? Akurat rodzą ich coraz mniej.

Według ostatnich danych GUS kwiecień tego roku był pod tym względem najgorszym miesiącem w kilkudziesięcioletniej historii badań, gdyż przyszło na świat tylko 21 tys. noworodków. W ostatnich 12 miesiącach po raz pierwszy od drugiej wojny światowej suma urodzeń nie przekroczyła 300 tys. (288 tys. urodzeń). Jak skomentowała prof. Irena E. Kotowska z Instytutu Statystyki i Demografii SGH, honorowa przewodnicząca Komitetu Nauk Demograficznych PAN, niepłodność jest już głównym czynnikiem, który uniemożliwia realizację zamierzeń prokreacyjnych – więc jak to jest, że chcemy mieć więcej dzieci, a nie wspieramy tych, którzy mają trudności z ich poczęciem?

Prof. Waldemar Kuczyński, jeden z najbardziej doświadczonych w Polsce lekarzy zajmujących się leczeniem bezpłodnych par, od 26 lat kierujący białostockim Centrum Leczenia Niepłodności Kriobank, nie przebiera w słowach: – *Jeśli przyrost naturalny mamy na rekordowo niskim poziomie, a rząd zohydza leczenie niepłodności, to wygląda na sabotaż!*

Europa już wie: przy starzejących się społeczeństwach i obniżeniu dzietności żadnego kraju nie stać na brak refundacji takiego leczenia. – *Bo to inwestycja* – argumentuje Marta Górna. – *W dodatku o najwyższej stopie zwrotu w całej medycynie. Skutki niepłodności ponoszą dzisiaj pary, które cierpią z jej powodu, ale za kilkadziesiąt lat będą je odczuwać rodzice z trójką dzieci, które same nie zapracują na ich emeryturę.*

Chodzi o niekorzystne trendy demograficzne, które mają negatywne konsekwencje ekonomiczne – stosunek liczby emerytów do liczby ludności w wieku produkcyjnym zwiększy się w Polsce w najbliższych 7 latach niemal dwukrotnie, więc promowanie wielodzietności niewiele może pomóc, jeśli w dłuższej perspektywie nie będziemy leczyć bezpłodnych. A sytuacja jest zgoła kuriozalna: każe się rodzic dzieci tym, którzy ich nie chcą, a nie wspiera tych, którzy by jej chcieli.

Prof. Kuczyński, który w 1987 r. pracował w zespole prof. Mariana Szamatowicza w Klinice Ginekologii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Białymstoku i doprowadził do narodzin pierwszego w naszym kraju dziecka z in vitro, pamięta, jak ówczesny metropolita białostocki Stanisław Szymecki grzmiał z ambony: „W Polsce szerzy się zło: pijaństwo, narkomania, prostytutka. Ale najgorsze rzeczy dzieją się w klinikach białostockiej uczelni, gdzie pod pozorem leczenia zabija się ludzi”. I nie dziwi go, że po 36 latach podobne słowa może wypowiadać lekarka: – *Uodporniłem się, robię swoje. Słyszeliśmy już o różnych sztychach, brudach na czole i owocach ciężkiego grzechu. Tylko tych wszystkich ludzi, być może również wyborców dr Płonki, którzy przyjeżdżają do nas po pomoc, bardzo mi żal.*

## Protokół bezsilności

Finansowany w latach 2013–16 przez rząd PO-PSL program in vitro kosztował budżet państwa 244 mln zł. Urodziło się dzięki niemu ponad 22 tys. dzieci (jeszcze się rodzą, z zamrożonych wtedy zarodków). Po przejściu przez PiS władzy jesienią 2015 r. było jasne, że zostanie wstrzymany i zastąpiono go Programem Kompleksowej Ochrony Zdrowia Prokreacyjnego.

„Problem niepłodności nie może być sprowadzony do in vitro” – argumentował w 2016 r. ówczesny minister zdrowia Konstanty Radziwiłł, dowodząc, że „wiele pacjentek ►

► nie jest poddawanych diagnostyce przyczyn niepłodności, która pozwala na znalezienie innego sposobu leczenia – prostszego, tańszego i niebudzącego emocji jak in vitro”.

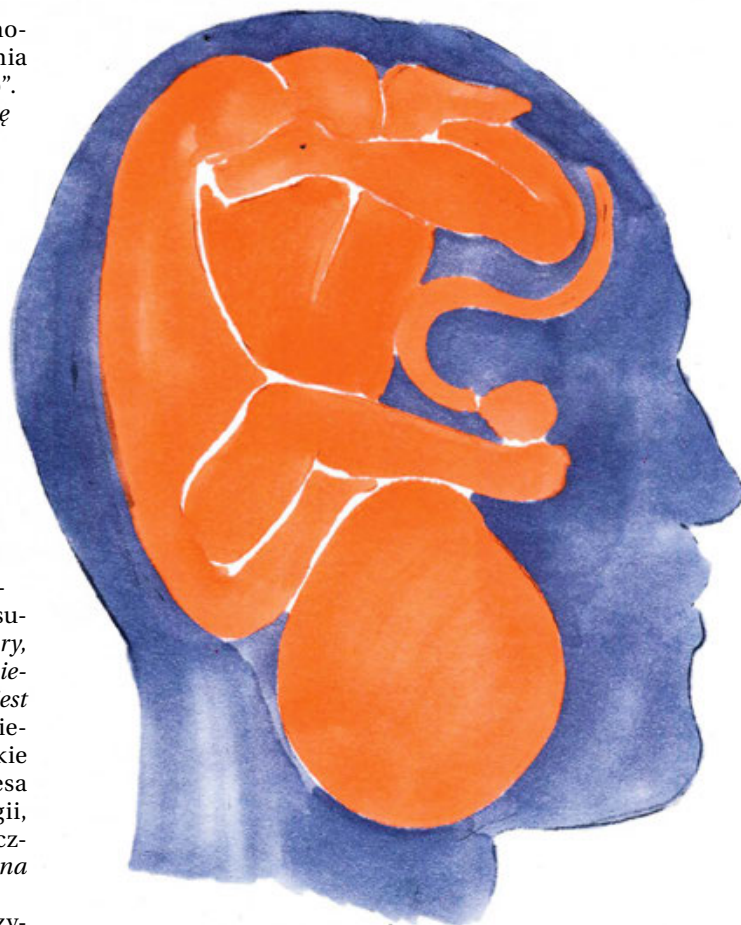
Nowy program miał być efektywniejszy. – *A okazał się klapą* – prezentuje dane Marta Górna: w pierwszym roku diagnostykę przeszło 1289 par i uzyskano 70 ciąży, w ubiegłym roku objęto nią 7 tys. par i potwierdzono 300 ciąży. A roczne funkcjonowanie programu kosztuje budżet od 40 do 60 mln zł. Przeliczając i porównując te liczby i kwoty – programu finansowanego przez PO-PSL i obecnie Zjednoczoną Prawicę – wynik jest druzgocący: za sprawą naprotechnologii wyniesionej przez krytyków in vitro na szczyt, uzyskuje się dziesięciokrotnie mniej ciąży. – *Ale najgorsze, że wielu parom kradnie czas* – zauważa dr Łukasz Sroka, ginekolog położnik i dyrektor medyczny klinik InviMed.

Sam nie ma wątpliwości, że diagnostykę – na której opiera się naprotechnologia – w przypadku problemów z poczęciem trzeba wykonać, ale dlaczego zestaw podstawowych badań płodności i wstępnego leczenia nazwano tak bałamutnie, by pacjenci mieli wrażenie, że to jakiś superwynałazek niczym nanotechnologia? – *Trafiają się pary, które w ten sposób są diagnozowane przez kilka lat, a po 6 miesiącach powinny się dowiedzieć, że jedynym rozwiązaniem jest dla nich in vitro* – sumuje dr Sroka. Na przykład kiedy kobieta ma niedrożne jajowody albo męczyzna bardzo kiepskie parametry nasienia. Według prof. Rafała Kurzawy, prezesa Polskiego Towarzystwa Medycyny Rozrodu i Embriologii, spośród 1,5 mln par, które mają problem z płodnością, rocznie 30–40 tys. kwalifikuje się do in vitro: – *Pozostałe można leczyć innymi sposobami*.

Bo statystyka jest nieubłagana: 35 proc. przypadków przyczyn niepłodności leży po stronie kobiet, w identycznej proporcji zdarza się po stronie mężczyzn, w 20 proc. powstaje z kombinacji czynnika męskiego i żeńskiego, reszta przypadków pozostaje niezidentyfikowanych. – *Ale biorąc pod uwagę samych mężczyzn, u co trzeciego nie potrafię wskazać konkretnej przyczyny bezpłodności* – przyznaje dr Jan K. Wolski, konsultant ds. andrologii z warszawskiej Przychodni Leczenia Niepłodności Novum.

W placówkach takich jak ta pryska mit męskiej wszechmocy. – *Wydaje im się, że skoro mają wzwód i wytrysk, ciężko pracują, grają w piłkę, nic im nie dolega, to muszą być płodni* – opowiada lekarz. Jednak zdaniem dr. Wolskiego współcześni pacjenci, przynajmniej jeśli chodzi o wiedzę, wypadają i tak znacznie lepiej niż ci sprzed dekady. Być może dlatego, że tamci mogli liczyć na refundację zabiegu in vitro z państwowej kasy. A ci muszą liczyć na siebie, więc przychodzą już bardziej odczytani, przygotowani, nieraz po przeprowadzonym badaniu nasienia. – *I większość na pierwszej wizycie przyznaje się do przyjmowania witamin, które nazywają supłami* – mówi dr Wolski. Pewnie liczą, że jeśli nawet okaże się, jak słabe mają plemniki, to je tymi mikroelementami wzmocnią i nie będzie już potrzebny żaden poważniejszy zabieg.

Niektórzy się łudzą, że zmiana stylu życia usunie problem. – *Jest w tym trochę racji, bo używki, zła dieta, otyłość wynikająca z braku ruchu oraz stres sprawiają, że ludzie zdrowi mają płodność w granicach 1–2 proc., a kobiety 2–3-krotnie wyższe ryzyko poronienia* – dodaje prof. Kurzawa. Jednak u mężczyzn kłopoty z jakością nasienia biorą się najczęściej z nieprawidłowej funkcji hormonalnej, stanów zapalnych



ILUSTRACJA BARTEK KIELBOWICZ

i zaburzeń w komunikacji między komórkami odpowiedzialnymi za wytwarzanie i dojrzewanie plemników. – *Trzeba też brać pod uwagę zatrucie środowiska* – podkreśla dr Wolski. Nadmiar rzeczy szkodliwych (tworzyw sztucznych, nawozów, metali ciężkich) też ma znaczenie i niewykluczone, że właśnie z ich powodu męska płodność obniżyła się w ostatniej dekadzie aż trzykrotnie. Zresztą lista czynników środowiskowych, które mogą zaszkodzić kobiecej płodności, wcale nie jest krótsza – to również palenie papierosów, otyłość, stres. Żyjemy w czasach, które ewidentnie nie sprzyjają prokreacji.

### Dać miłość i szczęście

Uwarunkowania cywilizacyjne w żadnym razie nie mogą jednak zwalniać instytucji państwowych z finansowania leczenia niepłodności, tak jak nie wykluczają one otyłych ani sięgających po używki chorych na raka, nadciśnienie lub inne schorzenia. – *A nasi pacjenci muszą w Polsce walczyć o to, by mieć takie same prawa jak inni* – zauważa prof. Kuczyński. – *W dodatku gnębi ich nie tylko problem medyczny, ale też dyskryminacja, bo niepłodność odciska piętno na funkcjonowaniu związku*.

Zamiast to dostrzec, krytyczni wobec in vitro pseudoeksperti zarzucają niepłodnym parom, że są same sobie winne – zwlekają ze staraniami o dziecko, za młodu stosują antykoncepcję, która rzekomo doprowadza do zmian w układzie rozrodczym i utrudnia zajście w ciążę po 35. roku życia. Zupełnie nieprawdziwy jest też argument narażania

dzieci poczętych pozaustrojowo na zwiększone ryzyko wad wrodzonych.

Prof. Kurzawa wyjaśnia: – *Nie przeczę, że na świecie w rozmaitych pismach ukazują się wyniki badań najróżniejszych zespołów, które poddają analizie zabiegi in vitro pod tym kątem. Ale jeśli ktoś próbuje udowodnić, że za sprawą tej metody przychodzą na świat dzieci chore, z poważnymi wadami genetycznymi, dokonuje piramidalnego nadużycia.*

Bo to nie technologia, lecz problemy leżące u podstaw niepłodności – często ukryte, związane z nieujawnionymi wadami genetycznymi rodziców – są głównym powodem, dla którego potomstwo może mieć kłopoty zdrowotne. W jednym z badań przedstawionych na łamach „New England Journal of Medicine” porównano odsetek wad u dzieci urodzonych z pomocą in vitro oraz tych, które zostały poczęte spontanicznie, ale po wielu latach starań (takich rodziców nazywa się w nomenklaturze medycznej subpłodnymi) – i to właśnie wśród tej grupy wad było więcej. To jeszcze jeden dowód, iż działa wymierzona przeciwko in vitro mają ładunek jedynie ideologiczny.

– *Na szczęście blisko 50 samorządów w Polsce nie dało posłuchu tym bredniom i współfinansuje leczenie niepłodności* – mówi Marta Górna. Są to kwoty w wysokości pięciu, siedmiu, maksymalnie 10 tys. zł, pokrywające zazwyczaj 30–50 proc. kosztów takiej pojedynczej procedury (niejednokrotnie na jednej się nie kończy i pary walczą o dziecko kilka lat). Ostatnio przypomniała o tym prezydent Łodzi Hanna Zdanowska, która wpadła na pomysł, by pieniądze, jakie miasto miało otrzymać od PiS za wynajęcie Atlas Areny na kongres partyjny, przeznaczyć na miejski program wspierania zapłodnień metodą in vitro. Łódź dofinansowuje te zabiegi od 2016 r., przeznaczając na nie rocznie 1 mln zł – skorzysało już na tym 1200 par i urodziło się 427 dzieci. Gdy Stowarzyszenie Nasz Bocian uruchomiło program mogący zapewnić dostęp do 100 bezpłatnych zabiegów dla najbardziej potrzebujących – po wydrukowaniu na stronie formularza w 59 sekund nie było już na liście wolnego miejsca. – *Ale to nie jest zadanie organizacji społecznych ani samorządów, by wyręczać rząd z zapewnienia obywatelom równego dostępu do świadczeń medycznych* – zauważa Górna.

Dr Płonce i innym przeciwnikom in vitro nie podoba się takie zrównywanie go z leczeniem. Kiedy w imieniu PiS krytykowała je z mównicy sejmowej, nazwała zabieg „transferem zarodków do macicy w celu uzyskania ciąży”. Nic ponadto. „Fakt niepłodności nie mija. Nie jest to zabieg leczniczy. Nie poprawia stanu zdrowia kobiety” – grzmiała, czytając swoje wystąpienie z kartki w okularach, których zakup być może sfinansował NFZ, choć wady wzroku pani posłance też tym nie wyleczył.

Ale akurat opublikowane 20 czerwca w poważnym czasopiśmie naukowym „Human Reproduction” wyniki przekrojowych badań powinny skłonić krytyków in vitro do zrewidowania swoich poglądów, gdyż okazuje się, że szansa na naturalne zajście w drugą ciążę po urodzeniu dziecka in vitro jest wyższa niż do tej pory sądzono i przytrafia się jednej na pięć par. – *To nadspodziewanie dobry wynik, który potwierdza nasze przypuszczenia* – nie ukrywa dr Sroka, zastrzegając, że zaprezentowana w pracy naukowców z University College London analiza 5 tys. przypadków z lat 1980–2021 wskazuje na pozytywny efekt in vitro, który należy odnieść do młodszej grupy pacjentek, bez uchwytniej początkowo przyczyny niepłodności. – *To te 10–20 proc., które bezowocnie starają się o ciążę i, jak widać, zabieg może mieć u nich charakter w pełni leczniczy, jeśli w jego następstwie rodzą się kolejne dzieci poczęte spontanicznie.*

To jeszcze jeden argument, by decyzji o poszukiwaniu ratunku nie odkładać, a postępowania diagnostycznego nie wydłużać – efekty leczenia są bowiem uzależnione od biologii i od medycyny. U 25-letnich kobiet skuteczność metody in vitro sięga 85–90 proc., ale każde następne pięć lat redukuje ją o 20 proc. – *Kiedy zabiegi in vitro były w Polsce refundowane, szybciej się na nie decydowano* – zauważa dr Sroka. – *Teraz od chwili, gdy para otrzymuje taką propozycję, do jej zgody upływa dużo więcej czasu, bo musi znaleźć pieniądze: zarobić, wyjechać do pracy za granicę, pożyczyć od rodziny, a nieraz wziąć kredyt.*

Czy posłom pochylającym się nad obywatelskim projektem finansowania leczenia niepłodności z budżetu państwa starczy wyobraźni, by uwzględnić również te następstwa swoich decyzji?

PAWEŁ WALEWSKI

REKLAMA

## LECZENIE I REHABILITACJA

**POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.**

**Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu**

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna\*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie\*

\*możliwa dopłata

Pobyty w terminach: 20.07 - 24.09.2023r.

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrawiskowa „Pod Tęźniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek



# Dobro sprawy

Sąd wycenił Markowi osiem miesięcy spędzonych w areszcie na 152 tys. zł. Zniszczonego życia nie wyceniano, bo życie, jak wiadomo, jest bezcenne.

JULIUSZ ĆWIELUCH

To jedna z tych historii, które przyprawia o mdłości. Słabo się robi, kiedy uświadamiasz sobie, jak łatwo można zostać w Polsce tymczasowo aresztowanym i stracić wszystkie prawa. I jeszcze jak niewiele znaczy dla wymiaru sprawiedliwości słowo „tymczasowo”.

W tej sprawie nie będzie zbyt wielu nazwisk. Imiona też są zmienione na prośbę bohaterów albo dla ich dobra. Marek nie jest Markiem. Damian jest tak naprawdę... itd. Wydrylowana z nazwisk historia traci konkret, ale zyskuje uniwersalność.

## Wujek Marek

W gęstej mgle dźwięków autystycznego Damiana, który nie potrafił złożyć prostego zdania i używał zaledwie pojedynczych słów, powtarzał się zwrot: „wujek Marek”. Do tego Damian wykonywał dziwny gest.



ILUSTRACJA ADELA PODGÓRSKA

Nauczyciele i psycholog ze szkoły specjalnej uznali, że obsceniczny. Tyle wystarczyło, żeby szkoła się zaniepokoiła. A następnie zawiadomiła organy ścigania o możliwości popełnienia przestępstwa seksualnego na jednym z ich podopiecznych. W rękach organów „możliwość” płynnie przeszła w konkret. Uznano, że chłopiec był molestowany. A jak jest przestępstwo, to musi być i sprawca – czyli „wujek Marek”.

Mama Damiana miała różnych wujków. W zasadzie zmieniali się w jej życiu na tyle szybko, że Damian mógł ich nie zapamiętać. Wujka Marka zapamiętał, bo przez większość jego życia był ich sąsiadem i był dla niego dobry. Inni wujkowie zachowywali się zabawnie. Na przykład jeden wujek schował się w szafie, kiedy do domu przyszedł z niezapowiedzianą wizytą asystent rodziny.

Z raportu środowiskowego wynika, że mama Damiana o pięknym imieniu Hortensja była nieskomplikowaną osobą ze skomplikowanym życiem osobistym. To ważny szczegół. Marek też miał skomplikowane dzieciństwo. – *Siostra nie poradziła sobie życiowo* – mówi ciotka Marka i w tym jednym zdaniu zamyka całe cierpienie, które spotkało chłopca w dzieciństwie. Marek wychowywał się w zasadzie u dziadków. Ile widział w dzieciństwie, czego doświadczył, czy dlatego pomagał temu innemu chłopcu, którego matka też nie poradziła sobie życiowo?

## Zły paragraf

Sprawa od początku nie chciała iść w dobrym kierunku, czyli w tym, który nadała prokurator Monika Oriol-Signer-ska. Kłopotem był Marek, który nie chciał się przyznać, że „w nieustalonym dniu obcował płciowo z małoletnim poniżej 15. roku Damianem F. poprzez odbycie z nim stosunku oralnego oraz doprowadził wskazanego wyżej małoletniego do wykonania innej czynności seksualnej w postaci dotykania jego narządów płciowych tj. popełnienia czynu z artykułu 200 paragraf 1 Kodeksu karnego”. Nie dość, że nie chciał się przyznać, to jeszcze zadawał pytania: – *Dlaczego w nieustalonym? Nieustalonym, bo nie ma świadków. – Skoro nie ma świadków, to skąd wiadomo, że obcował?* Damian to potwierdza. – *Jak chłopiec, którego nie da się zrozumieć, coś potwierdza?*

Mniej więcej w tym momencie w historii pojawia się adwokat oskarżonego. Patryk Czyżykowski jest jak wyjęty z amerykańskiego serialu. Młody, przystojny, lekko zawadiacki. Rozmowę też zaczyna jak w serialu. – *Ja tej sprawy nie chciałem*

*brać* – mówi szczerze. – *Nie dość, że to była niedziela, to jeszcze nie mój paragraf. Jak można, to tych spraw nie biorę, bo osobście trudno mi się angażować dla takich klientów* – mówi. Technika jest prosta. Jedziesz, rzucasz okiem na akta, kiwasz głową. Dajesz zaporowe warunki i jak się uwiniesz, to jeszcze tego samego wieczoru obejrzysz z żoną serial na Netflixie. – *Ja Marka kupiłem jako człowieka. To nie była recydywa. Nie udawał. Czuję się wręcz obrażony, że policjanci namawiali go do przyznania się* – mówi.

Na tamtym etapie mało wiedział, co ma policja. – *Wyglądało, że nie mają nawet łązka twardego dowodu. Ale wiedziałem, że realia i statystyka przemawiały na naszą niekorzyść. Sądy klepią ponad 90 proc. wniosków o zastosowanie aresztu. W Polsce to już właściwie reguła, że wsadza się ludzi do więzienia, nawet kiedy dowody są słabe albo wątpliwe* – mówi Czyżykowski. Sąd przychylił się do wniosku prokurator o tymczasowe aresztowanie. Oczywiście ze względu na dobro sprawy.

O dalszych ruchach adwokat Czyżykowski też opowiada po amerykańsku. – *Później grałem na szybki proces. Nie przedłużyłem postępowania przygotowawczego, bo ja się realnie bałem, że on popełni tam samobójstwo. Ludzie z reguły słabo odnajdują się za kratami. Mój klient nie odnajdywał się w ogóle – dodaje. Mówi, że w więzieniu był co tydzień. – Właściwie to towarzysko, bo przecież to nie była sprawa, w której przybywały jakieś nowe dowody. Ale tylko ja go mogłem odwiedzać, więc przychodziłem* – mówi Czyżykowski. Bardzo serialowa jest również jego opinia, że za każdym razem, kiedy szedł do prokuratury po zgodę na widzenie z klientem, rzucał na odchodne: „Zobaczcie, że on będzie niewinny”.

## Futerał

Umówienie się na spotkanie z Markiem jest trudne. Decyduje się i zaraz rozmyśla. Zmienia terminy. Prosi o więcej czasu. Próbuje zerwać spotkanie na pięć minut przed terminem. Widać, że walczy ze sobą, a w sumie powinien o siebie. Może dlatego ostatecznie się widzimy. W jego oczach dalej jest coś gęstego i brudnego. Coś, co zobaczył w więzieniu. Coś, czego samemu nie chciałoby się oglądać. Rozmowa słabo się klei. Trzeba dłuższej chwili, żeby zrozumieć, że na ławce obok siedzi wydrążony człowiek. Bardziej futerał na Marka niż Marek. Mówi, jakby opowiadał film. Dopiero kiedy zaczyna płakać, wiadomo, że w tym filmie był nie tylko widzem.

Marek B., lat 48, urodzony w S., wykształcenie średnie – technolog żywności.

Od 16. roku życia zatrudniony i pracujący w tym samym zakładzie pracy (po aresztowaniu zwolniony). Niekarany, niepijący. W stałym związku małżeńskim, posiadający na utrzymaniu jedno dziecko płci żeńskiej.

– *Do domu przyszli w niedzielę 15 grudnia 2019 r., czyli przed świętami. Dziś myślę, że to był też taki sposób, żeby mnie złamać, bo ja jestem bardzo religijny. Mnie bardzo szybko złamali. Wystarczyło, że założyli mi przy 14-letniej córce kajdanki. Są takie rzeczy, których nie da się już nie pamiętać. Ona zawsze będzie mnie pamiętała w tych kajdankach. Tak myślę, bo nie rozmawiałem z nią o tym. Ona w ogóle nie chce o tym rozmawiać. Jeśli w tej sprawie poszkodowane zostało jakieś dziecko, to moje. Koleżankom mówiła, że tata wyjechał do pracy za granicą. Ale przecież sąsiedzi też widzieli mnie w kajdankach.*

*Na początku nie dotarło do mnie, że jestem zatrzymany. Myślałem, że jadę tylko złożyć zeznania. Przecież nic nie zrobiłem. To musiała być pomyłka. Nic ze sobą nie wzięłem, nawet szczoteczki czy majtek na zmianę. Kazali tylko portfel, to go zabrałem. Później był dotek, a jeszcze później areszt. W niedzielę po raz ostatni widziałem i słyszałem swoją rodzinę. Prokurator przez kilka miesięcy konsekwentnie odmawiała kontaktów. Nie przekazywała mi nawet listów. Nie pozwalała doręczać tych, które ja pisałem. Jak jesteś tymczasowo aresztowany, to masz gorzej niż już skazany. Masz tyle praw, ile da ci prokurator. Nawet o majtki na zmianę musisz napisać pismo. Nie masz prawa do pracy. Nie masz nic.*

*Człowieka można łamać na wiele sposobów. Ja im w tym łamaniu bardzo pomogłem, bo się bałem. Na spacer wyszedłem chyba tylko raz. Zobaczyłem tych wszystkich osadzonych i się po prostu przeraziłem. Nie znałem tego środowiska, ale przecież ciągle się słyszy, co się w więzieniu dzieje z takimi, którzy mają zarzuty pedofilskie. W celi mówiłem, że siedzę za udział w bójce. Tak mi kazał adwokat. Adwokatowi zawdzięczam wolność i życie. Życie, bo tylko on mnie odwiedzał i ciągle mówił, że samobójstwo niczego nie rozwiąże. A będzie przyznaniem się do winy. No to nie popełniłem samobójstwa. Zresztą nie wiedziałem jak.*

*Co robiłem w celi? Płakałem. Dużo płakałem. Nie mogłem nad tym zapłakować. Nawet się bałem, że inni w celi mnie za to płkanie pobiją, bo mnie najbardziej nachodziło w nocy. Nie dawałem im spać. Ale nikt mnie nie pobił. W dzień dużo się modliłem. Rozwiązywałem też ►*

► *krzyżówki. Pisałem bardzo dużo listów. W prokuraturze były setki moich listów. Może ta prokurator ich po prostu nie czytała, dlatego nie przekazywała?*

## Urlop

Co dwa miesiące prokurator występowała o przedłużenie aresztu. Dziś tłumaczy, że wynikało to z konieczności „prowadzenia czynności dowodowych, w tym również oczekiwania na przeprowadzenie badań sądowo-psychiatrycznych podejrzanego, a następnie na sporządzenie opinii. W dalszym ciągu aktualne były przesłanki zastosowania środka zapobiegawczego, co potwierdził Sąd, przedłużając stosowanie środka”.

Biegli informatycy przetrzęsnęli komputer Marka pod kątem treści pornograficznych. Obrońca oskarżonego wniósł o przeprowadzenie tych samych czynności z komputerem matki chłopca. Na komputerze oskarżonego nie znaleziono żadnych treści pornograficznych. Na komputerze matki chłopca – filmy, zdjęcia, a nawet treści o charakterze zoofilnym.

W kwietniu 2020 r. sprawa poszła na wokandy. Prokurator Oriol-Signerska domagała się dla oskarżonego ośmiu lat pozbawienia wolności. No i przymusowej terapii dla osób o zaburzonych preferencjach seksualnych. Podstawą tego ostatniego była opinia biegłego seksuologa. Obrona wytykała jej niedoręczność i błędy. – *Jak można było podpisać się pod zdaniem, że „o ile oskarżony popełnił zarzucany mu czyn, rozpoznaje się u niego zaburzenia preferencji seksualnych”. Albo ktoś ma zaburzone preferencje, albo nie ma – mówi Czyżykowski.*

Materiał dowodowy był już zebrany, świadkowie przesłuchani. Ale sąd dalej przedłużał areszt. W sierpniu 2020 r. sędzia poszedł na urlop. Zmiennik przeczytał akta i nagle okazało się, że Marka można jednak wypuścić. Sąd zaczął również analizować ekspertyzy przygotowane przez obronę. W tym ponowne badanie wariografem. I niezależną analizę kluczowego dowodu, czyli przesłuchania Damiana.

Małgorzata Marszałek z autystycznymi dziećmi pracuje od 1990 r. Była członkiem założycielem Stowarzyszenia Pomocy Osobom Autystycznym. Zaznacza, że nie jest biegłym sądowym. – *Analizowałam nagrania tego przesłuchania. Sam pomysł, żeby się odbyło, był mocno wątpliwy. Chłopiec werbalnie jest na bardzo niskim poziomie. Precyzyjniej należałoby powiedzieć, że używa pojedynczych słów i pomaga sobie gestami. W trakcie przesłuchania próbowano się z nim komunikować*

*również za pomocą pisma obrazkowego, co moim zdaniem było wątpliwe – mówi Małgorzata Marszałek, oligofrenopedagog. – Z tego materiału nie wynikało, że w ogóle doszło do jakiejś czynności seksualnej, a już z pewnością nie można było wskazać, że sprawcą była konkretna osoba. Prokurator przed sądem wskazywała, że „w oparciu o dowód z tego przesłuchania należy w sposób kategoryczny, nie budzący wątpliwości poczynić ustalenia dotyczące winy oskarżonego”.*

Pod koniec rozmowy Małgorzata Marszałek pozwala sobie na komentarz osobisty. – *Nie mieściło mi się w głowie, że na podstawie czegoś takiego można kogoś wsadzić do więzienia.*

## Żadna i żaden

25 lutego 2021 r. Sąd Rejonowy w Sopocie uniewinnił Marka S. od popełnienia przestępstwa z artykułu 200 par. 1 k.k. Dziewięć dni wcześniej nadzorująca sprawę prokurator dostała awans na zastępcę prokuratora rejonowego. Od wyroku uniewinniającego złożyła odwołanie. Jej zdaniem: „wyrok był wyrazem odmiennej oceny materiału dowodowego”.

Sąd Okręgowy w Gdańsku wyrok podtrzymał i wnikliwie uzasadnił. Po lekturze ponad 20 stron uzasadnienia w pamięć zapadają niektóre zdania. Na przykład w kontekście kluczowego świadka, który zawiadomił organy ścigania: „świadek powtarzała, że nie jest w 100 proc. pewna tego, że chłopiec był ofiarą przestępstwa. Prokurator wyinterpretowała z zeznań tego świadka, że wujek Marek miał nasikać chłopcu do ust”. Albo w kwestii kluczowego dowodu: „analiza przesłuchania wskazuje, że chłopiec częściowo nie rozumiał pytań albo kontekstu sytuacyjnego danego pytania. (...) Sąd nie mógł liczyć na pomoc biegłego psychologa, albowiem biegła pozostawała bierna w czasie przesłuchania. (...) Protokół tego przesłuchania przeinacza treści wypowiedzi świadka. (...) Na podstawie tego przesłuchania absolutnie nie można dojść do niezbywalnego przekonania, że miało miejsce jakiegokolwiek molestowanie chłopca i że osobą, która molestowała, był oskarżony”.

Sąd zbiorczo podsumował również wypowiedzi wszystkich przesłuchanych świadków: „żadna z osób, które miały kontakt z pokrzywdzonym, to jest wychowawcy, pedagogi, kurator, asystent rodziny, osoby opiekujące się Damianem oraz jego matką lub znajomi i sąsiedzi nie zauważyli i nie potwierdzili zarzutów aktu oskarżenia. Żadna z tych osób nie miała wiedzy na okoliczność tego, czy dziecko było molestowane. Nikt nie wypowiedział

się negatywnie o oskarżonym”. W kwestii gestów, które zaniepokoiły opiekunów, sąd stwierdził: „na nagraniach widać, że chłopiec otwiera buzię, ale też opowiada rzeczy, które najprawdopodobniej nie działy się w realnym świecie”. Sama sprawa też wydaje się jak z nierealnego świata.

## Sztuczka

Od momentu objęcia władzy przez PiS rośnie liczba osób tymczasowo aresztowanych. W maju 2014 r. stanowili 8,54 proc. ogółu więzionych osób. W maju 2020 r. już 12,38 proc. W 2022 r. liczba tymczasowo aresztowanych spadła do 11,53 proc. Ale to taka sztuczka. Po prostu w więzieniach upchnięto 5 tys. ludzi więcej, więc statystyka tymczasowo aresztowanych się rozwodniła. Skaleć negatywnych zmian lepiej widać na innym przykładzie. – *W 2015 r. prokuratura wniosła o areszt tymczasowy w jednym na sześć prowadzonych śledztw. Obecnie w jednym na cztery śledztwa – wlicza Bartosz Pilitowski, prezes zarządu Fundacji Court Watch Polska, która na temat tymczasowego aresztowania przygotowała obszerny raport.*

Marek był częścią tej statystyki. Dlatego Marcin Gołaszewski, prezes Zarządu Polskiego Towarzystwa Badań Poligraficznych, który badał Marka wariografem, potrzebuje chwili, żeby przypomnieć sobie jego przypadek. – *Za dużo tego jest – mówi. – Co ruz mam taką sprawę, w której poza zeznaniami ofiary, opinią biegłego psychologa, seksuologa i ewentualnie wariografem niewiele więcej jest. Uniewinnili go. No to miał chłop szczęście.*

5 kwietnia 2022 r. Markowi zasadzono „zadośćuczynienie i odszkodowanie z tytułu niewątpliwie niesłusznego tymczasowego aresztowania”. W sumie 152 tys. zł. Pieniądze poszły na prawników, długi, terapię. Właściwie niczego nie naprawiły. Do dziś, jak tylko ktoś dzwoni do drzwi, Marek czuje mdłości. Chciałby zapytać, co czuje pani prokurator, ale kiedy wymawia to słowo, mdłości są jeszcze mocniejsze.

Męczy go również pytanie: dlaczego? Dlaczego w polskich więzieniach jest tak strasznie? Dlaczego sądy tak chętnie godzą się na stosowanie tymczasowego aresztu? Dlaczego on? Ale to ostatnie pytanie jest do Boga, a nie do dziennikarza. Bóg i dziennikarz milczą.

JULIUSZ CÍWIELUCH

Imię Marka zostało zmienione na jego prośbę.

Uważa, że w Polsce nie da się oczyścić z zarzutu molestowania nieletniego nawet z prawomocnym wyrokiem sądu. Imię Damiana i jego matki zostało zmienione ze względu na dobro chłopca.

Szczególną popularność zyskały second-handy typu vintage. Na fot.: sklep w Bydgoszczy.



# Z piątej ręki

Używane jest nie tylko tańsze, ale, co może ważniejsze, bardziej ekologiczne i modne. Już nie tylko ubrania, elektronika czy meble. Ale też materiały budowlane – od podłóg po dachy z odzysku.

AGNIESZKA SOWA

**O**siem na dziesięć młodych osób (w wieku od 18 do 34 lat) wybiera rzeczy z drugiego obiegu, wynika z najnowszej edycji Barometru Providenta. Ale trend dotyczy całego społeczeństwa. Jeszcze kilkanaście lat temu używane kupowali najbiedniejsi. Dziś do mniej zaможnych dołączyła grupa osób świadomych ekologicznie lub tych, którzy chcą znaleźć coś wyjątkowego. Coraz więcej też jest osób, które zamiast wyrzucać niepotrzebne rzeczy sprzedają je lub oddają. W ubiegłym roku zrobiło tak aż 68,6 proc. Polaków, a prawie 18 proc. z nich robi to regularnie. I niemal tyle samo respondentów

zdecydowało się na zakup używanych przedmiotów. To wzrost o 9,5 pkt proc. w porównaniu z poprzednią edycją badania.

Właściwie tak samo wygląda to dziś na całym świecie. W 2022 r. rynek odzieży z drugiej ręki wzrósł niemal o jedną trzecią w stosunku do poprzedniego roku, osiągając wynik 177 mld dol. globalnej sprzedaży – wynika z najnowszego raportu ThredUp. Jego autorzy prognozują, że branża second-hand podwoi swoją wartość do 2027 r.

## Tańsze i bardziej eko

Ten lumpeksowy boom zawdzięczamy w dużej mierze inflacyjnej drożyznie. Sondażownia Kantar zapytała Polaków, dlaczego kupują używane produkty, i dla

69 proc. to sposób na oszczędzanie, a dla 37 proc. szansa na to, żeby więcej pieniędzy przeznaczyć na konsumpcję. Jednak aż 46 proc. ankietowanych za powód podaje dbałość o środowisko i chęć ograniczenia odpadów.

– Nie mam ani jednej koleżanki, która nie kupowała by w szmateksach – mówi Julka, studentka. – Bo jest taniej, lecz także dlatego, żeby nie napędzać tak tej produkcji. Julka wyraźnie widzi też różnicę między Warszawą a Wielkopolską, skąd pochodzi. Dla poznaniaków do niedawna noszenie ubrań ze szmateksów to był obciach. W tym czasie w kręgach stołecznej inteligencji kupowanie i noszenie ubrań używanych zaczynało być już w dobrym tonie. Bo świadczyło o trosce o planetę. Ale i to się zmienia. – Jeszcze kilka lat temu żadna z nas nie przyznawała się rodzinie do kupowania ubrań z drugiej ręki. Dla pokolenia naszych rodziców, nie mówiąc o dziadkach, to byłby powód do wstydu. Ale dziś nawet moja mama zagłąda do poznańskich second-handów.

Chęć ograniczenia się w konsumpcji na pewno jest ważna dla ludzi młodych, którzy, co wiemy z innych badań, mają większą świadomość ekologiczną niż starsze pokolenia. Wiedzą, że sektor odzieżowy to jeden z głównych producentów odpadów, że produkcja ►

► odzież generuje 10 proc. emisji dwutlenku węgla na świecie, wysusza wody i je zanieczyszcza, że 85 proc. tekstyliów co roku trafia na wysypiska śmieci, a pranie niektórych tkanin prowadzi do pojawienia się plastiku w oceanach. Kupując używane, reperując stare i zepsute, mają lepsze samopoczucie, bo przyczyniają się do ograniczenia produkcji i zmniejszenia ilości odpadów.

Badanie „Moda na second-handy” przeprowadzone przez LESS GROUP potwierdza tendencje z sondażu Kantara, dodając jeden zaskakujący nieco powód zakupu używanych rzeczy. 6 na 10 Polaków deklaruje, że wybiera ten typ sklepu ze względu na wysoką jakość dostępnych w nich produktów. To grupa niemal tak liczna jak kierujący się głównie niższą ceną.

Bo, paradoksalnie, ubrania używane mogą być lepszej jakości niż nowe. W szmateksach jest to, co już przeszło swoje testy na wytrzymałość i nadal wygląda dobrze. Tania nowa odzież z popularnych sieciówek rozpada się często po 3–4 praniach. – *W ciągu kilku, kilkunastu lat jakość produktów tych samych marek odzieżowych bardzo się pogorszyła* – mówi Klara Majzel-Račławska, stylistka, niegdyś pracująca w piśmie zakupowym Avanti!, od kilku lat działająca w sektorze mody z drugiej ręki. – *Decydując się na zakup używanej odzieży, można też sięgnąć po produkty topowych marek, które, nowe, są poza zasięgiem naszego portfela. Od kilku lat pojawia się coraz więcej butików w stylu vintage, gdzie sprzedawane są stare, wyszukane elementy garderoby znanych marek, nierzadko droższe niż nowe ciuchy.*

Grzebaniu w szmateksach sprzyja moda. – *Te wszystkie grunge’owe, poszarpane ciuchy, jakie nosi młodsze pokolenie* – mówi Aleksandra Kucharczyk, projektantka. – *No i nieprzemijająca moda vintage. Tu też świetnie sprawdzają się rzeczy z second-handów.*

Sprzyja mu ludzka potrzeba dostarczenia sobie adrenaliny. Ekscytacja przy grzebaniu pomiędzy wieszakami i satysfakcja, kiedy uda się znaleźć perełkę, już same w sobie są nagrodą. – *Jestem uzależniona od lumpeksów* – przyznaje pani Jola, stała bywalczyni szmateksów na warszawskim Mokotowie. – *Ja to po prostu uwielbiam. Muszę się tylko pilnować, żeby nie kupować rzeczy, które tak naprawdę nie są mi potrzebne.*

### Haute couture z lumpeksu

Do kupowania w lumpeksach coraz chętniej przyznają się celebrytki. Anna Czarotoryska-Niemczycka w 2020 r. postanowiła przez cały rok nie kupować nowych

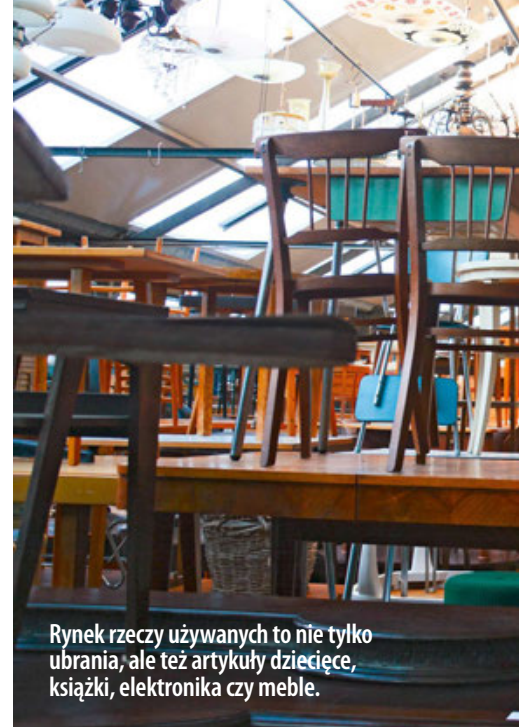
ubrań. Decyzję podjęła po wysłuchaniu aktywistki Anny Pięty, która uświadomiła jej, co ze środowiskiem robi przemysł odzieżowy. Zamiast przynosić do domu nowe rzeczy, ubierała się w to, co już miała w szafie. Ów projekt opisała jako „dobry detoks”.

Edyta Herbuś, Małgorzata Kożuchowska czy Agnieszka Włodarczyk publikują zdjęcia z przymierzalni w lumpeksach, oznaczając ceny ciuchów. Monika Brodka przyznała, że poza bielizną, w ciucholandzie może kupić wszystko. – *Wiem, jaką emeryturę dostaje moja mama, i głupio mi wydać 5 tys. zł na ubranie, które włożę raz, zrobią mi w nim zdjęcie i pójdzie na dno szafy* – powiedziała piosenkarka „Twojemu Stylowi”.

Za trendem idą projektanci zrównoważonej mody i z nurtu upcyklingowego. Maciej Zień włączył się w kampanię #Re-thinkFashion, jaką od kilku lat prowadzi marka Perwoll, i zaprezentował w czerwcu kolekcję na bazie własnych, archiwalnych projektów, skrawków materiałów i ubrań ze sklepów second-hand. Jak mówi, chciał pokazać, że modą warto się bawić, stawiając też na używane rzeczy. Coraz więcej projektantów tworzy swoje kolekcje wyłącznie z używanych ubrań. Przerabiają je bądź wykorzystują sam materiał. Sebastian Siccone ze starych ubrań i pokrowców tworzy bajecznie kolorowe patchworkowe kurtki. Tomasz Armada czy Martyna Konieczny także używają do swoich projektów ubrań z ciucholandów. Aleksandra Kucharczyk jedną ze swoich pierwszych kolekcji w całości wykonała ze starych dzinsów, które zebrała po rodzinie i znajomych.

Dziś najszybciej rosnącą kategorią w branży fashion jest właśnie odsprzedaż. – *Wierzę w odsprzedaż rzeczy używanych* – mówi na portalu dlahandlu.pl Jacek Ostrowski, prezes Yellow Octopus, ekspert od rozwiązań technologicznych w zakresie zrównoważonej mody, który kilka lat temu zaczął od sprzedaży ciuchów do second-handów. – *Dlatego cztery lata temu zainwestowałem 750 tys. dol. w spółkę Reflaunt.com, czyli platformę technologiczną obsługującą model resale dla takich firm jak Net-a-Porter, Balenciaga czy H&M. Teraz ich wycena to 32 mln dol.*

Dруга noga biznesu Ostrowskiego to firma Upcycle Labs, która z przetworzonej odzieży, obuwia i akcesoriów nienadających się już do odsprzedaży produkuje wyposażenie wnętrz i sklepów. Na świecie przetwarzanie śmieci w dobry design – jak meble, ale też np. płytki ściennie, to już standard. W Polsce powoli przebijają się takie projekty.



Rynek rzeczy używanych to nie tylko ubrania, ale też artykuły dziecięce, książki, elektronika czy meble.

To wszystko pozytywne wątki. Choć są i mniej optymistyczne. Polska, będąc największym importermem odzieży używanej w Europie, powoli staje się tekstylnym śmietnikiem. Według różnych źródeł właściciele hurtowni używanej odzieży sprowadzają rocznie do Polski ok. 200–300 ton ciuchów. To, co kupujemy w second-handach, nie jest polskim odpadem tekstylnym, pochodzi najczęściej z Wielkiej Brytanii i krajów skandynawskich. Tamtejsi producenci odzieży muszą słono płacić za każdą tonę spalonych, niesprzedanych ciuchów, bardziej opłaca im się wysłać je za darmo do Polski, gdzie, z wyciętymi metkami, trafiają na wieszaki w ciucholandach.

W Polsce, zgodnie z danymi GUS z wiosny 2023 r., działało już około 30 tys. takich sklepów. Rosnące koszty utrzymania, zwłaszcza gwałtowny wzrost cen energii, nieco przetrzebiły mapy second-handów; GUS podaje, że od stycznia do początku września 2022 r. z rynku zniknęło 175 punktów. Ale nie wpływa to na popularność używanych rzeczy. Po prostu coraz większa część rynku przenosi się do internetu.

### Koparka z odzysku

Bo prawdziwa kopalnia rzeczy z odzysku to dziś internet. Gdy znika przestrzeń dzielącą kupującego a sprzedającego, okazuje się, że w sieci da się znaleźć wszystko. Jak podaje „Rzeczpospolitej” serwis OLBX, w pierwszym kwartale 2023 r. wrzucono o 12 proc. więcej ogłoszeń ze statusem „używane” niż rok wcześniej. Tendencja jest stała. Jeszcze większe wzrosty widać na Allegro Lokalnie: liczba odwiedzin wzrosła o ponad 20 proc.



Ubrania wiodą prym. Ale sięgające horyzontu morze ciuchów z drugiej ręki w internecie dzieli się na odrębne światy. Na zamkniętej fejsbukowej grupie – polskie marki modowe – ostatnio szczególnie duży ruch. Użytkownicy FB (prawie 70 tys.) wymieniają się, sprzedają i kupują wyłącznie ciuchy, akcesoria i biżuterię z metką made in Poland. Są społeczności poszukiwaczy marek ekskluzywnych, z certyfikatami oryginalności – od ubrań po design, gdzie za okulary płaci się kilka tysięcy złotych. Jest portal dla poszukujących specjalistycznych linii przemysłowych – od tych służących do lepienia pierogów, po wysoko wyspecjalizowane falowniki przemysłowe z drugiej ręki. Są portale dla poszukujących koparki i rębaka albo granuladora z odzysku. Ten świat ma nawet swoich celebrytów – znanych z tego, że się znajdują na konkretnym typie maszyny. Udzielają się na forach, służąc radą i opinią.

Czasem sukces zmienia markę. W sektorze ubrań używanych najbardziej znany jest portal Vinted. We wrześniu 2022 r. miał już ponad 6,5 mln użytkowników, o 1,5 mln więcej niż rok wcześniej. Vinted wymyślili i założyli litewscy 20-latkowie w 2008 r.; dziś ma ponad 80 mln użytkowników w 18 krajach i jest wyceniane na 5 mld dol. Ostatnio dołączyła Rumunia. Aplikacja reklamuje się jako platforma, na której można sprzedawać ubrania zalegające w szafie – oraz ekologiczna alternatywa dla kupowania nowych ciuchów. Początkową ideą była wymiana ciuchów, takie swap party w internecie, jednak to rozwiązanie okazało się zbyt skomplikowane. Jeszcze kilka lat temu można było tam znaleźć niedrogie, porządne ubrania, które nie pasowały

na właścicielkę albo się jej znudziły. Dziś coraz więcej osób traktuje serwis jako główne źródło dochodu. Nowa, ometkowana poliestrowa chińszczyzna z Shein, Boohoo czy Primark zastąpiła dobre jakościowo używane ciuchy.

Na portalu sporo jest też chłamu, ubrań i butów tak zniszczonych, że nie nadają się już do niczego, czy przedmiotów o nieodgadnionym przeznaczeniu (np. nocnik, rzekomo antyczny, który według sprzedającego może posłużyć jako doniczka), które stały się pożywką dla tiktokera. Profil „Ochłapy z Vinted” jest już obserwowany przez ponad 30 tys. internautów.

### Zawodowi lumpeksiarze

Kiedyś z Vinted korzystało sporo modych blogerek, dziś są tam raczej „handlary”, które zawodowo kupują w lumpeksach, odświeżają, prasują, czasem doszyją metkę albo buty zapakują w firmowe pudełko i wystawiają na Vinted. Ale portal może przestać akceptować osoby, które sprzedają niemal hurtowo. Są nowe unijne regulacje, które nakazują platformom re-commerce zgłaszanie do Urzędu Skarbowego użytkowników, którzy rocznie sprzedadzą więcej niż 30 rzeczy za kwotę wyższą niż 2 tys. euro.

Vinted się trochę popsuł, a na wszystkich platformach sprzedażowych zdarzają się nieuczciwi handlujący, którzy umiejętnie robią zdjęcia i redagują opisy, w którym udaje się opchnąć rzeczy niezbyt ładne i zniszczone. Ci, którzy się w ten sposób sparzyli, wracają do tradycyjnych, stacjonarnych lumpeksów. Jest też sporo kobiet (mężczyźni dużo rzadziej kupują rzeczy używane), które zwyczajnie muszą ciuch czy buty przymierzyć. One też wybierają

sklepy. Ale w stacjonarnych szmateksach polują ci, którzy z re-commerce żyją i robią to zawodowo. Pojawiają się, gdy jest nowa dostawa, przeważnie z obstawą, pakują ubrania do wielkich worków. Przypadkowy klient nie ma szans. Nie mówiąc już o tym, że takie polowanie zabiera dużo czasu.

Klara Majzel-Račławska wymyśliła, jak połączyć kupowanie w sieci ze sprzedażą stacjonarną. To ona wybiera się do szmateksów, gdy jest nowa dostawa, wynajduje rzeczy, a potem robi zdjęcia i pokazuje grupie klientek na Facebooku. Z ceną i krótkim opisem: rozmiar i skład. Zna wszystkie kobiety, które należą do grupy klarasecondstore, osobiście, wie, jak wyglądają, jaki styl lubią i jakie mają rozmiary. Gdy jakiś ciuch się spodoba, trzeba poprosić o przymierzenie. Klara przymierza i wtedy robi już filmik. To, że znają się osobiście, jest gwarancją dla klientek, że nie wciśnie im chłamu, rzeczy uszkodzonej czy zniszczonej. Za ten komfort kupujące chętnie płacą prowizję.

### Prawdziwe zero waste

Rynek rzeczy używanych to nie tylko ubrania, artykuły dziecięce, zabawki, książki, gadżety, elektronika czy meble. Są tacy, którzy całe remonty przeprowadzają, kupując tylko na Allegro czy OLX. Farbę, bo komuś została. Okna i drzwi z futrynami. Firma ma przeprowadzić remont dużej kamienicy, banku, biurowca, więc najpierw trzeba opróżnić budynek. Zamiast robić to samemu, zamawiać kontenery, opłacać sprzętanie, można zadzwonić do pana Zenka i Włodka. Przyjadą i wszystko zabiorą. Najpierw meble, wykładziny, potem wrócą po stare okna, drzwi, umywalki. I wszystko wstawią na OLX czy Sprzedajemy. – *Trudno jest tak remontować, ale się da i wychodzi nieporównywalnie taniej* – mówi Anna, która kupiła stary budynek pod opieką konserwatora i musiała całkowicie go odremontować. – *Tak właśnie kupiliśmy dębowe drzwi, z kasetonami i futrynami. Okna też są używane, a farba i płytki nowe, ale za pół ceny, bo komuś coś zostało. Satisfakcja, bo to prawdziwe zero waste, i oszczędność czasu, bo na stylowe okna od producenta trzeba by czekać kilka tygodni, a na platformach sprzedażowych wszystko jest od ręki. I wszystko można znaleźć, tylko trzeba poszukać.*

Zabytkowy budynek ma więc okna z Allegro Lokalnie, drzwi z OLX, podłogi ze Sprzedajemy i nowy dach z Facebooka, a wszystko udało się pozbierać w cztery miesiące. Konserwator zabytków nie wniósł zastrzeżeń.

AGNIESZKA SOWA

# Wyregulować odbiorniki

Jeśli mediów publicznych nie obroniły zasady zapisane w statutach i kodeksy etyczne, to może trzeba z nich uczynić ufortyfikowany zamek ze społeczeństwem obywatelskim na murach?



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

DOROTA NYGREN, RYSZARD HOLZER

**J**eżeli opozycja za niewiele ponad pół roku wygra wybory, trzeba będzie przystąpić do naprawiania pozostawionej przez PiS „Polski w ruinie”. Ta naprawa musi przede wszystkim dotyczyć praworządności, gospodarki i mediów. Te trzy obszary są kluczowe dla sterowania państwem, ich zaniedbanie grozi koniecznością ciągłego gaszenia pożarów. Media publiczne, w których już w 2016 r. pozbyto się prawie ćwierć tysiąca doświadczonych dziennikarzy, zostały przekształcone w bezwstydną tubę propagandową PiS.

**1** Standardy działania mediów publicznych nie są czymś uznaniowym, wymyślonym przez dziennikarzy i opozycyjnych polityków. Są ustalane przez Komitet Ministrów Rady Europy. Jednym z kluczowych wyzwań jest „zapewnienie odpowiedniego poziomu niezależności od państwa”. A więc – wbrew temu, co mówią politycy PiS – media publiczne nie powinny być głosem aktualnie rządzących. Choć właścicielem mediów publicznych jest państwo, to władza nimi w imieniu społeczeństwa. Oddają to przepisy w ustawie o radiofonii i telewizji (art. 21 pkt 2); media publiczne powinny: „rzetelnie ukazywać całą różnorodność wydarzeń i zjawisk w kraju i za granicą, (...) sprzyjać swobodnemu kształtowaniu się poglądów obywateli oraz formowaniu się opinii publicznej, (...) umożliwiać obywatelom i ich organizacjom uczestniczenie w życiu publicznym poprzez prezentowanie zróżnicowanych poglądów i stanowisk oraz wykonywanie prawa do kontroli i krytyki społecznej”. No i co? Wiadomo.

To prawda, że nie ma unijnych regulacji i każdy kraj może tworzyć strukturę mediów publicznych wedle uznania. Jeśli już

jednak ma media publiczne, to musi – wedle jednego z wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej – stworzyć warunki do ich bezstronnego funkcjonowania. Nie jest to możliwe bez spełnienia podstawowego warunku: niezależności redakcyjnej dziennikarzy i wydawców, wolnych od politycznej ingerencji i politycznych instrukcji.

Jak to zapewnić? Oddalając media publiczne od polityków i dokładając starań, by ich kierownictwo było powoływane przez niezależne organy nadzorcze. Tak jest np. w krajach skandynawskich, które stosują tzw. zasadę odległości ramienia (*arm's length principle*). Chodzi o zbudowanie buforu, który oddziela polityków od zarządów mediów publicznych. Np. w Finlandii są dwa takie buforu: 21-osobowa Rada Nadzorcza i złożona z pięciu–ośmiu członków Rada Dyrektorów. Dopiero ta ostatnia wybiera i odwołuje dyrektora zarządzającego publicznego nadawcy radiowo-telewizyjnego YLE. Członkowie Rady Nadzorczej są wybierani przez parlament spośród osób mających wiedzę z zakresu nauki, sztuki, kultury, biznesu i gospodarki.

**2** Także w Polsce projekt ustawy o mediach publicznych z 2010 r., przygotowany przez Obywatelski Komitet Mediów Publicznych, przewidywał, że 50-osobowy komitet będzie wybierał siedmioosobową Radę Mediów Publicznych, a dopiero ta powoła zarządy mediów. Podobnym tropem idą twórcy projektu przygotowywanego przez zespół ekspertów, a zaprezentowanego na posiedzeniu senackiej komisji kultury i środków przekazu przez byłego przewodniczącego KRRiT (wcześniej prezesa TVP) Jana Dworaka. Przewiduje on powołanie 11–15-osobowej Rady Powierniczej, która wskazywałaby skład zarządów mediów publicznych, zatwierdzany przez KRRiT. W Radzie Powierniczej mają zasiadać osoby rekomendowane m.in. przez samorządy, uczelnie, środowiska twórcze i organizacje pozarządowe.



#### Dorota Nygren

– dziennikarka przez wiele lat związana z działem politycznym Polskiej Agencji Prasowej oraz z Informacyjną Agencją Radiową. Obecnie redaktorka Polityki Insight.



#### Ryszard Holzer

– dziennikarz i redaktor m.in. „Pulsu Biznesu”, „Życia Warszawy”, „Gazety Wyborczej”, „Wprost”, i „Newsweeka”. Obecnie redaktor Polityki Insight.

Szczególna wartość tej propozycji to koncepcja stworzenia silnych mediów regionalnych na bazie 16 ośrodków TVP i 17 regionalnych rozgłośni radiowych. 16 tak powstałych spółek mediów regionalnych ma być niezależnych od ogólnopolskich TVP i PR, współpracując z nimi m.in. w takich obszarach, jak IT, obsługa procesów księgowych i kadrowych czy akwizycja reklam. Ich władze powoływałyby własne rady powiernicze, łączące kompetencje rad nadzorczych i programowych. Powstawałyby one w sposób podobny jak rada ogólnokrajowa, z tym że jednego przedstawiciela do każdej z nich delegowałby sejmik samorządowy.

Te lokalne media publiczne byłoby politykom jeszcze trudniej przejść niż media krajowe. – *Samorządy są zróżnicowane. Więc jeśli PiS albo w przyszłości inna niedemokratyczna formacja chciałaby zrobić krzywdę samorządom, to siłą rzeczy musiałaby ją zrobić także swoim – tłumaczy Jan Dworak. Dodaje, że dla samorządowców niekoniecznie najważniejszą wartością jest dziennikarska niezależność; z ich perspektywy dobre media to takie, które chwalą prezydenta miasta czy marszałka województwa: – Stąd pomysł, aby wprowadzić przedstawicieli samorządu do rad powierniczych, ale by większość stanowili przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego.*

**3** Gdy rozmawia się o mediach publicznych, to wcześniej czy później ktoś rzuci, że z ich bezstronnością problem jest „od zawsze”. A skoro tak, to może lepiej się ich w ogóle pozbyć? Zostawić skromny budżet w gestii KRRiT, aby finansowała z niego działalność misyjną w mediach komercyjnych.

Są na to dwie odpowiedzi. Pierwsza jest taka, że między tym dawnym problemem a obecną katastrofą jest spora różnica. Problemy rozwiązuje się na bieżąco, katastrofa wymaga refleksji nad tym, jak zapobiec powtórzeniu się jej w przyszłości. Krzysztof Luft, były członek KRRiT (2010–16) i współtwórca projektu ekspertów, przyznaje, że wcześniej „politycy starali się wpływać” na działanie mediów publicznych. Niemniej „starało się nie odrzucać podstawowych zasad funkcjonowania mediów publicznych, na czele z tą wynikającą z nazwy – że media te mają służyć wszystkim i wszyscy mają mieć do nich dostęp”.

Ale jest i druga (ważniejsza!) odpowiedź. Bez mediów publicznych nie ma demokratycznego społeczeństwa. Przynajmniej część konsumentów wiadomości i publicystyki dzięki nim ma szansę zetknąć się z poglądami drugiej strony. Kowalski może się dowiedzieć, jakie interesy i obawy stoją za politycznymi i kulturowymi wyborami Malinowskiego, a Malinowski przekonać się, że Nowakowa nie jest wariatką, tylko ma inną hierarchię wartości. Brak mediów publicznych sprzyja polityce tożsamościowej, dzielącej społeczeństwo na zwalczające się obozy, które czerpią wiedzę z baniek „swoich” mediów i nie są w stanie porozumieć się nawet co do faktów. „Tamci” jawią się jako wrogowie pragnący zniszczyć to, co „nam” najdroższe.

Tylko nie e z a l e z e – od partyjnych ugrupowań, ale też od innych interesariuszy, zwłaszcza dużego biznesu – media publiczne mogą zaoferować przestrzeń dla dialogu, bez którego nie sposób wypracować rozwiązań akceptowalnych dla różnych grup. Choćby nawet akceptowalnych ze zgrzytaniem zębów – jak kompromis aborcyjny, który funkcjonował ponad ćwierć wieku, nim został zniszczony w 2020 r.

**4** Projekt zespołu Dworaka przewiduje także przepisy wzmacniające prawo dziennikarza i wydawcy do samodzielnych decyzji. To ważne, bo niezależność redakcyjna zaczyna się w dziennikarskim sumieniu, a kończy wtedy, gdy pojawia się autocenzura ze strachu przed szefem i utratą pracy. Notabene np. w szwedzkich mediach publicznych przestrzegana jest zasada, że o kształcie każdego programu decyduje jego wydawca.

Rzecz jasna nie tylko omawiane wyżej bufory składają się na sukces skandynawskich mediów publicznych, cieszących się ogromnym zaufaniem. Kluczowa jest dojrzałość społeczeństwa, a także dziennikarzy gotowych do obrony swojej niezależności. Jeśli jednak tego (chyba) nie mamy, to od czegoś trzeba zacząć i zbudować takie bufory, skoro nic mądrzejszego nie wymyślono. Jak uczą doświadczenia ostatnich lat, remedium nie są zasady bezstronności zapisane w statutach i kodeksy etyczne; te zasady niestety trudno łamać. Może więc bardziej efektywna będzie struktura czyniąca z mediów publicznych ufortyfikowany zamek ze społeczeństwem obywatelskim na murach?

Jest jeden problem – autorzy przedstawionej w Senacie koncepcji przyznają, że jej pełne wprowadzenie to minimum 1,5 roku. A co przez ten czas? Pozostawienie mediów publicznych w rękach funkcjonariuszy pionu propagandy PiS byłoby politycznym samobójstwem. W dzień po powołaniu nowego rządu zacznie on być obwiniany o wszystko, od złej pogody zaczynając. A przede wszystkim my – obywatele, społeczeństwo – mamy prawo domagać się, aby media publiczne przestały jątrzyć i dzielić.

Trudno oczekiwać, że prezydent Andrzej Duda ułatwi naprawę tego, w czego psuciu radośnie uczestniczył, rezygnując z wetowania prób ustawowego naprawiania mediów publicznych. Ich właściciel, czyli minister kultury, może jednak zawiesić zarządy PR i TVP na okres do roku i poprosić o wyznaczenie kuratora sądowego. A kurator może dokonać szybkich zmian, zwłaszcza personalnych.

– *Nie jesteśmy zwolennikami zemsty wobec ludzi, którzy dziś kierują telewizją publiczną, choć kłamstwo, które się tam wylewa, może doprowadzić do białej gorączki – mówi Dworak w imieniu twórców projektu. – Ale jesteśmy zwolennikami tego, aby stosować normy etyczne, zawodowe, zawarte w aktach wewnętrznych telewizji i radia, mówiące o tym, jak powinna wyglądać publicystyka czy informacja. I w oparciu o te zasady można dokonać szybkiej i radykalnej oceny osób odpowiedzialnych za to, co się dzieje np. w „Wiadomościach”, i podjąć stosowne decyzje.*

**5** Troška o utrzymanie władzy nie będzie obca także dzisiejszej opozycji. Jej politycy muszą jednak mieć świadomość wyjątkowej i może jednorazowej szansy na zbudowanie demokracji bardziej trwałej niż dotychczasowa.

Krzysztof Luft nieco sceptycznie mówi, że „jak przyjdzie bandyta z bejsbolem, to żadne medialne bufory go nie powstrzymają”. To prawda, ale nie chodzi o tych bandytów, tylko o demokratycznych polityków – żeby pamiętali, czego mają bronić. Dlatego „odpisanie” mediów publicznych powinno się odbywać w ramach paktu zawieranego przez nową władzę ze środowiskami medialnymi z ogółem społeczeństwa. Owszem, pozbywamy się z radia i telewizji skompromitowanych funkcjonariuszy PiS, zatrudniamy nowych dziennikarzy, ale nie zamierzamy tworzyć „własnych mediów publicznych”. I od razu przystępujemy do prac nad ustawą o mediach prawdziwie publicznych. ■



## Nie tylko Tokio – Japonia ma do zaoferowania o wiele więcej niż wielkie miasta

**Kraj Kwitnącej Wiśni znów otwiera się na świat, pokazując przy okazji swoje mniej znane oblicze. Ma też coraz lepszą infrastrukturę, dzięki której z łatwością zwiedzić da się też bardziej odległe części kraju, również zza okien samochodu.**

**H**okkaido większości osób, nawet tych bardziej zaznajomionych z geografją Dalekiego Wschodu, kojarzy się przede wszystkim ze sportami zimowymi. Nic dziwnego, w końcu to wyspa na północnym krańcu Japonii, znana przede wszystkim ze swoich sportowych stolic. Zimowe Igrzyska Olimpijskie zorganizowane w 1972 r. w Sapporo akurat w Polsce kojarzą się doskonale zwłaszcza starszym kibicom, tam bowiem złoty medal olimpijski zdobył Wojciech Fortuna. Młodszy natomiast niejednokrotnie zarywali noce, by oglądać sukcesy odnoszone na tamtejszych skoczniach przez Adama Małysza, a później Kamila Stocha. Ale Hokkaido to nie tylko biały puch, choć tego rzeczywiście na północy Japonii nie brakuje i jest on pierwszej jakości.

Na wyspie znajduje się też Daisetsuzan, ogromny górski park narodowy, zamieszkały między innymi przez dziko żyjące jele-

nie i niedźwiedzie. Główną jego atrakcją są jednak imponujące szczyty nieczynnych wulkanów, z których najwyższy, Asahi-dake, ma prawie 2300 m. n.p.m. Łącznie na terenie parku znajdują się aż trzy łańcuchy gór wulkanicznych, przez które prowadzą setki szlaków turystycznych o różnym stopniu trudności. Dodatkową atrakcją są również *otsen*, gorące źródła, często położone w bezpośrednim sąsiedztwie szczytów.

Środek Hokkaido to nie tylko terytorium dzikiej przyrody, ale też Ainu, rdzennych mieszkańców tych obszarów. Wywodzą się z północnych wysp Dalekiego Wschodu, zamieszkują również Sachalin, Kamczatkę i Wyspy Kurylskie. Na terenie Japonii żyje ich jeszcze, według różnych szacunków, około 20 tys., w sąsiedniej Rosji mniej niż tysiąc. Ainu to lud o niesamowicie bogatej, liczącej milenia kulturze, której poświęcony jest Upopoy – muzeum i park w jed-





nym. Pod tą nazwą kryje się zarówno budynek goszczący narodową kolekcję sztuki Ainu, jak i obszar upamiętniający ich losy i wkład w kulturę całej Japonii. Od 2007 r. jest ona chroniona prawem, a w ostatnich latach Upopoy stało się jedną z najbardziej popularnych destynacji turystycznych na północy kraju. Po części sukces ten wytłumaczyć da się bezpośrednim połączeniem kolejowym z Sapporo, co akurat na Hokkaido jest rzadkością, bo północ Japonii tradycyjnie należała do gorzej skomunikowanych obszarów.

Ten stan rzeczy powoli się zmienia, bo Japonia stara się inwestować w infrastrukturę jak najwięcej. Również po to, by przyciągnąć do kraju więcej turystów. Tamtejsza rada ds. turystyki postawiła sobie za cel osiągnięcie zysków na poziomie 1400 euro zostawianych w Japonii przez każdego przybysza z zagranicy. Żeby go zrealizować, musi jednak zaprosić zwiedzających poza utarte szlaki, nie tylko do Tokio, Jokohamy, czy w okolice Góry Fuji. Zwłaszcza, że akurat w tym kraju jest co zwiedzać praktycznie wszędzie, nie ma co więc siedzieć w miejscu!

Pozostając na północy, odwiedzić warto Asahikawę – miasto u podnóż wspomnianego Asahi-dake. To miejsce znane z wielu powodów, od kulinarnych sukcesów tutejszej odmiany ramenu, po światowej sławy przemysł meblarski. Asahikawa mieści dziś jedne z najlepszych w Japonii, doskonale rozpoznawalnych również poza Azją warsztatów tworzących drewniane meble i elementy wykończeniowe. To wbrew pozorom również oferta skierowana do zagranicznych turystów – być może nie zdecydują się na powrót do domu z nową szafą czy ramą do łóżka, ale już niewielki kinkiet czy miska na owoce mogą być doskonałą pamiątką z wakacji.

Problem z podróżowaniem po tyleż malowniczej, co relatywnie nieznannej północy Japonii jest jednak zasadniczy – ciężko sobie poradzić tu bez samochodu. Sami Japończycy spieszą jednak z pomocą, bo na drogach – japońskich i nie tylko – doskonale spisują się ich własne samochody, jak chociażby te tworzone przez Mazdę. Ten ikoniczny producent z Hiroszimy, legitymizujący się stuletnią niemal tradycją tworzenia wybitnych, eleganckich pojazdów wypuścił niedawno na rynek model CX-60, SUV doskonale radzący sobie także w warunkach mroźnej i śnieżnej zimy. To samochód na wskroś japoński, który łączy niezwykle wysoki poziom wykończenia wnętrza, doskonałą przyczepność i wysokie, potwierdzone w testach bezpieczeństwo jazdy z elastycznością dopasowywania się do zmieniających się warunków na drodze. Mazda spisuje się doskonale na południowym, miejscami nawet tropikalnym w swym klimacie wybrzeżu Japonii, ale też na dalekiej północy, w ojczyźnie ludu Ainu, gdzie temperatura regularnie utrzymuje się nawet poniżej -10 stopni Celsjusza. Mazda CX-60 to samochód przestronny, idealnie skrojony pod dalekie wycieczki. Wyróżnia się świetnymi parametrami technicznymi – jego moc to 327 KM w modelu plug-in hybrid, do setki rozpędza się w 5,8 sekundy, przy jednoczesnym bardzo niskim spalaniu. Doskonale dopasowuje się do indywidualnych potrzeb dzięki systemowi personalizacji ustawień kierowcy. Dwa napędy – diesel i hybrydowy – sprawiają, że nie boi się wyznań. Elegancki i jednocześnie oddający hołd tradycji, wykonany według filozofii KODO, *duszy ruchu*, łączącej artyzm i rzemiosło z nowoczesnymi technologiami. Mazda CX-60 to samochód, w którym podróż to zawsze przyjemność i przygoda w jednym.

Materiał powstał we współpracy z Mazda



# Grube ryby na bezrybiu

To zabawne, że kraj, w którym ryby jada się od święta, a łowi jak na lekarstwo, coraz śmielej rozdaje karty na światowym rynku rybnym.

JULIUSZ CŹWIELUCH

Trzymając się paradoksów: im mniej łowimy, tym więcej przetwarzamy. Doszło do tego, że na polskie zakłady przetwórcze zaczęły polować zagraniczne rekiny. Należący do Niemców koncern Lisner zapowiedział, że przejmie Graal SA, największego producenta konserw rybnych w Polsce. Graal to zawodnik wagi ciężkiej, produkuje milion konserw dziennie.

Struktura spożycia ryb w Polsce to temat na doktorat z socjologii. Tym bardziej że pozornie od lat niewiele się zmienia w tym zakresie. – *Statystyczne spożycie w zasadzie od 2018 r. jest na niemal identycznym poziomie. Ostatnio drgnęło i z 13 skoczyło na 14 kg ryb i przetworów rybnych na głowę mieszkańca. Jednak ciągle wybieramy mniej więcej te same ryby i produkty.*

*Najczęściej wybierany jest śledź. Mocno trzyma się morszczuk. To wszystko są kulturowe zaszczości sprzed wielu lat – mówi Krzysztof Hryszko, specjalista z Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej. W liczbach bezwzględnych spożycie wygląda jeszcze słabiej. W 2021 r. statystyczny Polak wydawał na ryby niespełna 11 zł miesięcznie. To mniej więcej tyle, ile kosztuje dziś lepszej jakości konserwa rybna. W grudniu tradycyjnie sprzedaż poszybowała na karpniu. Grudzień to ten miesiąc, kiedy Polacy przypominają sobie o jedzeniu ryb. W efekcie cały 2021 r. zamknął się kwotą 144,84 zł, które statystyczny Polak wydał na ryby i przetwory rybne. W tym samym czasie na mięso Polacy wydali 957 zł i 12 gr. I w tym segmencie wydatki z roku na rok rosną dynamicznie.*



© MAGA CWIELUCH

Tyle że mięso ma coraz gorszą prasę i notowania u dietetyków. A ryby wręcz przeciwnie. Nie tylko zaleca się większe spożycie, ale w piramidzie zdrowia ryby nie leżą już koło mięsa. Awansowały do kategorii produktów zalecanych do częstszego spożycia. W Polsce zauważyli to jedynie bogatsi klienci, bo jedzenie ryb to dziś nie tylko wybór kulinarny, ale i klasowy. – *Ryba stała się towarem nie tylko dla bardziej świadomych, ale przede wszystkim bardziej zamożnych. Dysproporcje cenowe pomiędzy filetem drobiowym a filetem rybnym są miażdżące* – tłumaczy Hryszko. Kilogram ryby potrafi być o 100 zł droższy niż kilogram mięsa zwierzęcego. Przy takich dysproporcjach właściwie sprzedaż powinna się związać. A jednak w sieciach handlowych ryb na półkach przybywa.

– *Bogatszy klient szuka ryb, i to najlepiej świeżych. Jak nie ma ich w ofercie, to idzie tam, gdzie je dostanie, a każda sieć walczy o zamożnego klienta* – mówi handlowiec z dużej sieci sklepów.

Towaru jest więcej, ale nie zawsze jest tym, za co bierzemy. – *Zdecydowana większość ryby tackowanej to towar rozmrażany. Z punktu widzenia gastronomicznego jest świeży i pełnowartościowy. Ale wyobrażenia, że kupujemy dopiero co złowioną rybę, rozmijają się z rzeczywistością* – dodaje Krzysztof Hryczko.

Rzeczywiście, świeżo złowionej ryby nie ma i jeszcze długo nie będzie na polskich stołach, bo w Polsce nie ma jej skąd brać. Ryby w Bałtyku po prostu się skończyły, nie licząc ryb pelagicznych, czyli szprotów i śledzi. Przy czym większość złowionego szprota idzie na paszę dla zwierząt, bo w Polsce ludzie ciągle nie nauczyli się tej ryby jeść. Inne gatunki zostały przełowione. Swoje dołożył również kryzys klimatyczny. Bałtyk jest jednym z najszybciej ogrzewających się mórz. Spada zasolenie wody. Dla ryb to jak podwójny wyrok śmierci. W słabo zasolonej wodzie ikra opada na dno i obumiera. Im cieplej, tym ryby morskie słabiej się rozwijają. Tak próbuje się wytłumaczyć dramatyczny spadek liczebności dorszy. Ale z dorszem źle działa się nie tylko pod względem ilości. Przez ostatnie lata ryba chudła i karłowaciała w oczach. – *To, co trafiła do przerobu przez ostatnie lata, bardziej przypominało śledzia niż dużo większego w naturze dorsza. Część produkcji trzeba było filetować ręcznie, bo maszyny nie dawały sobie rady z taką chudą rybą* – opowiada Jerzy Safader, były szef Polskiego Stowarzyszenia Przetwórców Ryb.

### Rachunki grozy

Ostatecznie w 2019 r. na poziomie Unii Europejskiej zapadła decyzja, że bałtyckiemu dorszowi trzeba zapewnić specjalne traktowanie, bo inaczej ryba całkiem zniknie z ekosystemu. Zakaz połowu dorsza obowiązuje już czwarty rok i ciągle nie widać, żeby z dorszem było zdecydowanie lepiej. W efekcie w nadbałtyckich smażalniach można dostać tylko rozmrażanego dorsza atlantyckiego. Ze świeżych ryb ewentualnie flądę. Tyle że o tej porze roku cienką jak naleśnik, bo ryba jest po tarle i dopiero na przełomie sierpnia i września nabierze więcej masy. Wcześniej można będzie zamówić turbota. Pod warunkiem że ktoś jest gotowy na rachunek grozy, bo cena kilograma tej ryby przebija 200 zł.

Z rybami słodkowodnymi nie jest lepiej. Co się stało z tymi z Odry, na żywo śledziła cała Polska. Stan innych rzek również nie napawa optymizmem. Odłów z pozostałych akwenów jest śladowy. Nie łapie się na potrzeby sieci handlowych. Pozostaje akwakultura. – *O karpniu można zapomnieć, bo to jest ryba zjawisko. Hoduje się ją trzy lata i sprzedaje w trzy dni. Przez resztę dni w roku właściwie jest niesprzedawalny* – mówi Safader. Jego zdaniem Polska powinna rozwijać hodowlę innych ryb. – *To wstyd, że taki wielki kraj musi importować nawet pstrągą, którego przecież potrafimy i mamy gdzie hodować*. Dziś połowę zapotrzebowania na pstrągą zapewniają polscy producenci. Drugą połowę trzeba importować. Zdarza się, że ryba przyjeżdża nawet z Turcji.

Firma badawcza Nielsen zadała Polakom pytanie, co jest dla nich barierą w jedzeniu ryb. Oprócz wysokiej ceny część respondentów zwróciła również uwagę na kwestię świeżości. Aż 18 proc. badanych wskazało, że ma obawy co do jakości i świeżości oferowanych im ryb. – *Obawy są na wyrost, bo dziś ryby podróżują po świecie samolotami. Logistyka jest pod pełną kontrolą i w niskich temperaturach. Ewentualnie kupując rybę, warto sprawdzić, czy producent wycina skrzelą, bo po ich zabarwieniu najłatwiej poznać, czy towar jest świeży* – tłumaczy jeden z handlowców.

Mimo rosnącego popytu rodzimi hodowcy ciągle narzekają, że produkcja się nie opłaca, że zjadają ich koszty, a klient jest kapryśny i nieprzewidywalny. Z drugiej strony branża hojnie dotowana jest przez państwo i Unię Europejską. W grudniu zeszłego roku rybacy i producenci otrzymali setki milionów w ramach ►

► tzw. dodatku wojennego. Armatorzy dużych kutrów dostawali prawie 100 tys. od jednostki. Dla branży przetwórczej zarezerwowano 105 mln zł. Dla hodowców ponad 50 mln. Świeże dotacje słabo przekładają się na podaż świeżych ryb.

## Król łososia

Polska jest w ogonie rybnego spożycia w Unii. Ciekawie robi się jednak, kiedy analizujemy przetwórstwo. Im mniej ryb łowimy, tym więcej ich przerabiamy. Ludzie, którzy znają temat, twierdzą, że branżę na nogi postawiła terapia szokowa. – *Po 1989 r. państwowe molocho szybko poupadały. Na ich gruzach powstało wiele mniejszych prywatnych firm. Prywatni właściciele potrafili być bardzo kreatywni w pozyskiwaniu towaru i rynków zbytu* – opowiada Jerzy Safader, który sam prowadził przetwórnictwo ryb. Niektórzy potrafili w kilkanaście lat wyjść z ligi lokalnej i wskoczyć do światowej.

Jerzy Malek w branży nazywany jest królem łososia. Obecnie jest królem bez królestwa. Ale nie należy się do tego przywiązywać, tak jak on nie przywiązywał się do swoich biznesów. Malek już dwa razy stworzył prawdziwe rybne giganty i dwa razy sprzedał je bez mrugnienia okiem. Za pierwszym razem zarobił na tym ponad pół miliarda złotych. Drugim razem wołał się już nie chwalić zyskami. Tytułarnym królem pozostanie pewnie do końca życia, bo to on stworzył i rozkręcił model, w którym ryby hoduje się w Norwegii, przerabia w Polsce, a sprzedaje tam, gdzie najlepiej da się na nich zarobić, czyli głównie w Niemczech.

Malek postawił na łososia norweskiego, choć koledzy w branży pukali się w głowę. Kiedy rozkręcał biznes, udział tej ryby w polskim rynku był znikomy. Na polską kieszeń ryba była za droga. Malek polskim rynkiem się nie przejmował. – *Łosoś wygrywa elastycznością. Rośnie w temperaturze od 2 do 18 stopni. Jest żywotny, jego mięso może smakować nawet tym, którzy nie przepadają za rybami* – wylicza. W 1996 r. kupił w Duninowie pod Ustką teren po byłej jednostce wojskowej. Działka miała tę zaletę, że była pośrodku niczego, co w branży przetwórstwa rybnego jest przydatne, bo z góry eliminuje skargi na zapachy. Na archiwalnych zdjęciach z budowy zakładu widać nie tylko postęp prac, ale i temperament właściciela. Pierwszy zakład działał w warunkach gigantycznego placu budowy. Do pracy najlepiej było przychodzić w gumowcach. Zresztą na hali też się pracowało w gumowcach. Tylko w sterylnych warunkach, bo Malek od początku celował w zachodnie rynki i zachodnią jakość. Przez lata funkcjonowania w branży usprawniał logistykę, bo im szybciej ryba pokonywała trasę z Norwegii, tym więcej mógł z niej zrobić. – *Łososia można jeść na surowo, wędzić na ciepło i zimno, smażyć, piec, przerabiać na parówki, fishburgery, wkładać do farszu do pierogów, przerabiać na sushi* – wylicza Malek. W 2012 r. Norwegowie zorientowali się, że prawdziwe pieniądze na ich łososiu robi kto inny. Rok później kupili zakład w Duninowie.

To, co Malek rozpoczął, Norwegowie z rozmachem rozbudowali do rozmiarów największej przetwórczy w UE. A właściciele sześciu zakładów na jednym terenie, bo firma jest już tak gigantyczna, że nie sposób byłoby nad tym zapanować, trzymając wszystko pod jednym dachem. To ten rodzaj zakładów, w którym dane podaje się w tonach. Samego sushi produkują w Duninowie 23 tony dziennie. Żeby to się udało, do zakładu trzeba dostarczać setki ton łososia dziennie. I to w większości z Norwegii, ewentualnie ze Szkocji i Irlandii. Zakład przerabia też dziko żyjącego łososia łowionego na Alasce. Nie każdy klient chce rybę hodowlaną.

W Bałtyku łososia hodować się nie da, choć ryba występuje tu w warunkach naturalnych. Ale zbudowanie klatek i rozwijanie hodowli ma sens tylko w miejscach, gdzie fala nie przekracza maksymalnie trzech metrów. Bałtycka fala jest krótka. Ale w czasie sztormów morze potrafi pokazać, na co je stać. Norwegowie mają fiordy, które chronią hodowlę przed działaniem morza. Z założenia nie mają jednak zakładów przetwórczych u siebie. Niemal cała produkcja wyjeżdża z kraju w różnych kierunkach, łącznie z Japonią. Ale to Polska jest jednym z głównych odbiorców norweskiej ryby. W 2021 r. importowano do nas 240 tys. ton łososia. To takie ilości, przy których ciężko używać jakiejś miary. Najbardziej precyzyjna jest finansowa. Ściągnięta ryba warta była 1,4 mld euro.

Towar transportowany jest głównie tirami. Logistyka jest już tak rozkręcona, że w ciągu 24 godzin samochody pokonują 1,5 tys. km z Norwegii do Polski. Chodzi o to, żeby wypatroszony, ale nie mrożony łosoś dojechał do zakładu świeży. Na miejscu czas też jest kluczowy, bo w branży walczą o jakość. A jakość równa się

świeżość. W Duninowie walczą podwójnie, bo polski zakład jest pierwszym w branży, który postanowił stworzyć własną markę: Mowi. Mało kto z oglądających reklamy ma świadomość, że Mowi to zagraniczna marka, ale z polskimi korzeniami i zapleczem. Choć to również jest skomplikowane, bo w samym Duninowie pracuje prawie 3 tys. ludzi. I coraz więcej zatrudnionych jest spoza Polski. Poza Ukraincami do zakładów pracownicy ściągani są nawet z Kolumbii i Nepalu. Przerobienie dziesiątek tysięcy ton łososia to po prostu gigantyczne wyzwanie. Tym bardziej że praca w dużym stopniu ciągle jest jeszcze ręczna. Mimo coraz bardziej skomplikowanych ma-

szyn do filetowania tusza i tak musi przejść przez ręce pracowników, którzy małymi szczypcami poprawiają to, co maszyna przeoczy. Ości to zhora branży. Z badań wynika, że ości są jedną z głównych przyczyn, dla czego ludzie nie lubią ryb. Stąd zresztą światowy sukces tuńczyka, który ości nie miał i był najchętniej konsumowaną rybą. Był, bo stada tuńczyków są już dramatycznie przełowione. A łososia można hodować i dostarczać klientowi świeżego przez cały rok.

## Złoty Graal

Światowa branża rybną przez lata przyglądała się sobie na wielkich targach w Brukseli. Dwa lata temu gospodarzem targów została Barcelona. Nie dość, że miasto leży nad morzem, to w końcu kwiecień jest już bardzo przyjazny dla gości. Już ciepło, ale jeszcze nie gorąco. Na Global SeaFood Market w tym roku było jednak gorąco, bo w branży nastąpiła seria dużych akwizycji. Jedną z większych na polskim rynku, bo krótko przed targami Lisner Holding ogłosił, że zamierza przejąć polskiego producenta konserw – firmę Graal. Graal to jedna z tych firm, które już kilka lat temu wyrosły ponad polski rynek. Ich konserwy eksportowane są do prawie 40 krajów, łącznie z Australią. Roczna sprzedaż firmy sięga 1,6 mld zł. Jej założyciel Bogusław Kowalski stara się nie chwalić, bo wie, że w Polsce miliony kłują w oczy. Jak na człowieka, który zaczynał od sklepu rybnego w Wejherowie, to spokojnie można mówić, że Kowalski znalazł złotego Graala.

Za ile dużo mniejszy Lisner (978 mln zł sprzedaży) przejmie większego Graala, jeszcze nie wiadomo. Ale suma będzie raczej rekordowa. O ile transakcja dostanie zielone światło od szefa Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, bo po połączniu Graala Lisner będzie prawdziwą grubą rybą.

JULIUSZ CŹWIELUCH

Firma badawcza zadała Polakom pytanie, co jest dla nich barierą w jedzeniu ryb. Oprócz wysokiej ceny część respondentów zwróciła również uwagę na kwestię świeżości.





## Weekend ma 50 lat

PRL dawkowała nam wolne soboty jak kroplówkę. Pierwszą, 21 lipca 1973 r., trzeba było jeszcze odpracować. Miała uświetnić coroczne Święto Odrodzenia Polski 22 lipca. Pół wieku temu pracodawcy obawiali się wolnej soboty tak, jak obecnie wolnego piątku. A jednak czas pracy będzie topnieć.

JOANNA SOLSKA

**C**zy załogi, pracując tylko pięć dni w tygodniu za te same pieniądze, aby na pewno zwiększą wydajność i plan pięcioletni zostanie wykonany? – powątpiewali ówczesni ekonomiści. Tym bardziej że rąk do pracy brakowało tak samo jak obecnie. Zwłaszcza dużym zakładom pracy, a to od nich zależało wykonanie planu, bo „prywaciarze” stanowili nieistotny fragment gospodarki. Wrzód na ciele socjalizmu. Silny był pogląd, że na krótszy tydzień pracy czas

przyjdzie wtedy, gdy wydajność wyraźnie pójdzie w górę, ale jakoś nie szła. Nawet w Związku Radzieckim rekompensowanie dodatkowego wolnego dnia od pracy udało się nie do końca. Z powodu wolnej soboty zatrudnienie trzeba było zwiększyć o 3 proc., brak ludzi odczuwały też Czechosłowacja, NRD i Węgry, które także zdecydowały się skrócić tydzień pracy, ale powoli, nie o wszystkie soboty naraz.

Były też poglądy odmienne. Helena Strzezińska z ówczesnego Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych przekonywała, że kolejność powinna być odwrotna – najpierw czas pracy należy skrócić, bo to zachęci ludzi do lepszej organizacji,

racjonalizacji, a także – co słyszymy obecnie jako zachętę do wprowadzania czterodniowego tygodnia pracy – uruchomi naszą kreatywność.

Nowe kierownictwo partii, z Edwardem Gierkiem na czele, obudziło nadzieje społeczeństwa na poprawę warunków życia. Postulat wolnych sobót padł na VI Zjeździe PZPR, który odbywał się pod hasłem „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Polacy wiedzieli, że we Francji czy Anglii, podobnie jak w innych krajach Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, pięciodniowy tydzień pracy obowiązuje już od dawna. W piątek ludzie pracy udają się na weekend, które to określenie u nas ►

► ze zrozumiałych względów używane jeszcze nie było. Przykłady krajów socjalistycznych pokazywały, że krótszy tydzień pracy możliwy jest także „w naszym baraku”. Zwłaszcza że pierwszy sekretarz partii Edward Gierek spędził na Zachodzie spory kawałek życia, pracował tam jako górnik, więc też korzystał z weekendów. Chciał nimi obdarować także Polaków. Wybrano zatem wariant „tak, ale powoli”.

**Zaczęło się od tajnego eksperymentu na budowie elektrowni Kozienice**, niezbędnej dla gospodarki z powodu bardzo już wtedy napiętego bilansu energetycznego. Na takie budowy, zwykle w środku niczego, zwożono do pracy ludzi z całego kraju i kwaterowano w hotelach robotniczych. Codzienne dojazdy chłoporobotników z okolicznych wsi były bardziej kłopotliwe, potrafiły zajmować kilka godzin dziennie.

W sobotę, po sześciu godzinach pracy, cała załoga hotelu robotniczego wyruszała do domów. A ponieważ w poniedziałek rano znów trzeba się było stawić na budowie, ci z dalszych okolic zbierali się do powrotu już w niedzielne popołudnie, na wypoczynek zostawało niewiele czasu. Dyrektor budowy Józef Zieliński zauważył, że w poniedziałek absencja jest największa. Ale i w soboty robota nie szła. Ludzie pracowali na akord, więc sześciogodzinna sobotnia dniówka nie wszystkim się opłacała. Część udawała się na L4. W sumie praca kulała przez dwa dni w tygodniu, straty były ogromne. Rezerwy też.

Po cichu partia pozwoliła więc dyrektorowi Zielińskiemu na eksperyment, który miał być utrzymany w tajemnicy. Polegał na wydłużeniu godzin pracy przez pięć dni w tygodniu w zamian za wolne od pracy soboty. Kodeksowy tydzień pracy liczył wtedy 46 godzin i tyle trzeba było spędzić w pracy. – *Na to, żeby skrócić tydzień pracy do 40 godz., nie byłem na tyle mocny* – przyznał się potem Zieliński POLITYCE. Udało mu się jednak w ramach wydłużonego dnia pracy wprowadzić półgodzinną przerwę obiadową i zapewniał, że wydłużone dniówki robotnicy wytrzymują.

Załoga przyjęła nową organizację pracy z entuzjazmem. Eksperyment się wydał, gdy na kozienicką budowę, do tej pory mającą poważne kłopoty z rekrutacją ludzi do pracy, zaczęli się zgłaszać chętni z innych budów. Ich dyrektorzy byli oburzeni nieuczciwą konkurencją. Kiedy jednak dyrektor Zieliński po raz pierwszy oficjalnie opowiedział o wolnych sobotach na naradzie z premierem Piotrem Jaroszewiczem, ten uznał wyniki eksperymentu za godne popularyzacji. I tak się zaczęło.

**Prawną furtkę do wprowadzenia dodatkowych dni wolnych od pracy otworzył dekret Rady Państwa z 20 lipca 1972 r.**, ale dopiero rok później, 14 lipca, kolejny dekret upoważnił Radę Ministrów do ich wprowadzenia. W całym 1973 r. były jednak tylko dwie wolne soboty, w 1974 już sześć, od 1976 r. – 12, czyli po jednej w każdym miesiącu, natomiast w 1979 r. wolnych sobót było już 14.

Plany się waliły, Polacy zobaczyli, że żyje im się coraz gorzej, morale narodu władza usiłowała ratować, obdarowując go większą ilością wolnego czasu. Marcin Zaremba, historyk czasów PRL, nie dokopał się do dokumentów świadczących o wzroście wydajności. Podejrzewa, że nikt jej nie badał. Pogłębiał się kryzys, co widać było gołym okiem.

Ale to potem, na początku rozczarowano się z innego powodu. Z entuzjazmem wolne soboty przyjął handel, sklepy pozamykano, dyżurowały tylko niektóre placówki spożywcze, przed którymi ustawiały się gigantyczne kolejki. Szefowie państwowego handlu publicznie oburzali się, że obywatela zmęczonym sprzedawczyńom robią na złość. – Powinniśmy przyzwyczajać społeczeństwo do wypoczynku – stwierdził szef Stołecznego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego. – Ludzie wcale nie muszą kupować tekstyliów czy artykułów gospodarstwa domowego akurat w wolną sobotę. Nie muszą też stać w kolejkach na przystankach, bo kierowcy też chcą mieć wolne. Więc w wolne soboty tramwaje i autobusy kursowały rzadziej. Kolejki ustawiały się pod kinami, napędzając zarobek „konikom”. Wolne soboty spędzaliśmy na czekaniu.

Najdłuższe ogonki ustawiały się przed dyżurnymi spożywczakami. „Trybuna Robotnicza” strofowała, że robimy zakupy w ostatniej chwili. Wtedy jeszcze nie w każdym domu były lodówki, więc autor doradzał: „można mięso kupić kilka dni przed szczytem zakupów i zakonserwować je np. w weckach”. Polemiści zwracali autorowi uwagę, że według badań kobiety pracujące śpią przeciętnie mniej niż sześć godzin na dobę, nie mają czasu na robienie przetworów. W wolną sobotę mogły pospać nieco dłużej, a potem zabrać się do prania, sprzątania oraz innych zajęć domowych. Tym bardziej że dzieci były w szkole, dla nich wolnych sobót nie przewidziano. Nie zdążyłyby przerobić całego materiału. Ekspedientka z mięsnego stwierdziła w „Expressie Wieczornym”, że nie widzi powodu, żeby również w sobotę stać za ladą w sklepie z pustymi hakami. Z kupnem mięsa były coraz większe kłopoty.

Sobota to nie weekend – tłumaczyły gazety czytelnikom, zawiedzionym, że nie mamy ani tyłu samochodów, ani tanich miejsc wypoczynku, żeby dwa wolne dni spędzać, wypoczywając za miastem, jak Francuzi czy Anglicy. Ale wielkie zakłady pracy nie przyjmowały tego do wiadomości. Za fundusze socjalne kupowały autokary, którymi woziły pracowników na grzyby, ryby czy po prostu do lasu. Na miejscu uatrakcyjniali im wypoczynek „kaowcy”, czyli kulturalno-oświatowi. Powstawały w niedalekiej odległości od miasta zakładowe ośrodki wypoczynkowe z myślą o weekendowiczach. Wolnych sobót przybywało, ale z badań wynikało, że z wyjazdów organizowanych przez zakłady pracy korzysta 3–5 proc. społeczeństwa. Na weekend spędzony za miastem stać było nie więcej jak 10 proc. Polaków. Reszta zasiadła przed telewizorami. W sklepach pojawiły się już kolorowe, a TVP na wolne soboty przygotowywała popularne „Studio 2”.

Pojawiły się postulaty, żeby zakładowych funduszy nie wydawać na wyjazdy dla nieelicznych, ale przygotować w mieście więcej atrakcji dla wszystkich. Małych boisk, kręgielni, wypożyczalni wrotek czy rowerów lub innych popularnych miejsc rozrywki zlokalizowanych w osiedlach mieszkaniowych. Zakłady pracy były gotowe to zrobić, ale pod jednym warunkiem. Gdyby w jednym osiedlu mieszkał tylko ich pracownicy. Dla obcych sportowych atrakcji finansować nie chciały. Pomysł nie wypalił.

**Pracownicy dość późno zorientowali się, że krótszy tydzień pracy im się po prostu należy.** Kiedy jednak w 1980 r. wybuchł w Stoczni Gdańskiej strajk, wszystkie wolne soboty zostały wpisane do porozumień gdańskich jako ostatni, 21. postulat. Podpisał je wicepremier Mieczysław Jagielski, miały wejść w życie od 1 stycznia 1981 r. Władza uznała jednak, że to tylko papier. Tuż po nowym roku Ministerstwo Pracy ogłosiło, że soboty 10 i 24 stycznia są pracujące. I ostrzegło, że niepodjęcie w tym dniu pracy będzie traktowane jako nieusprawiedliwiona nieobecność. Solidarność odpowiedziała, że 10 stycznia jest zgodnie z porozumieniami dniem wolnym od pracy. Rząd ich nie przestrzega, więc związek wzywa do strajku. Strajk powtórzone 24 stycznia. Rzecznik rządu ogłosił, że strajkowała tylko jedna trzecia pracujących, związkowcy – że jedna trzecia pracowała. Zupełnie jak obecnie.

Sklepowe półki świeciły pustkami, kryzys stawał się coraz bardziej dotkliwy. Rząd wskazał winowajcę: to Solidarność. Ogłosił, że z powodu strajku nie



**Z entuzjazmem wolne soboty przyjął handel, dyżurowały tylko niektóre placówki spożywcze, przed którymi ustawiały się gigantyczne kolejki. Na fot. Grudziądz, 1984 r.**

wyprodukowano m.in. 550 tys. par rajstop, 232 tys. sztuk bawełnianych majtek, 68,5 tys. par butów, 1565 ton mąki, 20 ton kasz, 313 ton cukierków, 100 ton margaryn oraz 120 ton oleju jadalnego. Wciskanie ludziom ciemnoty, że braki rynkowe są wyłącznie skutkiem niechęci Polaków do pracy, było jednak mało skuteczne. Ówczesnej gospodarce socjalistycznej przede wszystkim brakowało bowiem kapitalistycznej waluty na zakup na Zachodzie tzw. wsadu dewizowego, czyli surowców lub części, niezbędnych do wyprodukowania towarów w kraju.

Braku w sklepach polskich pralek Polar strajkami nie dało się wytłumaczyć. Nasze huty nie były w stanie wyprodukować cienkiej blachy niezbędnej do powstania pralek czy lodówek. Moloch Huta Katowice walcował tylko blachy grube. Tanie je eksportowaliśmy, a drogo płaciliśmy dewizami za cienkie, więc ich brakowało. Wsad dewizowy potrzebny był niemal do wszystkiego. Skasowanie wolnych sobót twardej waluty by nie przysporzyło. Marcin Zaremba uważa, że wręcz odwrotnie. – *Jak fabryki nie pracowały, to można było wyprodukować mniej energii, a węgiel sprzedać na Zachód.*

Brakowało pieniędzy nawet na odsetki od zaciągniętych przez Gierka kredytów. Wicepremier Janusz Obodowski ogłosił, że przyczyną kryzysu są wolne soboty. Zachodni bankierzy jeszcze raz wspomogą nas twardą walutą, jeśli je zlikwidujemy. Po ogłoszeniu stanu wojennego obowiązowały dwie wolne soboty w miesiącu. Rok później Obodowski jako szef Komisji Planowania postawił Polaków przed wyborem: albo zawiesimy wolne soboty na trzy lata i wyjdziemy z kryzysu po dwóch, albo uprzemy się przy pięciodniowym tygodniu pracy i kryzys potrwa rok dłużej. Oba warianty okazały się nierealne.

Sonda „Trybuny Ludu” potwierdziła, że chęci oddania wolnych sobót w narodzie nie ma. Nie ma bowiem wiary, że dodatkowa praca poprawi sytuację gospodarczą kraju. Henryk Jakubowski z Pabianickich Zakładów Środków Opatrunkowych w październiku 1982 r. stwierdził bez ogródek w „Przyjaciółce”: „W ciągu 6 dni na pewno można wyprodukować więcej niż w ciągu 5. Ale musi być surowiec. Jak będziemy produkować w sobotę, ale stać w poniedziałek, to nie będzie z tego pożytku”.

Wszystkie soboty są wolne dopiero od 2001 r. Wtedy też w Kodeksie pracy zapisano, że w tygodniu pracujemy 42 godz., czyli nieco dłużej niż osiem godzin. Do 40 godz. w pięciodniowym tygodniu pracy zeszlśmy dwa lata później. Kodeks pracy coraz bardziej tracił na znaczeniu, odstawał od rzeczywistości. Lekarzy i pielęgniarki zachęcano do dłuższej pracy, sugerując zakładanie własnej działalności gospodarczej. Solidarność zaczęła walkę o wolne niedziele dla handlowców, przypominając, że w PRL nawet soboty mieli wolne. Wygrała ją. W soboty jednak sklepy są otwarte. Na razie?

**Od kilku lat na świecie narasta tendencja, aby tydzień pracy skrócić do czterech dni.** Najpierw światowy kryzys finansowy, a potem pandemia i agresja Rosji na Ukrainę zmieniają nasz stosunek do pracy. Młodzi widzą, że będą zarabiać mniej i żyć gorzej niż ich rodzice. W świecie bezskutecznie borykającym się z ociepleniem klimatu, także z powodu nadmiernej konsumpcji. Więc pytają: po co tyle pracować? Żeby mieć więcej i żyć jeszcze gorzej?

Do myślenia dają nam statystyki, których nie znali nasi rodzice i dziadkowie przed pół wiekiem. Pokazują, że najbogatszymi

krajami wcale nie są te, w których ludzie pracują najdłużej. Co nam z tego, że to my jesteśmy w czołówce najbardziej zapracowanych? Według OECD Polacy zapracowują 1830 godz. rocznie, Szwedzi 1444, a Niemcy tylko 1349, ale wydajność pracy w tych krajach ciągle jest kilka razy wyższa niż u nas. Bardziej od nas w Europie zapracowani są Grecy – 1872 godz. – ich przykład także nie jest zachęcający. Więc chyba nie tędy droga? Większą liczbą zapracowanych godzin nie uratujemy kapitalizmu, jak nasi rodzice nie uratowali socjalizmu.

Czterodniowy tydzień pracy jest jak najbardziej możliwy. Żeby go wprowadzić, nie potrzeba zmian w Kodeksie pracy, który nowe regulacje narzuciłby wszystkim. Są już w Polsce firmy, w których pracownicy pracują krócej i wcale nie mniej wydajnie. Przekonują, że poświęcając mniej czasu na pracę, a więcej na relacje rodzinne i przyjacielskie, ale także swoje pasje i przyjemności, stają się bardziej kreatywni, a więc też – wydajni. To przeważnie start-upy zajmujące się nowymi technologiami. Elastyczne, dobrze zorganizowane. Pojawiają się nagle, ale też nagle znikają z rynku, gdy kolejna innowacja nie wypali. To jednak tylko margines naszej gospodarki.

30 proc. polskiego PKB wytwarza przemysł. Jego pracownicy też chcą pracować krócej, za te same pieniądze. Ale to, czy staną się bardziej wydajni, już nie zależy od nich. Zależy od właścicieli przedsiębiorstw, od tego, czy zainwestują w nowoczesne technologie, może nawet kupią roboty, które spowodują szybki skok wydajności. Tymczasem polskie inwestycje szorują po dnie, są na wyjątkowo niskim poziomie, co większej produktywności polskiego przemysłu nie zapowiada. Więc prof. Jacek Męcina, specjalista prawa pracy, reprezentujący też Konfederację Pracodawców Lewiatan, mówi wprost: takie inwestycje dużo kosztują, sami pracodawcy zdecydować się na nie tylko wtedy, gdy kosztami będą się mogli podzielić z państwem. Polski Ład pokazał, że raczej nie mogą na to liczyć. Odgórne skrócenie tygodnia pracy odbiłoby się na gospodarce boleśnie.

A jednak Polacy są przekonani, że w ciągu najbliższych pięciu lat czterodniowy tydzień pracy stanie się faktem. Według najnowszego raportu międzynarodowej organizacji ADP „People at Work 2023: A Global Workforce View” uważa tak ponad 26 proc. polskich pracowników. Gospodarce coraz bardziej ich brakuje, więc z ich zdaniem pracodawcy muszą się liczyć.

JOANNA SOLSKA

# Głos ludu

KRZYSZTOF KATKOWSKI

**T**o był 31 maja. Właśnie ogłoszono wyniki wyborów regionalnych, które okazały się klęską rządzącej Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE) i jej lewicowego koalicjanta Podemos. W większości regionów wygrała konserwatywno-liberalna Partia Ludowa. Niedługo potem ludowcy w wielu okręgach weszli w koalicję ze skrajnie prawicowym Voxem.

Wydaje się, że oba te prawicowe ugrupowania dzieli bardzo wiele. Ci pierwsi, Populares, to konserwatyści w europejskim stylu, razem z PO i PSL należą do Europejskiej Partii Ludowej; na ich czele stoi umiarkowany 61-latek Alberto Núñez Feijóo. To ugrupowanie, które nie ma problemu ze związkami jedнопłciowymi, nie widzi wszędzie neomarksistów i w wielu kwestiach przypomina raczej polską Platformę sprzed lat niż którykolwiek z prawicowych populizmów.

Z kolei Vox (łac. głos) to agresywne, opierające się na antyimigranckiej retoryce (tak, koleguje się z PiS) ugrupowanie pod wodzą 47-letniego Santiago Abascal, który dekadę temu z hukiem odszedł z Partii Ludowej. Charakter Voxu najlepiej ilustruje kontrowersyjny baner: widnieje na nim ręka wrzucająca do kosza flagi ZSRR, LGBT, Katalonii oraz tę z symbolem ruchów feministycznych – czyli wszystkiego, czego Vox szczerze nie znosi i co uważa za obce tradycyjnej Hiszpanii.

To dlatego 31 maja socjalistyczny premier Hiszpanii Pedro Sánchez mówił w Kortezach o zwycięstwie skrajnej prawicy, zrównując Partię Ludową i Vox z „trumpizmem”. Premier mówił: „Konieczne jest wyjaśnienie, czy Hiszpanie chcą realizować politykę poszerzania ich praw, czy też chcą ich uchylecia, czego domaga się koalicja skrajnej prawicy”. I zaraz potem zapowiedział przyspieszone wybory krajowe.

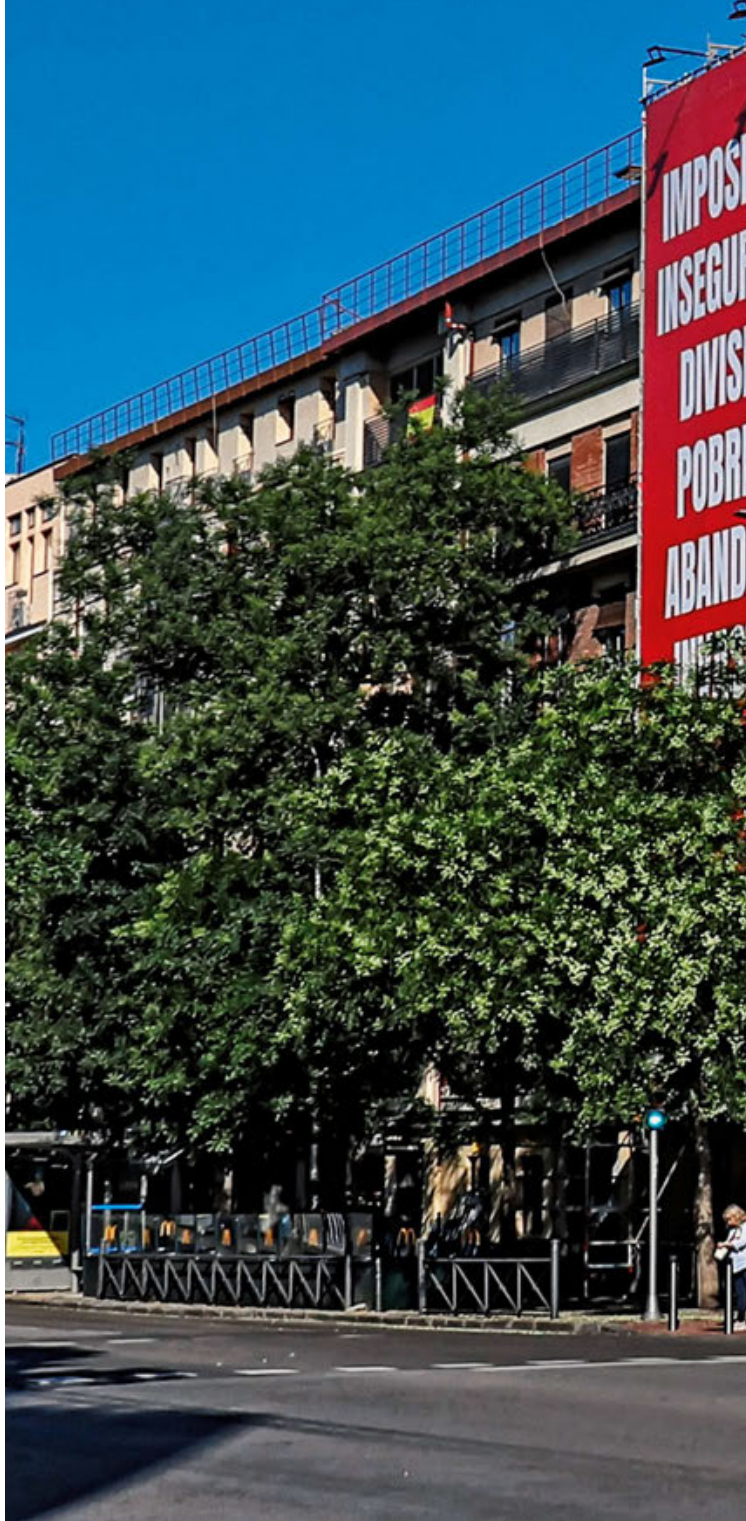
Ruch Sánchéza może się wydawać niezrozumiały. Wybory regionalne zakończyły się w końcu porażką rządzącej koalicji. Lider PSOE zagrał jednak *va banque*, licząc na wyjątkową mobilizację swoich wyborców, przejętych perspektywą przejęcia władzy w całym kraju przez prawicę. Ale według ostatnich sondaży ten pomysł z mobilizacją raczej nie wypali. Lewica ma niezłe notowania – ok. 27 proc., ale wszystko wskazuje, że po wyborach, które odbędą się już w tę niedzielę, w Hiszpanii dojdzie do zmiany rządu. Bez wątplenia wygrają ludowcy z poparciem na poziomie 32–33 proc., zaś Vox – po socjalistach z PSOE – zdobędzie prawdopodobnie trzecie miejsce (12–13 proc.).

Przy takich sondażach kluczowe wydają się dwa pytania. Po pierwsze: czy oba prawicowe ugrupowania po wyborach wejdą w koalicję także na poziomie krajowym – tak jak zrobili to już w regionach Walencji czy Estremadury? I po drugie, jeszcze ważniejsze i bardziej uniwersalne: dlaczego w ogóle demokratyczni konserwatyści chcą się dogadywać z populistyczną skrajną prawicą?

## Duch generała

Hiszpańska prawica to na tyle specyficzne zjawisko, że nie da się go zrozumieć bez historycznej perspektywy. W nowoczesnym znaczeniu pojawiła się pod koniec XIX w., przy okazji zaledwie dwuletniego (1873–74) eksperymentu tzw. Pierwszej Republiki, proklamowanej po abdykacji Amadeusza Sabaudzkiego.

Już w niedzielę Hiszpanie prawdopodobnie oddadzą władzę w ręce prawicowej koalicji. W ten sposób w kolejnym kraju Europy do rządu wejdą radykałowie.





„Zdecyduj, co jest ważne!” – baner Vox w Madrycie. W koszu ląduje wszystko to, co ta partia uważa za obce tradycyjnej Hiszpanii: flaga ZSRR, LGBT, Katalonii oraz symbol ruchów feministycznych.

© DAVID CANALES/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Chwilowe obalenie monarchii podzieliło kraj na dwa obozy, łącząc na zawsze monarchizm z konserwatyzmem przeciwko siłom progresywnym. Po przywróceniu monarchii te podziały tylko nabrały wyrazistości.

Od samego początku hiszpańska prawica była blisko związana z Kościołem katolickim. – *Historycznie rzecz biorąc, wahała się między dwiema tradycjami: liberalno-konserwatywną i teologiczno-polityczną* – mówi prof. Joseba Louzao, historyk z Universidad Alcalá. – *Ale w obu przypadkach komponent religijny miał zasadnicze znaczenie. W Hiszpanii przez wiele dziesięcioleci katolicki oznaczał prawicowy.* Według Louzao trwało to do czasu nadejścia demokracji pod koniec lat 70. i spadku znaczenia instytucjonalnego Kościoła.

Chema Molina z lewicowego „El Público” zwraca jednak uwagę, że Kościół katolicki wciąż wyraźnie trzyma stronę prawicy, choć już nie popiera jej bezpośrednio, jak wcześniej. Biskupi często angażują się publicznie w wojny kulturowe, zapoczątkowane przez lewicę, atakując jej najbardziej wyrazistych polityków – w niedawnej przeszłości przede wszystkim José Luisa Rodrígueza Zapatero, socjalistycznego premiera w latach 2004–11, za którego rządów wprowadzono m.in. związki partnerskie.

Drugim partnerem hiszpańskiej prawicy przez lata było też wojsko. Ten związek rozpoczął się jeszcze pod koniec XIX w., gdy upadało hiszpańskie imperium, a jego ostatni obrońcy – głównie żołnierze – stali się bohaterami prawicy. I w końcu przecim jej sprzymierzeńcem była z pewnością dominująca przez dekady idea centralizmu, reprezentowana przez monarchię. Wierząc w króla, prawica wierzyła też w symboliczne znaczenie Madrytu i niepodzielność Hiszpanii.

Fundamentalne znaczenie dla tożsamości hiszpańskiej prawicy miała oczywiście wojna domowa z lat 1936–39 i zwycięstwo w niej generała Francisco Franco. Jego późniejsze rządy przyjęło się dzielić na trzy etapy. Pierwszy, z wyraźnymi cechami faszyzmu, definiuje narodowy syndykalizm i autarkia. Drugi to przejściowe dziesięciolecie w stronę liberalizacji. I trzeci – już pod hasłami rozwoju technologicznego.

Kluczowy był 1970 r. To wtedy do rządów frankistowskich weszli technokraci z Opus Dei, odsuwając na dobre od władzy działaczy faszystowskiej Falangi. Właśnie ideowi potomkowie Opus Dei – „liberałowie” w obozie Franco – wejdą w skład pierwszych rządów po jego śmierci w 1975 r., które będą współodpowiadać za pokojową transformację ustrojową.

Można więc powiedzieć, że Franco na trwałe zjednoczył różne nurty hiszpańskiej prawicy – konserwatywno-liberalną (technokraci i chadecy) oraz teologiczno-polityczną (falangiści). Połączył też w jedno miłość do wojska, kleru i centralizmu. Niszcząc przy tym wszelkie przejawy regionalnej odrębności.

## Znów razem

Dziś to zupełnie inna prawica. Nie ma już tak bliskich związków z klerem czy wojskiem. Od polskiej różni się chociażby tym, że generalnie odrzuca denializm klimatyczny (trudno negować globalne ocieplenie akurat w Hiszpanii). Z „klasyki” pozostał jej na pewno centralizm i niechęć do partii regionalnych, choć warto odnotować, że w Katalonii rozwija się także populistyczna prawica w postaci Alianza Catalana.

Wiele wskazuje, że po niedzielnym wyborach dwa główne nurty tej nowej hiszpańskiej prawicy, reprezentowane dziś przez Partię Ludową i Vox, znów się zjednoczą. Choć nie z miłości. – *Ich porozumienie nie ma żadnego znaczenia ideologicznego* – mówi prof. Gema Sánchez Medero, politolożka z Universidad Complutense de Madrid. – *Dotychczas była to arytmetyczna konieczność przy tworzeniu rządów regionalnych.* ►

► Sánchez Medero zwraca uwagę, że od 2015 r. kolejne rządy potrzebowały wsparcia opozycji, ale tylko przy konkretnych ustawach. Hiszpański system partyjny idzie jednak w rozsypkę i dwie dominujące dotychczas partie, ludowcy i socjaliści PSOE, nawet jeśli wygrywają wybory, muszą budować trwałe koalicje z mniejszymi ugrupowaniami.

To dogadywanie się Populares i Voxu bardzo zaniepokoilo lewicę. Znowu używa ona słynnego „No pasáran!” („Nie przejdą!”) – zawołania, które przyświecało republikańskim obrońcom Madrytu z końca wojny domowej. W ten swoiście historyczny dialog weszła też prawica – jedna z jej ważniejszych postaci, szefowa regionu Madryt Isabel Díaz Ayuso, w jednym z wywiadów powiedziała, że „jeśli nazywają cię faszystą, to znaczy, że stoisz po dobrej stronie historii”.

Na takie historyczne porównania nie zgadza się Rodrigo Díez Manceñido z katolicko-konserwatywnego „El Debate”. – *Frankizm skończył się prawie 50 lat temu. Głupotą jest łączenie z nim współczesnych ludowców. To ugrupowanie głęboko demokratyczne i nigdy nie chciało przywrócić dyktatury w Hiszpanii.*

Nie tylko więc ideologia odróżnia Partię Ludową i Vox. Na oba ugrupowania głosują też odmienne grupy społeczne. Według niedawnego sondażu ośrodka CIS ludowców popierają raczej osoby powyżej 34. roku życia. Jednocześnie 25 proc. głosujących na tę partię należy do klasy wyższej i średniej, 23 proc. ukończyło studia wyższe, a 31 proc. deklaruje się jako katolicy. Na Vox głosują przede wszystkim młodzi wyborcy. Przeciwni sympatycy tej partii należy – jak podaje CIS – do klasy wyższej lub średniej wyższej. Nie jest to więc typ wyborcy skrajnej prawicy znany np. z Francji, czyli kojarzony raczej z klasą ludową. Vox jest popularny wśród rolników i małych przedsiębiorców, wśród zwolenników tej partii wyraźnie przeważają też mężczyźni.

## Nudziarz i radykał

Przepowiadany sukces prawicy w pewnym stopniu jest wynikiem słabości rządzącej od 2018 r. lewicy. Tej obrywa się za negatywne skutki pandemii czy inflację. Wielu Hiszpanom nie przypasał lewicowy radykalizm Podemos, mają też problem z osobą samego premiera. Jak pisze w prawicowym „La Razón” Abel Hernández, Sánchez to „nieobliczalny, narcystyczny, sprytny polityk z nieopohamowaną żądzą władzy. Jego słowa mają niewielką wartość”.

Prawica krytykuje też Sánchéza za współpracę w ramach koalicji z EH Bildu, legalnie działającym ugrupowaniem z Kraju Basków, w skład którego wchodzi m.in. byli członkowie ETA (także ci skazani za zabójstwo – w Hiszpanii po odsiedzeniu wyroku można normalnie kandydować w wyborach). Dzięki temu lider ludowców Alberto Núñez Feijóo może przedstawiać rządzącą koalicję jako radykalną, podkreślając jej związki z dawnymi terrorystami. Jest to zarzut absurdalny, bo ETA zabijała też socjalistycznych polityków, ale trafia do wielu wyborców.

Sam Feijóo, który po wyborach może zostać premierem, to konserwatysta o liberalnych poglądach na gospodarkę, z wykształcenia prawnik, pochodzi z Galicji. Karierę w krajowej polityce zaczął w 1996 r., kiedy został jednym z ministrów w rządzie José María Aznara. Feijóo to zatem doświadczony polityk, który przypomina



Lider Voxu Santiago Abascal. Powyżej: lider ludowców Alberto Núñez Feijóo. Ten sojusz z pewnością nie uniknie wewnętrznych sporów.

Hiszpanom czasy względnego spokoju rządów – sam mówi o sobie „nudny technokrata”, co w jego mniemaniu ma być zaletą.

W tym tandemie uosobieniem radykalizmu jest lider Voxu Santiago Abascal – z ducha, programu i politycznej praktyki prawicowy populistą. Odmówił potępienia Władimira Putina za agresję na Ukrainę, a rządy Sánchéza uznał w jednym z wystąpień za „gorsze od rządów Franco”. Wywodzi się z rodziny, która od pokoleń walczyła z terrorystami z ETA, co przekłada się też na jego nienawiść do regionalizmów. W przyszłym rządzie dostanie zapewne jedno z najważniejszych ministerstw.

Abascala i Feijóo różni przede wszystkim stosunek do migracji. Ludowcy niewiele mówią o niej w swoim programie. Są za wzmocnieniem inspekcji granicznej i szerszą współpracą z krajami afrykańskimi, skąd do Hiszpanii przybywają migranci. Jednocześnie opowiadają się za realizowaniem wspólnej polityki Unii Europejskiej, aby rozwiązać kryzys uchodźczy na Morzu Śródziemnym.

Natomiast Vox ma w sprawie migrantów zdanie podobne do polskiej prawicy. Abascal często mówi o zagwarantowaniu wyłącznie „legalnej migracji” do Królestwa. I zapowiada m.in. karanie osób zatrudniających nielegalnych imigrantów czy większą kontrolę plaż i portów, a także natychmiastowe wydalenie nielegalnych imigrantów i obcięcie państwowej pomocy dla nich. To ma oznaczać również zamknięcie tzw. *menas*, czyli miejsc, gdzie niepełnoletni cudzoziemcy pozostają pod opieką państwa, jeśli nie ma z nimi w kraju odpowiedniej osoby dorosłej.

„Tożsamość narodowa Hiszpanii została ukształtowana we wspólnej historii z narodami Iberosfery. Nasza polityka imigracyjna będzie dawać pierwszeństwo obywatelom z krajów, które dzielą z Hiszpanią język i ważne więzi przyjaźni, historii i kultury” – zapisano w programie Vox. W praktyce przekłada się to na język nienawiści w stosunku do imigrantów niemieszczykających się w tej grupie. W Sewilli Vox postulował „odzyskiwanie najbardziej poszkodowanych dzielnic poprzez zaprzestanie »zbędnych i ideologicznych« wydatków”.

„Tożsamość narodowa Hiszpanii została ukształtowana we wspólnej historii z narodami Iberosfery. Nasza polityka imigracyjna będzie dawać pierwszeństwo obywatelom z krajów, które dzielą z Hiszpanią język i ważne więzi przyjaźni, historii i kultury” – zapisano w programie Vox. W praktyce przekłada się to na język nienawiści w stosunku do imigrantów niemieszczykających się w tej grupie. W Sewilli Vox postulował „odzyskiwanie najbardziej poszkodowanych dzielnic poprzez zaprzestanie »zbędnych i ideologicznych« wydatków”.

## Liczy się władza

W przyszłym rządzie Abascala i Feijóo silniejsi ludowcy będą mieli oczywiście decydujący głos w najważniejszych sprawach, choćby w polityce europejskiej. Ale ten sojusz z pewnością nie uniknie wewnętrznych sporów, np. w sprawie imigrantów. Tu trzeba pamiętać, że ludowcy przejmą zapewne wiele głosów od liberalnej partii Ciudadanos, która na imigrację patrzy dużo przychylniej. Vox nie pozostanie tu dłużny – Abascal o przyszłych koalicjantach mówi nawet „niebiescy socjaliści” (niebieski to partyjny kolor ludowców).

Czy więc taka koalicja, nominalnie prawicowa, ale składająca się z tak odmiennych tworców, może w ogóle powstać i przetrwać? Biorąc za przykład regionalne sojusze ludowców i Voxu, oba ugrupowania dość elastycznie podchodzą do swoich pryncypiów, jeśli stawką jest władza. A w niedzielnych wyborach chodzi przecież o najwyższą władzę w Hiszpanii.

KRZYSZTOF KATKOWSKI

Autor studiuje na Uniwersytecie Warszawskim i barcelońskim Uniwersytat Pompeu Fabra.

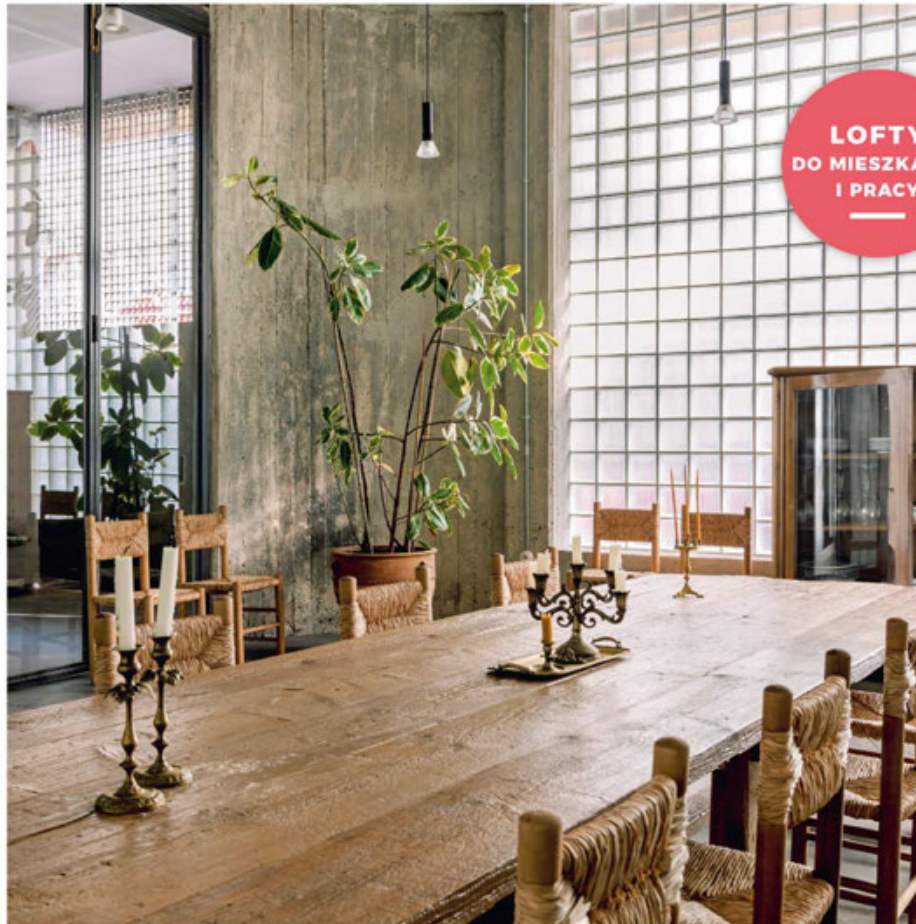
Jest współpracownikiem Centrum Studiów Figuracyjnych UW.

POLITYKA

# SALON

NR 15

WNĘTRZA | ARCHITEKTURA | SZTUKA | STYL ŻYCIA



LOFTY  
DO MIESZKANIA  
I PRACY

WYDANIE SPECJALNE NR 3/2023 cena 16,99 zł (w tym 8% VAT) indeks: 381-055

## KULTURA NA LATO

**GRAND TOUR**  
CZTERY STOLICE  
PIĘCIU MISTRZÓW  
SZEŚĆ STULECI

**TONY CRAGG**  
W CSW TORUŃ  
TEJ WYSTAWY ZAZDROŚCI  
NAM EUROPA

**MIASTA DLA PSZCZÓŁ**  
DZIKIE OGRODY  
I PASIEKI NA DACHACH  
BIUROWCÓW

*Do kupienia w dobrych kioskach i na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl)*

**SALON** *pismo o tym, co nas tworzy*

# Sokolnik

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU



**Robert F. Kennedy** – z tych Kennedych – chce powalczyć o demokratyczną nominację do Białego Domu. Ale równie dobrze mógłby wystartować z poparciem Republikanów.

**M**iał dziewięć lat, kiedy jego wuj, prezydent John F. Kennedy, zginął w zamachu w Dallas. Pięć lat później jego ojciec, senator Robert F. Kennedy, został zastrzelony w Los Angeles. Robert F. Kennedy jr nie wierzy jednak w historię o samotnie działających zamachowcach. Powtarza, że obaj bracia byli ofiarami rozbudowanych konspiracji, w których palce maczało CIA. Wzywa nawet do zwolnienia odsiadującego karę dożywocia zabójcy ojca, Sirhana Sirhana, i zorganizowania jego nowego procesu.

Wątpliwości co do oficjalnej wersji zabójstwa Kennedych i podejrzania dotyczące udziału w nich agencji rządu USA podziela znaczna część Amerykanów, ale Robert jest jedynym członkiem swojej rodziny, który publicznie je powiela. To tylko jedna z wielu głoszonych przez niego teorii o spiskach i ukrywaniu prawdy przez rządową propagandę. Mogłoby to pozostać ciekawostką bez większego znaczenia, gdyby nie fakt, że Robert F. Kennedy

jr będzie się ubiegał o nominację prezydencką z ramienia Partii Demokratycznej – przeciwko prezydentowi Joe Bidenowi.

Chociaż 69-letni Robert F. jr mieszka w Kalifornii, decyzję o kandydowaniu świadomie ogłosił w Bostonie, politycznej twierdzy swojej rodziny. Jest piątym jej członkiem, który oficjalnie przyznał, że chciałby zostać prezydentem. Pierwsze sondaże pokazały, że gotowych jest go poprzeć 15 do 20 proc. demokratycznych wyborców, co media odnotowały jako sensację. I choć jego szanse na nominację nie są przesadnie wielkie, to w demokratycznych szeregach zdążył już zrobić sporo zamieszania.

**W czasie pandemii Kennedy zasłynął jako jeden z czołowych przeciwników szczepionek.** Ich podawanie porównał nawet do sławetnego Tuskegee Syphilis Study, czyli badań długoterminowych efektów kiły, prowadzonych na zarażonych nią Afroamerykanach, którym nie ujawniono, na co są chorzy, i zamiast leków

podawano placebo. Od wielu lat prowadzi też kampanię przeciw podawanej amerykańskim dzieciom szczepionce MMR na odrę, świnkę i różyczkę, twierdząc, że powoduje u nich autyzm, chociaż nie ma na to żadnych dowodów.

Kennedy nie ma medycznego wykształcenia – jest dyplomowanym prawnikiem – i jego tezy na temat szczepionek zostały całkowicie zdyskredytowane przez naukowców. Utrzymuje jednak, że rząd i medyczny establishment ukrywają prawdę, ponieważ ich przedstawiciele są skorumpowani przez koncerny farmaceutyczne.

Swoją kampanię prowadzi z quasi-religijnym zaangażowaniem i wciągnął do niej nawet niektórych celebrytów – niedawno, razem z Robertem De Niro, oskarżył mainstreamowe media o tłumienie debaty o szczepionkach. Instagram zablokował konto Kennedy'ego za szerzenie dezinformacji, ale on kontynuuje swoją krucjatę na innych platformach internetowych.

Syn zamordowanego senatora eksploatuje także rosnące obawy Amerykanów,

że nowoczesne technologie mogą zostać wykorzystane przez rząd do ich kontrolowania. Ostrzegła, że 500 planowanych przez Billa Gatesa satelitów zostanie użytych do szpiegowania obywateli, system 5G będzie podglądał nasze transakcje finansowe, a swobody obywatelskie zostaną praktycznie unieważnione przez tzw. paszporty szczepionkowe. Grozi nam – straszy Kennedy – „totalitaryzm pod klucz”, porównany przez niego nawet do nazizmu. Tym gorszy – jak mówi – że Żydzi przynajmniej mogli się gdzieś ukryć albo uciec.

Antyrządowa podejrzliwość i paranoja, lęk przed Wielkim Bratem – to w USA nastroje dominujące raczej na prawicy, w środowiskach kulturowych teorie spiskowe, jak osławiony Qanon. To właśnie uczyniło jednak z demokraty Kennedy’ego ulubienca trumpistów i całego ruchu MAGA. Łączy go z nim poza tym krytyka amerykańskiej pomocy wojskowej dla Ukrainy i propozycja zakazu członkostwa tego kraju w NATO – chociaż Kennedy nazywa Putina „zbirem” i „potworem”.

Kiedy rządy prezydenta Bidena określił jako „zamach stanu na demokrację i konstytucję USA”, stał się częstym gościem gospodarzy telewizji FoxNews, jak Sean Hannity, a do niedawna Tuckera Carlsona (zwolnionego przez tę stację), propagandystów pravicowej ekstremy. A Steve Bannon, przyjaciel i doradca Donalda Trumpa, wymyślił nawet, że „biletem marzeń” w wyborach w 2024 r. byłby tandem Trumpa z Kennedym jako kandydatem na wiceprezydenta.

**Z prawicą jednak Kennedy’emu na pewno nie jest po drodze.** Zanim został szczepionko-sceptykiem, był znanym prawnikiem specjalizującym się w reprezentowaniu organizacji ochrony środowiska i ofiar jego zanieczyszczeń. Ma na tym polu znaczne zasługi – wygrał wiele procesów o odzyskiwanie parków w Nowym Jorku, przeciw trucicielom wód i powietrza, w których poszkodowanymi byli biedni i mniejszości rasowe. Poparł też Bidenowski Green New Deal (Zielony Nowy Ład), program przyspieszonego przestawienia gospodarki na odnawialne źródła energii.

Publicznie mówi o niebezpieczeństwie powiększania się rozpiętości dochodów w USA, wzywa do podwyższania podatków bogaczom i popiera zmierzający do tego plan demokratycznej senator Elizabeth Warren. Jego ataki na wielkie korporacje nie różnią się od retoryki senatora-socjalisty Berniego Sandersa. O prawa biednych i czystość środowiska Kennedy walczy

z równym żarem co ze szczepionkami. Nie tylko zresztą w USA, w Ameryce Południowej bronił Indian przed zagrażającymi przyrodzie wierceniemi naftowymi w dorzeczu Amazonki.

Kennedy kontynuuje tu silne w USA, zwłaszcza od prezydentury Teddy’ego Roosevelta, tradycje pielęgnowania skarbów natury, a także populistycznej obrony biednych przed chciwością bogaczy. Jako katolik za swój ideał uznaje św. Franciszka z Asyżu, patrona skrzywdzonych i poniżonych oraz przyjaciela zwierząt, o którym napisał książkę. Od 11. roku życia uczył się szkolenia ptaków łownych, posiada licencję sokołnika, a departament ochrony środowiska stanu Nowy Jork używa nawet napisanego przez niego podręcznika na ten temat.

Tajemnicą pozostaje więc, dlaczego ktoś z tak chwalebny dorobkiem zawędrował w sferę spiskowych urojeń i dał się wciągnąć w orbitę trumpizmu. Wielodzietny ród Kennedych, pochodzący od irlandzkich imigrantów, po kilku pokoleniach liczy sobie już dziesiątki, jeśli nie setki, członków, niektórzy zostali znanymi politykami, więc może renomowany prawnik-działacz, ale bez doświadczenia w rządzie, uznał, że polityczny ekscentryzm zwróci na niego większą uwagę. Albo uważa po prostu, że odróżnienie się od innych pomoże mu zaistnieć w polityce.

Kennedy’ego nie sposób w każdym razie zakwalifikować do żadnego z dwóch ideologicznych obozów – ani liberalnego, ani konserwatywnego – dzielących dziś Amerykę. Sam zresztą pozycjonuje się w tym stylu, mówiąc, że chce oba obozy ze sobą pogodzić.

Robert F. Kennedy jr nie jest pierwszym przedstawicielem rodziny, który rzuca wyzwanie prezydentowi z własnej partii. W 1968 r. jego ojciec stanął do batalii o nominację do Białego Domu przeciw prezydentowi Lyndonowi Johnsonowi, a w 1980 r. jego wuj Edward „Ted” Kennedy (brat ojca i JFK) przeciwstawił się prezydentowi Jimmy’emu Carterowi. Obaj byli jednak postaciami z demokratycznego mainstreamu, poważnymi politykami, których frondy wyrażały autentyczne podziały w partii w takich sprawach, jak wojna w Wietnamie.

Rzucając rękawicę urzędującym prezydentem, senatorowie Robert i Edward ostatecznie osłabili ich pozycję w prawyborach i przyczynili się do skrócenia ich rządów do jednej kadencji (Johnson zrezygnował z walki o reelekcję, Carter przegrał wybory z Reaganem). Czy Robert F. Kennedy jr może wpędzić w kłopoty Bidena?

Nikt w to nie wierzy, ponieważ ze swymi księżycowymi poglądami i negowaniem naukowych ustaleń postawił się na politycznym marginesie. W amerykańskiej polityce pojawiali się już aspiranci do najwyższego urzędu wypowiadający wojnę establishmentowi, ale ta kandydatura wydaje się zbyt egzotyczna, by wróżyć jej sukces.

Niechę notowania Kennedy’ego przypisuje się głównie jego nazwisku. – *Gdyby nazywał się Smith, nie miałby tak sporego poparcia. Wśród niektórych demokratów nazwisko Kennedy wciąż cieszy się wielkim mirem* – mówi John Miles Coleman, politolog z Uniwersytetu Virginia. Wielu stronników Kennedy’ego nie interesuje się jego poglądami na temat szczepionek. Według Todda Belta z George Washington University niektórym podoba się jego opozycja wobec wojskowego poparcia USA dla Ukrainy.

### **Popularność Kennedy’ego wydaje się przede wszystkim odbiciem frustracji i obaw demokratycznych wyborców**

w związku z sytuacją w ich partii na niespełna półtora roku przed wyborami. Biden zapowiedział walkę o reelekcję, ale ma 80 lat i jego mnożące się gafy i potknięcia w przemówieniach wzbudzają zaniepokojenie losami ewentualnej drugiej kadencji. Wiceprezydent Kamala Harris zbiera marne recenzje. Sondaż wskazuje, że tylko 25 proc. Amerykanów – i jedynie połowa Demokratów – jest zadowolonych, że Biden będzie się ubiegał o drugą kadencję. Woleliby alternatywnego kandydata.

Nikt jednak, poza Kennedym i Marianne Williamson, autorką książki na temat, jak żyć, postaćiła również ekscentryczną, nie śmiała na razie wystąpić przeciwko prezydentowi. Start rozważał gubernator Kalifornii Gavin Newsom, ale ostatecznie poparł Bidena. Do wyborów w 2024 r. jeszcze daleko i kiedyś zdarzali się kandydaci czarne konie, którzy niespodziewanie wyprzedzali faworyzowanych początkowo polityków, jak Carter. To jednak przeszłość. – *Na alternatywę dla prezydenta jest już za późno. Na kampanię trzeba zebrać mnóstwo pieniędzy. Nie będzie poważnego wyzwania dla Bidena* – przewiduje Matthew Foster z American University.

Jest to opinia powszechna w eksperckich kręgach w Waszyngtonie. Mimo wszystkich zastrzeżeń, związanych głównie z wiekiem, Biden jest popularny wśród demokratycznych wyborców, ponad 80 proc. z nich wystawia mu dobrą notę za dotychczasowe dokonania i jego wygrana w partyjnych prawyborach wydaje się niezagrożona. ■

# Papieska bomba

ADAM SZOSTKIEWICZ

Nowym numerem dwa w Watykanie został arcybiskup **Victor Manuel Fernández**. Tradycjonałiści przyjęli go źle, progresiści wytknęli mu tuszowanie pedofilii. Ale papież widzi w nim bratnią duszę.



**A**rcybiskup Fernández? Pierwsze słyszę – to w Polsce częsta reakcja na wiadomość o powołaniu argentyńskiego teologa na kluczowy urząd w centralnej administracji kościelnej. Wiadomości o zmianach kadrowych w Watykanie nie wzbudzają dziś większego zainteresowania opinii publicznej. Niektórzy porównują je ze zmianami w biurze politycznym partii totalitarnych. To efekt nakładania się wielu kryzysów, przez które przechodzi dziś Kościół rzymskokatolicki. Nie tylko pedofilskiego, ale też kryzysu tożsamości i wiarygodności.

A jednak ważne decyzje personalne w tej machinie mają znaczenie, bo wpływają na myślenie i życie milionów wiernych. Nominacja abp. Fernández, rocznik 1962, najpierw na przewodniczącego watykańskiego „ministerstwa poprawności teologicznej”, czyli Kongregacji Nauki Wiary, a zaraz potem na kardynała oznacza, że obecny papież chce mieć zaufanego współpracownika, który czuje i myśli podobnie jak on.

## Sztuka całowania

Obok Fernández na liście nowych kardynałów znalazł się też łódzki ordynariusz abp Grzegorz Ryś. Od lat promuje on tzw. nową ewangelizację, która dobrze pasuje do linii Franciszka. Opisał ją sam papież w liście dołączonym do nominacji Fernández. To rodzaj wskazówek, jak widzi jego rolę u swego boku.

Według tego listu nowy numer dwa w Watykanie powinien strzec takiej teologii katolickiej, która wypływa z wiary, a nie z pozycji wroga, który krytykuje i potępia. Papież zaznacza, że Kongregacja Nauki Wiary sięgała w przeszłości po „niemoralne metody”. Teraz, zamiast na tropieniu doktrynalnych błędów, powinna skupić się na promowaniu wiedzy teologicznej. A ponieważ w Kongregacji utworzono sekcję do spraw krzywdzenia nieletnich, więc papież prosi Fernández, by skupił się na tym.

Różne nurty filozofii, teologii i duszpaństwa służą rozwojowi Kościoła lepiej niż mechanizmy kontrolne i siedzący za biurkami teolodzy operujący surową i zimną logiką. A Kościół, według Franciszka, potrzebuje teologii, która ukazuje, że kwestionowanie wszechmocy Bożej i Bożego miłosierdzia nie jest odpowiednie. „Potrzebujemy takiego sposobu myślenia, który potrafi przekonująco przedstawić Boga, który kocha, przebacza,

zbawia, wyzwala, stawia na ludzi i wzywa ich do braterskiej służby”.

Do listu papieża biuro prasowe Stolicy Apostolskiej dodało obszerny wykaz publikacji teologicznych Fernándeza. Być może w odpowiedzi na zarzuty antyfranciszkowców, że nie ma on znaczącego i szerzej znanego dorobku. Ci ostatni od razu wypatrzyli, że na liście nie ma książeczki Fernándeza o „sztuce całowania”, którą napisał jako młody ksiądz. Radził małżeństwu, żeby się całowały podczas seksu i w ogóle, bo bez szczerych i głębokich pocałunków miłość więdnie.

W internecie rozpetęła się burza, że Fernándeź to erotoman, a nie teolog. Ale Argentyńczyk odparował, że nie chodzi o teologię, tylko o duszpasterstwo, bo dziełko powstało na podstawie rozmów z młodymi ludźmi, katolikami, którzy nie chcieli uprawiać seksu przed ślubem. I że wobec tego nie żałuje, że ją napisał.

## Kościół ubogi

Abp Fernándeź został wyświęcony na księdza w 1986 r., pracował przez siedem lat w argentyńskiej parafii, studiował teologię w Rzymie, zrobił doktorat z teologii w Buenos Aires, był też rektorem Argentyńskiego Papieskiego Uniwersytetu Katolickiego. W 2013 r., zaraz na początku swojego pontyfikatu, Franciszek mianował go biskupem. Wcześniej, razem z przyszłym papieżem, Fernándeź wyróżnił się podczas konferencji biskupów Ameryki Południowej i Karaibów w brazylijskiej Aparecidzie w maju 2007 r. To ważny moment dla nich obu – współtworzyli program dla Kościoła na swoim kontynencie z przekonaniem, że to program dla całego Kościoła powszechnego.

Przesłanie przyjętej wtedy deklaracji można streścić w hasło „Kościół ubogi dla ubogich”. Fernándeź apelował o podjęcie palących kwestii duszpasterskich i społecznych. Bergoglio starał się wypracować consensus. Ostrzegał, że biedni nie tylko znaleźli się na marginesie tamtejszych społeczeństw, ale zaczynają też być uważani za *sobrantes*, zbędnych w gospodarce rynkowej. A jednak to właśnie tam, na peryferiach egzystencji, w slumsach, na obrzeżach metropolii, objawia się Chrystus we współczesnej Ameryce Łacińskiej.

Biograf Franciszka Austen Ivreigh pisze, że Fernándeź był pod wrażeniem wystąpienia Bergogli na konferencji: „Doprowadzał do porozumienia, tworzył właściwą atmosferę, wlewał w serca ufność”. Przekonywał biskupów, że najważniejsza jest religijność ludowa i teologia ludu. I żeby Kościół patrzył oczami apostołów, czyli żeby nie poprzestawał na diagnozie

problemów społecznych, ale działał w duchu ewangelii.

Przyszły papież pośrednio polemizował w ten sposób z inspirowaną marksizmem teologią wyzwolenia, dla której chrześcijaństwo ma być instrumentem rewolucji społecznej. Tak rozumianą wiarę Bergoglio uważał za ideologię. A jemu chodziło o „nową wiosnę wiary”, nowy zapal misyjny, nową ewangelizację.

W dzisiejszej Europie wezwania do nowego zapalu mogą się podobać zatroskanym lub dogmatycznym katolikom, ale innym kojarzą się raczej z religijnym sekciarstwem. Ten papież nie przyszedł jednak z Europy, tylko z „peryferii”. I postrzega centrum katolicyzmu jako coraz bardziej zmęczone. A on chce je rewitalizować.

Zdaniem Ivreigha Benedykt XVI przewidywał, że jego następcą będzie Bergoglio. Abdykując w 2013 r., świadomie torował drogę „żywotnemu” Kościołowi latynoamerykańskiemu. Zaraz po wyborze Franciszek odwiedził na wyspie Lampedusa imigrantów napływających z Afryki do Włoch w poszukiwaniu bezpieczeństwa i lepszego życia. Ten gest był spójny z programem z Aparecidy. I taki styl ma ten pontyfikat – mniej formalny, dla jednych pozytywnie zaskakujący, dla innych bulwersujący.

Podczas wspomnianej konferencji Fernándeź podkreślał, że jeśli potępia się populizm niektórych liderów politycznych, to trzeba się też odciąć od bogatych grup interesów w Ameryce Łacińskiej. Jeśli krytykuje się niektóre formy duchowości obce chrześcijaństwu czy pseudoreligie, to trzeba dowartościować głód duchowy, na który nie potrafi się skutecznie odpowiedzieć. A jeśli rozpacza się, że ludzie odchodzą z Kościoła, to trzeba otwarcie powiedzieć, że nas to boli, a nie atakować tych, którzy udzielają odchodzącym schronienia.

Cokolwiek powiemy o sukcesach i porażkach pontyfikatu Franciszka – a porażek nie brakuje, choćby na polu reform w Watykanie, wojny w Ukrainie czy kryzysu pedofilskiego – trzeba stwierdzić, że papież idzie drogą Aparecidy. I zbiera za to ciężki od radykalnej prawicy i lewicy.

Szczególnie silny opór stawiają kościelni tradycjonałiści. Wytykają Franciszkowi, że za mało wymaga od wiernych, za bardzo wsłuchuje się w dylematy księży poszukujących swej tożsamości, nie poświęca dostatecznej uwagi nauczaniu Kościoła o etyce seksualnej. Nie podoba się, że kokietuje młodych, wzywając ich do „robienia rabanu”; że cofnął decyzje poprzednika o szerszym dostępie w Kościele do przedsoborowej mszy łacińskiej.

Na tym jednak polega styl Franciszka – że rzuca „bomby”. Raz trafia, raz pudłuje. Nominacja Fernándeza była właśnie taką bombą. Od razu wzburzyła tradycjonalistów. Fernándeź naraził się im już przed kilku laty, gdy w wywiadzie powiedział, że „Lud Boży” nie zaakceptuje prób odkręcania reform Franciszka przez jego przyszelego następcę.

## Teolog Franciszka

Jeden z włoskich watykanistów, niechętnych linii Franciszka, odmówił Fernándeźowi po tym wywiadzie kompetencji teologicznych. Bo jak poważny teolog katolicki może sugerować, że kuria rzymska nie jest niezbędnym elementem misji Kościoła, a kolegium kardynałów może kiedyś zniknąć. Ale przecież Fernándeź powiedział prawdę.

Na razie poważnym zgrzytem nie są ataki ultrakatolików na teologiczne kompetencje Fernándeza, ale sprawa księdza pedofila ujawniona już po jego nominacji przez amerykańskie stowarzyszenie BishopAccountability.org, prowadzące archiwum przestępstw seksualnych w Kościele. Poinformowało ono, że Fernándeź jako arcybiskup La Platy tuszował sprawę księdza wykorzystującego seksualnie chłopców. Gdy sprawa nabrała rozgłosu, odezwały się inne ofiary i wkroczył świecki wymiar sprawiedliwości, a sam ksiądz popełnił samobójstwo w 2019 r.

Fernándeź, jako nowy szef Kongregacji Nauki Wiary, która z urzędu zajmuje się walką z pedofilią w Kościele, musiał się odnieść do informacji. I nie wypadł przekonująco. Najpierw twierdził, że wcale nie zlekceważył zarzutów wobec księdza pedofila i że podjął kroki izolujące go od kontaktów z nieletnimi (czyli zapewne przeniósł go w inne miejsce). Kilka dni później Fernándeź zmienił ton na mniej zdawkowy: nie miał pełnego rozeznania, bo dopiero objął diecezję. Dodał, że rozmawiał o sprawie z Franciszkiem, a papież, wysłuchawszy go, miał mu oświadczyć: powiedziałeś, jak było.

Najbliższe dni zapewne pokażą, czy wyjaśnienia Fernándeza zakończą temat. Jeśli nie, to papież będzie miał ze swym zaufanym teologiem poważny problem. Fernandez ma odebrać biret kardynalski 30 września. Do tego czasu sprawa musi być wyjaśniona do spodu, bo kilka dni później zaczyna się w Rzymie zgromadzenie wszystkich katolickich biskupów. Franciszek chce, by w duchu Aparecidy poparło jego program dla Kościoła. Liczył, że Fernándeź, już jako „teolog Franciszka”, mu w tym pomoże. Ta „bomba” może jednak okazać się niewypałem. ■



# Sprawiedliwość i nadgorliwość

Dla Maorysów rdzenna wiedza to element kultywowanej tradycji. Jak eksponowanie języka, by podkreślić waleczność.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Z nazw zwierząt i roślin – w imię dekolonizacji – wyrzuca się nazwiska rasistów, zwraca okazy muzealne krajom, w których zostały zrabowane, a nawet przyznaje się wiedzy rdzennej status równy naukom przyrodniczym. Nie bez kontrowersji.

**R**ichard Dawkins wściekł się na Nową Zelandię. Tak, ten Richard Dawkins, sławny biolog ewolucjonista, autor wielu głośnych książek popularnonaukowych, w tym przełomowego „Samolubnego genu”. Ten, który w imię naukowej metody poznania stał się przeciwnikiem religii i krzewicielem ateizmu. I tak, na tę Nową Zelandię, kraj powszechnie odbierany jako wzór tolerancji, liberalizmu i pełnej akceptacji wolnomyślicielstwa. Gdy Dawkins trafił tam podczas swojego tournée z wykładami, natknął się na „dziką kontrowersję”

– jak nazwał to na swoim blogu. „Rząd Jacindy Ardern [premierki Nowej Zelandii do stycznia 2023 r. – przyp. red.] wprowadził niedorzeczną politykę, zainicjowaną przez Chrisa Hipkina, który był ministrem edukacji, zanim został premierem – pisał 25 czerwca. – Na zajęciach z nauk przyrodniczych ma się nauczać, że maoryska »droga poznania« [Mātauranga Māori, tradycyjna wiedza – przyp. red.] ma równy status z nauką »zachodnią«”.

W mediach społecznościowych Dawkins wypowiedział się jeszcze ostrzej: „Dzisiaj nauka w Nowej Zelandii zmierza ku katastrofie. A wszystko z powodu szczeniackiej polityki i rasistowskiej fałszywej informacji, że nauka jest »zachodnia« i potrzebuje »dekolonizacji«”.

Wyrażenie „dekolonizacja nauki” wydaje się kluczem do zrozumienia całej awantury. To ruch, którego celem jest uwolnienie nauk przyrodniczych w Afryce, Azji, Amerykach i Oceanii od narzuconego im siłą dziedzictwa imperiów kolonialnych.

## Nauka wspiera kolonializm

Korzenie nowoczesnej nauki rozpościerają się szeroko. Sięgają i prehistorycznej potrzeby ludzi do eksploracji, i filozofii starożytnych Grecji i Rzymu, i matematycznych czy medycznych osiągnięć Arabów, a także odkryć hinduskich, sumeryjskich czy fenickich. Wszystkie te ścieżki zbiegają się jednak w serii zdarzeń, do których doszło w XVI i XVII w. w Europie – zostały one nazwane Rewolucją Naukową. Zaczęła się ona od obalenia teorii heliocentrycznej przez Mikołaja Kopernika. A później wspięła się na wyżyny dzięki odkryciom Galileusza, Newtona czy Boyle’a oraz sformułowaniu nowych zasad nauki przez Kartezjusza i Bacona. „Rewolucjoniści” nauki przyjęli prymat eksperymentów i ścisłego, matematycznego rozumowania nad autorytetem ludzi, ksiąg i wierzeń. Liczyły się poprawnie zebrane dane, a nie siła czy władza. Każdy pogląd należało sprawdzić i udowodnić. Niezależnie od tego, kto go głosił.

Dzięki temu nauki przyrodnicze zaczęły dostarczać niespotykanej wcześniej ilości wiedzy, która naprawdę zmieniała świat. I pomogła krajom Europy Zachodniej w bezprecedensowym rozwoju technicznym. To z kolei dało im przewagę w starciu z rdzennymi mieszkańcami nowo odkrywanych kontynentów i wysp. Państwa kolonialne rozrastały się, a na zajmowane przez nie tereny wkroczyli europejscy przyrodnicy. Przywozili swe narzędzia: mikroskopy, lunety, i metody badań. A także głębokie, niezachwiane poczucie wyższości.

„Czołowy naukowiec epoki wiktoriańskiej sir Francis Galton przekonywał, że »średni standard intelektualny rasy murzyńskiej jest około dwóch poziomów niżej naszej (anglosaksońskiej)« – pisze w magazynie „The Conversation” Rohan Deb Roy z University of Reading. – Nawet Karol Darwin dawał do zrozumienia, że »rasy dzikusów« takie jak »Murzyn albo Australijczyk« są bliższe gorylom niż biała rasa kaukaska”.

Ronald Ross, laureat Nagrody Nobla z medycyny za odkrycie cyklu rozwojowego zarodźca malarii i sposobu szerzenia się tej choroby przez komary, mawiał: „Sukces imperializmu będzie w dużej mierze zależeć od sukcesu z mikroskopem”. John James Audubon, kultowy ornitolog, który w XIX w. namalował i opisał wszystkie znane wtedy ptaki Ameryki Północnej, okazjonalnie kupował i sprzedawał niewolników.

## Nazwy hańbią autochtonów

Europejscy przyrodnicy nie mieli skrupułów, aby zebrane w koloniach okazy zwierząt i roślin transportować do swych rodzimych krajów. James Petiver, angielski przyrodnik, który zorganizował sieć takich lokalnych kolekcjonerów, korzystał ze statków niewolniczych. „W końcu zgromadził największą

kolekcję przyrodniczą na świecie. Nigdy by się to nie stało bez niewolnictwa” – twierdził Sam Kean na łamach „Science”.

„Dzisiaj ponad 60 proc. herbariów i 70 proc. okazów [zielnikowych] znajduje się w krajach rozwiniętych z kolonialną przeszłością” – pisał w magazynie „Undark” prof. Daniel Park z Purdue University. Jeśli chce się zbadać okaz jakiejś rośliny z tropików, może być go łatwiej znaleźć w herbarium jednej z potęg kolonialnych niż w zielnikach na jej rodzimym terenie występowania. – *Koledzy zajmujący się kolekcjami roślin w Kew Gardens w Londynie mają problem* – mówi prof. Łukasz Łuczaj, etnobotanik z Uniwersytetu Rzeszowskiego. – *Bo ich kolekcje kolonialne są po części zabrane albo zrabowane.*

Zwierzętom i roślinom z tych kolekcji europejscy przyrodnicy nadawali nazwy w systemie wymyślonym w XVIII w. przez szwedzkiego przyrodnika Karola Linneusza. Zaproponował on, by każdy gatunek miał swą unikatową, podwójną nazwę po łacinie. Pomysł się przyjął. Gatunki z Ameryk, Azji, Afryki i Oceanii dostawały więc określenia w języku kompletnie obcym ich rdzennym mieszkańcom. Do tego przyrodnicy często upamiętniali w nich innych odkrywców czy badaczy – w ogromnej przewadze białych mężczyzn pochodzenia europejskiego. Osoby, które uwieczniono w nazwach roślin Nowej Kaledonii, wyspie na Oceanie Spokojnym, to w 60 proc. Francuzi, a w 94 proc. mężczyźni.

Zdarza się, że te nazwy czczą kogoś, kto z dzisiejszego punktu widzenia nie zasługuje na wyróżnienie. Nazwisko Johna Kirka Townsenda, amerykańskiego przyrodnika, noszą dwa gatunki ptaków i kilkanaście ssaków, w tym suseł *Spermophilus townsendii* czy nornik *Microtus townsendii*. Ed Yong na łamach „The Atlantic” wypomina mu jednak, że „rozkopywał groby rdzennych Amerykanów i wysłał ich czaszki do lekarza Samuela George’a Mortona, który chciał udowodnić, że przedstawiciele rasy kaukaskiej mają większe mózgi niż inni ludzie”.

Podgatunek amerykańskiego ptaka, polniczka płowego, *Peucaea aestivalis bachmani* honoruje Johna Bachmana. Ten z kolei, zdaniem Yonga, „był praktykiem i obrońcą niewolnictwa, twierdzącym, że czarni ludzie, których porównywał do udomowionych zwierząt, stali na tyle niżej intelektualnie od rasy kaukaskiej, że byli »niezdolni do autonomii«”.

W nazwach gatunków używano także obraźliwych określeń na ludy rdzenne. Na przykład „kaffir”, obelga na czarnoskórych mieszkańców Afryki Południowej, utrwaliła się w nazwach roślin *Dovyalis caffra* czy *Harpephyllum caffrum*.

## Muzea oddają kolekcje

Nic dziwnego, że środowisko naukowe z dawnych kolonii postanowiło zrzucić to piętno. Fajri Siregar z Indonezji pisał w 2022 r. w magazynie „The Conversation”: „Dekolonizacja nauki jest niezbędnym krokiem dla akademickiej społeczności Indonezji, aby odnaleźć swój głos”. Nawoływał, aby uczeni z Globalnego Południa odzyskali autonomię i dowartościli wiedzę, która w ich społecznościach istniała od wieków.

Zgodnie z założeniami dekolonizacji nauki w języku szwedzkim już usunięto obraźliwe określenia Afrykanów czy Romów z niektórych nazw ptaków. W Afryce Południowej nazwy nadane przez europejskich kolonistów zamieniono na te pochodzące z języków rdzennych. Nie dotyczy to jednak nazw naukowych, gdyż zasady ich nadawania podlegają międzynarodowym kodeksom nomenklatury. Od wielu lat dopuszczają one używanie innych języków poza łaciną, ale stawiają na prawo pierwszeństwa, za datę początkową przyjmując rok wydania dzieł Linneusza. Zgodnie z tymi regułami nie można wyrzucić ani Bachmana, ani „kaffira” z łacińskich określeń gatunków. ►

► W 2020 r. dwoje uczonych zaproponowało, aby to zmienić. Ich zdaniem zasada pierwszeństwa powinna dotyczyć nazw zwierząt i roślin w językach rdzennych używanych, zanim Europejczycy nadali im swe określenia naukowe. W marcu 2023 r. grupa naukowców poszła jeszcze dalej. Na łamach „Nature Ecology & Evolution” opublikowała apel, aby wyrzucić wszystkie nazwiska z nazw zwierząt i roślin: „Przekonujemy, że nazywanie gatunku na cześć konkretnej osoby jest nieusprawiedliwione i niezgodne z równością i reprezentacją”.

Miesiąc później w „Nature” pochodząca z Meksyku Fernanda Adame postulowała, by odrzucić nawet pojęcie „Nowego Świata” i powiązane z nim określenia typu „Nearktyka” czy „neotropiki”. W końcu dla rdzennych ludów Ameryk ten świat nie był wcale nowy, to tylko punkt widzenia kolonialistów.

– *Jestem zwolennikiem zdrowego rozsądku* – sprzeciwia się tym pomysłom prof. Łuczaj. I wyjaśnia dlaczego: – *Tzn. jestem absolutnym wrogiem zmieniania nazw. Określenia organizmów często się zmieniają z powodów naukowych i tak jest więc za dużo zmian. Chcemy to ograniczyć. Poza tym, kto będzie rozsądzał, kto jest dobry, a kto zły?*

Etnobotanik jest za tym, by raczej nowo opisywanym gatunkom nadawać nazwy naukowe w językach rdzennych. Od pewnego czasu jest to już coraz bardziej popularne wśród uczonych na całym świecie. Zgodnie z tym trendem znaleziona w Kanadzie



**Richard Dawkins oburzył się na zrównanie maoryskiej „drogi poznania” z nauką zachodnią.**

skamieniałość formy przejściowej między rybami a płazami zyskała w 2006 r. miano *Tiktaalik*. To w języku jednego z miejscowych ludów inuickich znaczy „duża ryba słonowodna”. A opisany w 2018 r. nowy gatunek rzeźuchy (*Cardamine*) z Nowej Zelandii został nazwany po konsultacjach z rdzennymi mieszkańcami *C. panatohea*. To kombinacja słów „panapana”, zwyczajowej nazwy tej rośliny, i „fitohea”, czyli obszaru powyżej linii krzewów na górze Ruapehu, gdzie ona rośnie.

Łatwiej nieco rozwiązać problem kolekcji zebranych w dawnych koloniach i przechowywanych w stolicach byłych imperiów. Prof. Daniel Park w magazynie „Undark” pisze, że pomocą tu może digitalizacja herbariów. W pewnym sensie stają się one wtedy „zdecentralizowane i demokratyczne”. Niektóre instytucje idą jednak dalej i przyznają, że część ich kolekcji została nabyta nieetycznie albo nielegalnie. W takiej sytuacji zwracają je tam, skąd pochodzą. – *Na pewno byłoby błędem: hura, oddajemy wszystko wszystkim* – komentuje prof. Łuczaj. – *Byłbym za oddaniem części*

*okazów w porozumieniu z krajami ich pochodzenia, ale rozsądnie, bo te kraje mają różną stabilność polityczną.*

Najwięcej kontrowersji budzi jednak kwestia dowartościowania wiedzy tradycyjnej. Niewątpliwie przyrodnicy europejscy od dawna korzystali z tego, co przekazywali im przedstawiciele rdzennych ludów. Później jednak badali to metodą naukową i starali się odsiać to, co istotne, od otoczki przesądów i wierzeń. Oczywiście nie wszyscy. – *Wśród naukowców do dziś panuje często olbrzymia buta i pogarda dla tradycyjnej wiedzy traktowanej czasem jako przesąd (choćby medycyna chińska). Jeśli wiedza tradycyjna jest przekazywana przez pokolenia, to zwykle jest dobrze przetestowana* – zauważa prof. Łuczaj.

Podaje przykład paproci orlicy, którą europejscy naukowcy uznają za trującą i rakotwórczą. Rzeczywiście, taka jest na surowo. Tymczasem w Korei, Japonii czy Chinach jest powszechnie jadana po odpowiedniej obróbce (np. kiszeniu, suszeniu czy maczeniu w popiele). – *Niedawno ukazała się praca duńskiego badacza, której wyniki pokazują, że przygotowane w takiej tradycyjnej obróbce orlice nie są już rakotwórcze* – mówi prof. Łuczaj. – *To ilustruje świetnie dorobek wiedzy tradycyjnej.*

## Nauka naprawdę działa

Nie wszyscy na tym poprzestają. W 2016 r. jeden z członków rządu Indii powiedział, że lekarze, którzy przepisują lekarstwa nienależące do ajurwedy, czyli tradycyjnej medycyny indyjskiej, są „antynarodowi”. Thaddeus Metz, filozof z University of Johannesburg, przyznał: „Niektórzy z moich kolegów myśleli, że jeśli coś nie pochodzi z Afryki, jest w pewien sposób zdyskwalifikowane”. W 2016 r. furorę zrobiło nagranie dyskusji na University of Cape Town. Jedna ze studentek powiedziała wówczas „Nauka w całości jest produktem zachodniej mentalności i cała powinna być usunięta” oraz „Powinniśmy zacząć naukę od nowa z perspektywy afrykańskiej, naszej”.

I właśnie w duchu przywracania godności wiedzy rdzennej rząd Nowej Zelandii uznał w 2020 r., że maoryska „droga poznania” ma wartość równą metodologii nauk przyrodniczych. W 2021 r. sprzeciw wobec tej decyzji wyraziło w oficjalnym liście siedmiu profesorów University of Auckland, z których troje było członkami Królewskiego Towarzystwa Nowej Zelandii. Jeden zmarł wkrótce potem, a wobec dwójki zostało wszczęte wewnętrzne postępowanie na bazie skarg, jakie wpłynęły na ich list. Co prawda po roku dochodzenie zostało umorzone, ale – zdaniem Dawkinsa – „klimat strachu” pozostał.

Także amerykański biolog i ewolucjonista Jerry Coyne na swoim blogu „Why Evolution Is True” ostro skrytykował próby zrównania maoryskiej *Mātauranga Māori* i nauk przyrodniczych. Jego zdaniem to już jest ideologia, gdyż nie ma czegoś takiego jak „zachodnia nauka”, jest tylko „nowoczesna nauka”.

Dawkins swój głośny tekst zatytułował: „Jest tylko jedna »droga poznania«: nauka”. Stwierdził w nim: „Prawdziwy powód, dla którego nauka jest czymś więcej niż mit, jest taki, że opiera się ona na dowodach”. To dzięki niej – pisał – zlikwidowano ospę prawdziwą i polio, wysłano satelity na Plutona i komety. „Nauka prawie na pewno uratowała twoje życie. Nauka działa”.

Siyanda Makaula, menedżer uczelni w Afryce Południowej, kilka lat temu mówił „Nature”, że naukowcy często lubią ukrywać się za domniemanym uniwersalizmem ich dziedzin. Oznajmiając, że komórka to komórka niezależnie od tego, czy pochodzi od Afrykanina czy Europejczyka albo że prawa fizyki obowiązują każdego, uciekają od potrzeby zakwestionowania sposobu, w jaki uprawiają naukę. „To ich wymówka” – uważa Makaula. I dodaje: „Dekolonizacja musi zająć w umyśle”.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

# Potłuczone skarby

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Kształt fragmentów ceramiki, ich kolor, resztki zawartości i zapiski na ściankach opowiadają o losach pojedynczych ludzi i procesach dziejowych.



Na tym kielichu z VIII w. p.n.e. wydrapano erotyczny kuplet:

Νέστορος [εἰμι] εὐποτον ποτήριον  
ὄς δ' ἂν τοῦδε πίησι ποτηρίου αὐτίκα κήνον  
ἴμερος αἰρήσει καλλιστεφάνου Ἀφροδίτης

*Jestem czarą Nestora, z której wygodnie się pije;  
kto zaś napije się z tej czary, tego natychmiast  
ogarnie pragnienie pięknie wieńczonej Afrodyty.*  
przekład: Włodzimierz Appel

**S**korupka ma zaledwie 6 na 8 cm. Na powierzchni – wryte litery. Siedem lat temu Francisco Adame zauważył ją, przechodząc przez rzeczkę Arroyo de Tamujar w hiszpańskiej wiosce Villalón. Zabrał i zaniósł archeologom. Liczący 1,8 tys. lat fragment amfory na oliwę nie zrobił jednak na nich wrażenia. Dolina rzeki Gwadalkiwir to teren rzymskiej prowincji Betycja, która słynęła z produkcji oliwy, więc skorup naczyń do jej transportu są tam tysiące. Nawet inskrypcje nie wydawały się wyjątkowe, w końcu na górze pobitych amfor po oliwie – Monte Testaccio koło Rzymu – na wielu z nich jest odnotowane miejsce pochodzenia, imię producenta i znaki kontroli. Jednak gdy napis odszyfrowano, o znalezisku zrobiło się głośno.

Jak bowiem wynika z opublikowanego w „Journal of Roman Archaeology” artykułu Gonzáleza Tobara, Antonii Solera i Nicolau oraz Piero Berni Milleta są to dwa wersy z I księgi „Georgiki” Wergiliusza. We fragmencie modlitwy do Libera-Bakchosa i Cerery z 29 r. p.n.e. jest mowa o tym, że ci bogowie urodzaju w miejsce jadalnych żołędzi ze świętych dębów z Chaonii oraz wody z prarzeki Acheloosu dali ludziom zboże i wino [patrz ilustracja na s. 57].

Obecność dzieła opiewającego życie na wsi na amforze na oliwę używanej w tym rolniczym regionie ma sens i świadczy o erudycji autora inskrypcji. Według badaczy mógł go wyryć jakiś pracownik tłoczni albo ktoś z rodziny jej arystokratycznych właścicieli. Nie wykluczają, że była to osoba młoda, gdyż takie

zatrudniano w zakładach. Tekst odtwarzała prawdopodobnie z pamięci – stąd liczne błędy, które utrudniły jego zrozumienie. Znajdujący się na dnie naczynia napis był niemal niewidoczny, może więc stanowił rodzaj kodu, może był to żart lub wynik nudy.

## Na ściankach pucharów

Glina była jednym z najtańszych i najłatwiej dostępnych materiałów piśmienniczych na Bliskim Wschodzie. To na wykonanych z niej przedmiotach znajdujemy najstarsze przykłady pisma z końca IV tys. p.n.e.: etykiety na naczyniach na piwo, wino i oliwę, z informacjami o miejscu produkcji.

Już wtedy uprawiano też twórczość na materiałach z recyklingu. ▶

► Na przykład nad Nilem na kawałkach rozbitych garnków robiono notatki, pisa-no listy, tworzone wiersze. Jeden z trzech zbiorów pieśni miłosnych sprzed 3,5 tys. lat pochodzi z dzbana z Deir el Medinah, a kilkanaście innych erotyków ze skorup znalezionych w okolicach Teb. Autorzy tych utworów są nieznani, ale motywy „twórczości” już nie. Nazywanie ukochanych „siostrą” i „bratem”, mówienie o „chorobie z miłości” czy użycie przyrody jako tła uczuciowych doświadczeń oraz do porównań pojawiają się w powstałej setki lat później biblijnej „Pieśni nad Pieśniami”. Co oznacza, że albo liryka znad Nilu była dla nich wzorem, albo były to topoty stałe obecne na całym Bliskim Wschodzie.

Pisanie o miłości i picciu na naczyniach na wino było – jak się wydaje – częste. Najstarszy napis w alfabecie greckim to erotyczny kuplet z kielicha na wino znalezionego na wyspie Ischia koło Neapolu w grobie młodzieńca zmarłego w końcu VIII w. p.n.e. Poemacik [patrz ilustracja na s. 55] nawiązuje do wspomnianego w „Iliadzie” pucharu nobliwego Nestora, co czyni go żartobliwym, a jednocześnie świadczącym o oczytaniu autora.

Grecy chętnie podpisywali swoje kielichy na wino, ale chyba najbardziej znanym wykorzystaniem naczyń jako materiału piśmienniczego była praktyka polityczna zwana ostracyzmem. W Atenach znaleziono dziesiątki skorup z imionami osób, które uznano za zagrożenie dla demokracji. W tajnej procedurze głosowano za wygnaniem ich z miasta, a kartami były tu skorupy. Wśród ostraków są te z imieniem najsłynniejszego z przymusowych emigrantów: twórcy morskiej potęgi Aten Temistoklesa (524–459 p.n.e.).

## Na wozach i statkach

Inskrypcje to nie wszystko. Naczynia dają znacznie więcej możliwości badawczych.

Stanowią jeden z najliczniejszych, najpowszechniejszych i najtrwalszych zbiorów zabytków, jakim dysponują naukowcy.

Co prawda wypalać ceramikę potrafili już myśliwi z lasów Syberii nawet 17 tys. lat temu, jednak garncarstwo stało się kołem zamachowym rozwoju cywilizacyjnego, zrewolucjonizowało dietę i ułatwiło rozwój handlu, dopiero gdy stało się powszechne w kulturach rolniczych ok. 5–6 tys. lat później.

Od tego momentu ceramika była wszechobecna, służąc do gotowania i spożywania posiłków, przechowywania, transportu, a także jako urny. Garncarze wykonywali ją z różnych surowców dla ludzi o różnych gustach. Miała najrozmaitsze – zmieniające się z biegiem czasu – kształty, rozmiary i dekoracje, co szalenie ułatwia badaczom porządkowanie przeszłości. Określony typ używanych naczyń często jest jednym z głównych wyznaczników kultur archeologicznych i to do tego stopnia, że to od niego pochodzą ich nazwy – stąd kultura pucharów lejkowatych, amfor kulistych, urn twarzowych czy ceramiki sznurowej. Charakterystyczny kształt i dekoracja naczynia wskazują na wiek, a metoda termoluminescencyjna pozwala uzyskać przybliżoną datę jego wypalenia.

Dla późnego antyku dobrym wyznacznikiem chronologicznym jest ceramika stołowa z warsztatów północnej Afryki, która od III w. była prężnie rozwijającą się prowincją, eksportującą zboże, oliwę, wino i inne towary. – *Z terenów dzisiejszej Tunezji wraz z towarami masowymi rozwieszono statkami eleganckie i tanie naczynia. Cieszyły się wzięciem w całym basenie Morza Śródziemnego* – mówi ceramolog Bartosz Nowacki z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. – *Precyzyjna typologia tej ceramiki daje datowanie z dokładnością do ok. 50 lat, czyli zbliżone do tego używanego na podstawie analizy znalezionych monet. Co ciekawe, w późnym antyku na wielką skalę dystrybuowano nie tylko amfory czy ceramikę stołową, lecz także używane masowo zwykłe gary kuchenne. Dzięki analizie różnych typów ceramiki można ustalić zarówno dalekosiężne, jak i regionalne kontakty handlowe.*

Naczynia wyższej jakości niż produkowane lokalnie to z kolei dowód kontaktów z bardziej wyrafinowanymi cywilizacjami. Wspaniałe czarno- i czerwonofigurowe

wazy pojawiają się poza Grecją w wyniku Wielkiej Kolonizacji, ale fakt, że produkowane przez Etrusków kopie trafiały do barbarzyńców, dowodzi, że śródziemnomorskie *dolce vita* stanowiło wzór do naśladowania. W grobowcu celtyckiej księżniczki we francuskiej miejscowości Vix jest cały repertuar naczyń do picia i mieszania wina w stylu greckim z ok. 500 r. p.n.e., wśród nich jest attycka waza ze sceną walki Amazonek oraz krater wolutowy w stylu spartańskim – wyjątkowy, bo aż na 1000 l. O prestiżu, jakim cieszyła się luksusowa ceramika, świadczy sława malarzy waz, którzy chętnie podpisywali swoje naczynia.

Wyrafinowane wyroby z gliny są nie tylko wyznacznikiem gustów estetycznych, lecz także stopnia zaawansowania technologicznego. Znikanie wyspecjalizowanych warsztatów garncarskich zawsze sugeruje ogólną zapaść i kryzys. Z kolei rozkwit kraju często przejawiał się rozwojem produkcji ceramicznej, czego spektakularnym przykładem są Chiny.

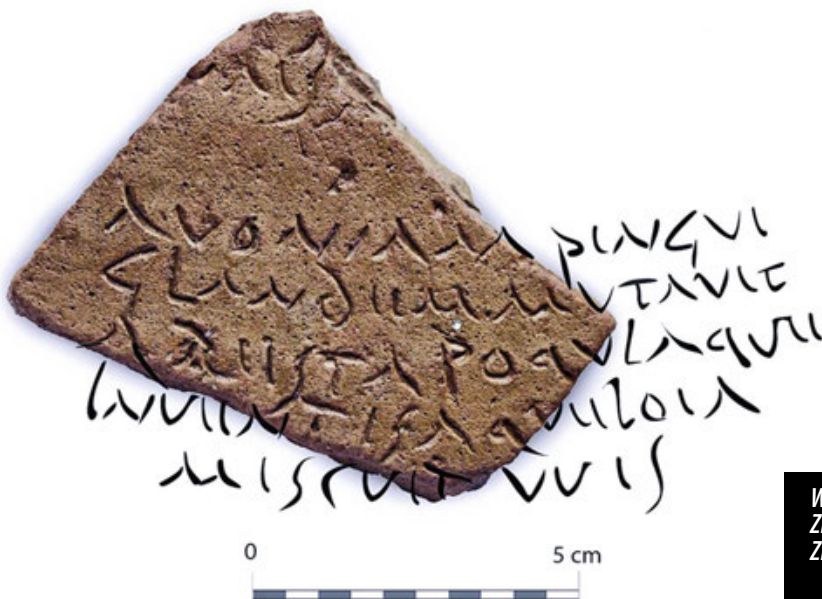
Choć z wypałem jakościowej ceramiki stołowej eksperymentowano tam już wcześniej, do technologicznej rewolucji doszło za panowania dynastii Tang (618–907), gdy z glinki kaolinowej, kwarcu i skalenia zaczęto produkować porcelanę, która stała się obiektem pożądania na całym świecie. Chińczycy zachowywali w ścisłej tajemnicy tajniki jej produkcji (m.in. to, że należy wypalać ją w temperaturze 1350 st. C), dzięki czemu była najważniejszym towarem eksportowym Państwa Środka do odkrycia złóż kaolinu w Miśni w XVIII w.

## Na ból głowy

Ceramika podróżowała wodą, ale nie wszystkie statki docierały do celu, dlatego co jakiś czas na trasie z Chin do Indii czy Arabii znajdowany jest kolejny wypełniony nią wrak.

W maju chińscy badacze pokazali zdjęcia żaglowca leżącego na głębokości 1,5 tys. m w pobliżu wyspy Hajnan. Przewoził 100 tys. naczyń wyprodukowanych za cesarza Zhengde z dynastii Ming (1505–21) w dwóch najsłynniejszych centrach ceramicznych Chin w Jingdezhen w prowincji Jiangxi. Tamtejsza biała porcelana była wysyłana aż do Europy, w przeciwieństwie do szklawionych seldonów produkowanych w Longquan (prowincja Zhejiang), którymi zachwycali się mieszkańcy Indii, Arabii, Egiptu i Iranu.





Rekonstrukcja dwóch wersji  
I księgi „Georgiki” Wergiliusza  
z fragmentu amfory na oliwę.

[...]s[...]  
[...]vais[...]

(Ch)auoniam pingui  
glandem mutauit  
aresta, poqulaque  
inuentis Aqueloia  
miscuit uuis;

*Wy, Bakchu, żywicielko Ceres, waszą mocą;  
Ziemia zołgdź chaonską w kłosa, co się złocą,  
Zmieniła, sok z gron nowych zmieszała w napoje Achelojskie.*  
przekład: Anna Ludwika Czerny

Ponieważ dla okresu między XIII a XV w. nie ma wielu zapisów potwierdzających handel porcelaną, skorupy są jedynym śladem jego wyjątkowego rozmachu. Opublikowane w czerwcowym „World Archaeology” analizy ilościowe fragmentów seladonów ze stanowisk w Chinach i wokół Oceanu Indyjskiego potwierdziły, że z Chin w tym okresie regularnie pływały na zachód olbrzymie dostawy tych naczyń.

W basenie Morza Śródziemnego również bada się morskie szlaki handlowe, jakimi szła ceramika – tylko bardziej pod kątem tego, co w niej przewożono, czyli oliwy, garum (sosu ze sfermentowanych ryb) czy wina. Badaniem tego ostatniego zajmuje się dr Paulina Komar z UKSW. Informacje o jego dystrybucji są rozbieżne, podczas gdy z tekstów wynika, że w I w. p.n.e. za najbardziej luksusowe uchodziły trunki greckie z Chios, Lesbos i Kos; na podstawie kształtów i składu gliny amfor, które trafiły do Rzymu wiadomo, że do portu w Ostii przyplwały też statki z winami hiszpańskimi, galijskimi i afrykańskimi. – *Analizy statystyczne korelacji między czasem podróży, w dużym stopniu wpływającym na ceny, a ilością naczyń pokazały, że w rzymskim handlu winem najważniejsza była jego opłacalność* – mówi badaczka. – *Ta niewidzialna ręka rynku działała do momentu, gdy późnoantyczny władca zaczęli odgórnie sterować gospodarką, a przedstawiciele Kościoła – wykorzystywać swoją uprzywilejowaną pozycję, by czerpać zyski z handlu winem. Dlatego też rynek rzymski zalał trunki z Ziemi Świętej, wcześniej importowany w ilościach śladowych.*

Miliony kawałków ceramiki – w ziemi i w muzealnych magazynach – to arcyważne źródło informacji. I jednocześnie wielki ból głowy archeologów, bo jej badanie jest niesłychanie pracochłonne i niewdzięczne. Stąd pomysł Gabriele Gattiglia i Francesca Anichini z Università di Pisa, by do analiz wykorzystać sztuczną inteligencję. Zaprojektowana przez nich sieć neuronowa ArchAIDE zajmuje się klasyfikacją skorup.

System radzi sobie tylko z ceramiką, z którą i my nie mamy problemów, czyli z tą dekorowaną. Jego twórcy przekonują jednak, że jego możliwości wzrosną wraz z powiększającą się bazą danych i że niedługo będzie się sprawdzać w badaniach ilościowych. Tyle że w jakościowych w ogóle nie ma szans. Zwłaszcza w przypadku ceramiki kuchennej, wizualnie niezwykle trudnej do rozróżnienia. Na pytanie, gdzie została wyprodukowana, odpowiedź mogą dać tylko analizy laboratoryjne. A na pytanie, do czego służyła – badania obecności lipidów w porach ich ścianek.

### Na bokach i dnie

Badacze coraz wnikliwiej przyglądają się garnkom użytkowym, chociażby dlatego, że to one mają najwięcej do „powiedzenia” na temat ewolucji nawyków żywieniowych.

Dla starożytnego Rzymu wskazówką jest już sama różnorodność form ceramiki kuchennej. – *W I i II w. jadano bardzo różnorodnie. Do przygotowywania zapiekanki, gulaszy, duszonych w sosach lub pieczonych mięsów i ryb oraz słonych i słodkich wypieków używano najróżniejszych patelni, rondli i garnków* – tłumaczy Nowacki. – *Ale od V w. najeżdżane przez barbarzyńców imperium zubożało,*

*a przybysze wprowadzili swoją mniej wykwintną kuchnię. Na stanowiskach z późnego antyku dominują garnki z pokrywkami na eintopfy i duże gliniane pokrywy, pod którymi wypiekało się w domach chleb.*

Kształt naczyń mówi wiele, ale nie wszystko. Dopiero w laboratoriach można zbadać, czy w danej amforze przewożono wino, oliwę czy garum. W Pompejach w 2019 r. w jednym z garów w nowo odkrytym barze znaleziono resztki potrawki z drobiu, wieprzowiny, kozłiny, ślimaków i ryb. Musiało to być popisowe danie tej ulicznej knajpy, bo na ladzie w ramach prezentacji menu namalowano koguta i kaczkę.

Większym zaskoczeniem było, gdy w 2012 r. badania laboratoryjne wykazały obecność kwasów tłuszczowych z krowiego mleka na ściankach liczących 7 tys. lat sit z osad rolników na Kujawach. Choć archeolodzy przypuszczali, że mogły one służyć do produkcji sera, nie mieli pewności. Podobne potwierdzenie wcześniejszych podejrzeń otrzymali inni badacze – którzy w porach cypryjskich i egipskich naczynek w kształcie makówek znaleźli ślady opium.

Ceramika w mistrzowski sposób pokazuje złożoność dziejów w skali mikro i makro, przez co jest kwintesencją archeologii. Jej siłą jest niepozorność. Złodzieje z wykrywaczami metali potłuczone skorupy mają raczej w pogardzie. Jeśli w życie wejdzie ustawa zezwalająca tabunom poszukiwaczy chodzić po polskich polach i lasach i bez jakiegokolwiek kontroli specjalistów wyciągać miecze, biżuterię i monety, ceramika będzie być może ostatnim śladem po naszych przodkach, jaki pozostanie w ziemi, świadcząc o naszej przeszłości.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



# Zabiegi przed ekranem

Na salach operacyjnych coraz częściej pracują maszyny. „Chętnie ustępujemy im miejsca przy stole” – mówią ci lekarze, którzy nauczyli się sprawnie nimi posługiwać.

PAWEŁ WALEWSKI

**K**osztowne gadzety. Moda. Niezdrowy przejaw technoentuzjazmu. – *Zdecydowanie nie podzielam takiego nastawienia do robotyki chirurgicznej* – mówi dr hab. Artur Antoniewicz, kierownik Oddziału Urologicznego i Onkologii Urologicznej w Międzyleskim Szpitalu Specjalistycznym w Warszawie.

Jeszcze dekadę temu maszyny na sali operacyjnej służyły za przykład odhumanizowania medycyny. Jednak wbrew potocznym wyobrażeniom, że roboty zastąpią doświadczonych lekarzy, to nadal człowiek przeprowadza całą operację, mając ją pod kontrolą na ekranie 3D monitora o wysokiej rozdzielczości. – *Coraz więcej pacjentów nie odczuwa przed tym lęku* – przyznaje z satysfakcją prof. Marek

Durlik, który kieruje Kliniką Chirurgii Gastroenterologicznej i Transplantologii w Państwowym Instytucie Medycznym MSWiA i przeprowadził już ponad 200 takich zabiegów. Dzięki robotom można liczyć na lepsze efekty, krótszy pobyt w szpitalu i szybszą rehabilitację.

Ludzi, którzy jednak wciąż nie widzą dla robotów miejsca na salach operacyjnych, dr Antoniewicz uważa za pozbawionych zdolności rozpoznawania rzeczywistości. – *Niedawno wróciłem z międzynarodowego kongresu, który wytycza kierunki rozwoju mojej specjalności, i obok dyskusji na temat wyników stosowania nowych terapii głównym tematem była chirurgia robotowa. Minął czas rozważań, czy jest w czymś lepsza. Ona coraz bardziej bywa niezastąpiona.*

Prof. Durlik sięga pamięcią do nieodległych początków laparoskopii. Technika ta w latach 80. XX w. otworzyła operatorom

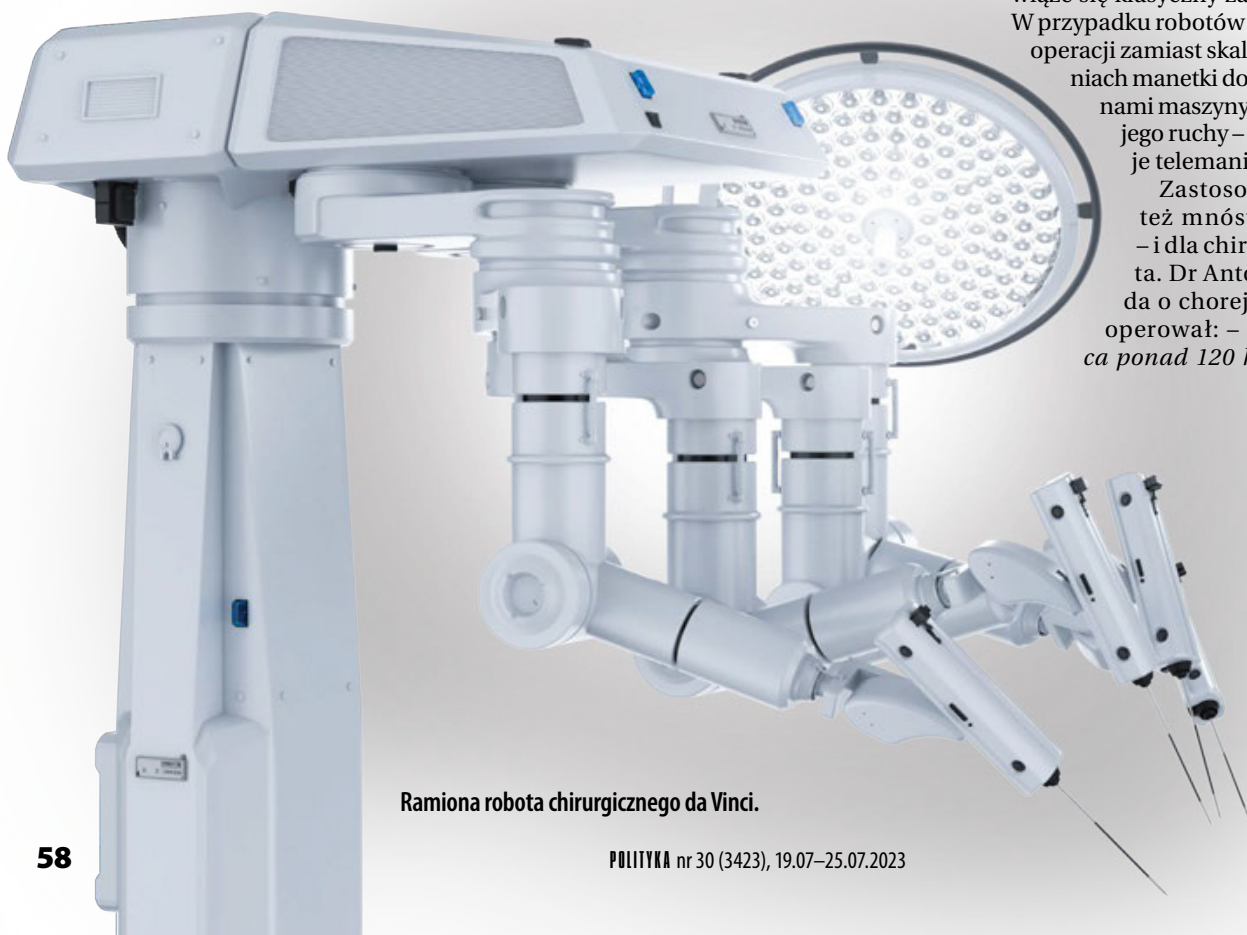
drogę do wnętrza ciała przez niewielkie otwory, bez konieczności rozcinania powłok brzusznych skalpelem: – *Wtedy też pytano, po co przerzucać się na pałeczki, skoro wygodniej jeść nożem i widelcem.*

## Trzecia ręka chirurga

To porównanie można często usłyszeć od chirurgów wyznających zasadę, że szerokie, dobrze widoczne pole operacyjne ułatwia przeprowadzenie zabiegu. Zwłaszcza przedstawiciele starszego pokolenia, dla których pojawienie się w salach zabiegowych laparoskopów – przyrządów w kształcie rurki o grubości około centymetra, wyposażonych w źródło światła i kamerę – było sporym novum.

Kilka małych nacięć zamiast kilkunastocentymetrowych blizn wystarczyło jednak, by uznać małoinwazyjną ingerencję za kierunek, od którego nie będzie odwrotu: minimalizuje ona uraz, z jakim wiąże się klasyczny zabieg chirurgiczny. W przypadku robotów lekarz dokonujący operacji zamiast skalpela trzyma w dłoniach manetki do sterowania ramionami maszyny. A te odwzorowują jego ruchy – dlatego nazywa się je telemanipulatorami.

Zastosowanie robota ma też mnóstwo innych zalet – i dla chirurga, i dla pacjenta. Dr Antoniewicz opowiada o chorej, którą niedawno operował: – *To kobieta ważąca ponad 120 kg. Wycięcie guza*



Ramiona robota chirurgicznego da Vinci.



nerki metodą tradycyjną wymagałoby 25–30-cm rozcięcia skóry i tkanek podskórnych. Samo zszycie powłok po operacji zabrałoby godzinę, a pozostawiona rana goiłaby się przez miesiąc. Nasz zabieg z wykorzystaniem robota trwał niewiele ponad godzinę, chora nie straciła nawet mililitra krwi, nie ma blizny i wyjdzie do domu pojutrze.

Wygoda operatora przekłada się na większe skupienie, a więc również na precyzję i w efekcie na poprawę bezpieczeństwa. – *Podczas laparoskopii musimy stać nad chorym w pozycji torredora z wyciągniętymi przedramionami, co na dłuższą metę jest męczące i trudno wyeliminować drżenie rąk* – relacjonuje dr Antoniewicz. – *Dzięki robotom mamy komfort pracy przy konsoli. Oddaliło nas to od stołu operacyjnego, ale lepsza optyka i powiększenie obrazu sprawiają, że widzimy więcej szczegółów.* Prof. Durlik zwraca uwagę na jeszcze jeden detal – przegub ręki, który podczas operacji ma ważną funkcję: – *Kto pracuje dłońmi, ten wie, że nie należy usztywniać nadgarstka. Roboty nam go uruchomiły, czego nie dają nawet najlepsze laparoskopij.*

### Ostra selekcja

Urologia była jedną z pierwszych dyscyplin chirurgicznych, gdzie zaproponowano zabiegi z udziałem maszyn – było to na początku lat 2000. Obecnie są one standardem postępowania w czterech wskazaniach: wycięcia guza nerki (nie trzeba usuwać całego narządu), usunięcia pęcherza moczowego (z możliwością odtworzenia go z jelit, dzięki czemu chory nadal może oddawać mocz przez cewkę), przeszczepienia nerki od żywego dawcy i wreszcie – w najczęściej wykonywanej operacji z zakresu onkologii urologicznej – wycięcia gruczolaka krokowego. – *Choć przeciwnicy robotyki będą mówić, że równie skutecznie można usunąć nowotwór stercza laparoskopowo lub metodą tradycyjną, fenomen robota polega na tym, że zabieg jest bezkrwawy, bez ryzyka uszkodzenia nerwów, co groziło nietrzymaniem moczu i utratą funkcji seksualnych* – podkreśla dr Antoniewicz.

– *A niebezpieczeństwo wznowy po tej operacji spadło do zaledwie kilku procent. Z punktu widzenia pacjenta są więc same korzyści.*

Prof. Durlik od trzech lat wykorzystuje robota do usuwania raków trzustki. Z powodzeniem. – *Spośród stu osób, które miesięcznie konsultuję z tym rozpoznaniem, do operacji nadaje się 20–30 proc., ponieważ większość jest już w późnym, rozsiałym stadium* – mówi. – *Do zabiegu z wykorzystaniem robota mogę skierować kilku chorych.*

Dlaczego tak niewielu? Aby chirurg mógł odbierać obraz z kamery i poruszać narzędziami na ramieniu robota wewnątrz nierozciętego brzucha, trzeba wytworzyć w nim naciśnięcie – pacjent musi więc mieć zdrowe płuca, aby przy dłuższych zabiegach mogły zapewnić lepszą wentylację (którą naciśnięcie brzuszne utrudnia). A o to niełatwo, jeśli kandydaci do takiej operacji są wieloletnimi palaczami lub mają przewlekłą chorobę dróg oddechowych. Inny warunek to brak zrostów w jamie brzusznej po wcześniejszych operacjach, a kolejny – umiejscowienie guza. – *Jeśli nacieka na naczynia krwionośne, nie ryzykowałbym pracy z robotem* – precyzuje nasz ekspert. – *Obawiałbym się krwawienia śródoperacyjnego, którego zatamowanie i tak wymagałoby otwarcia brzucha.*

### Państwowe czy prywatne

Początki robotyki medycznej w Polsce wyznaczone są przez dwie daty. Pierwsza to 1999 r., kiedy prof. Andrzej Bochenek sprowadził do Kliniki Kardiologii w Katowicach Ochojcu asystenta-robota Aesop. Druga – 2011 r., kiedy pierwszy robot da Vinci trafił na oddział chirurgiczny w Wrocławskim Szpitalu Specjalistycznym we Wrocławiu. Już wtedy zastanawiano się, jakich nowych predyspozycji wymagają od lekarzy te urządzenia? Jedni twierdzili, że przydają się ćwiczenia na symulatorach. Inni – że zwykłe gry komputerowe, które uczą lepszego kojarzenia ruchu ręki z tym, co widać na ekranie.

Dziesięć lat doświadczeń zweryfikowało te poglądy. Okazuje się, że systemy stały się już tak intuicyjne, że każdy po przeszkoleniu szybko się z nimi oswaja. – *Tu przydatna jest oburęczność. Zauważyliśmy, że najlepiej sobie z nią radzą operatorzy, którzy dodatkowo grają na instrumentach muzycznych* – mówi osoba pracująca w jednej z firm przeprowadzających szkolenia z zakresu robotyki chirurgicznej (to długi proces zakończony egzaminem zdawanym za granicą).

Co ciekawe, obok manualnych zdolności przynależnych wszystkim chirurgom,

wskazana jest ponadprzeciętna znajomość anatomii, potrzebna do tego, by umieć poruszać narzędziami w niewielkim polu operacyjnym pod dziesięciokrotnym powiększeniem. – *Robot nie robi z dobrego chirurga lepszego* – powiadają ci najbardziej doświadczeni w ich obsłudze. Na razie jednak naukę obsługi tych nowych urządzeń wprowadzono do kształcenia specjalizacyjnego tylko w urologii. – *W moim zespole jest już czterech lekarzy samodzielnie wykonujących tego rodzaju operacje* – podkreśla dr Antoniewicz.

Narodowy Fundusz Zdrowia refunduje tylko jeden rodzaj zabiegu z asystą robota – radykalne usunięcie gruczolaka krokowego z powodu nowotworu. W najbliższym czasie zostaną nią objęte również operacje nowotworów jelita grubego oraz trzonu macicy. Dla innych zabiegów takich planów na razie nie ma, więc szpitale muszą pokrywać koszty z własnych budżetów lub starać się o dofinansowanie. Jeżeli operacja odbywa się w placówce prywatnej – płacą pacjenci. – *Nie jestem za tym, aby robotyka chirurgiczna szeroką ławą wchodziła do oferty komercyjnych centrów medycznych* – twierdzi jednak prof. Marek Durlik. – *Bo to publiczny system powinien czuć się odpowiedzialny za stworzenie warunków do jej rozwoju. Poza tym w prywatnych ośrodkach nigdy nie będzie takich zabiegów wiele, a wymagane doświadczenie można zdobyć, tylko jeśli wykonuje się je regularnie.*

Dr Artur Antoniewicz, który niedawno nawiązał współpracę z Centrum Chirurgii Robotycznej w prywatnym Szpitalu św. Elżbiety w Warszawie, ma na ten temat zdanie całkowicie odmienne: – *Każdy z nas zaczął od pierwszej operacji, dlatego nie stawiałbym tamy dla placówek, które chcą włączyć się w ten nowy nurt. W ciągu kilku lat kształtuje się mapa chirurgii robotowej i pojawią się ośrodki, gdzie przyrost doświadczenia będzie najszybszy.*

W środowisku medycznym już jednak rozpoczęto dyskusję, czy nie mamy do czynienia z wolnoamerykanką na rynku robotów medycznych. Ze względu na brak odgórnych regulacji każdy szpital, niezależnie od rangi, może takie urządzenie zakupić. – *Ja w tym niczego złego nie widzę* – pointuje dr Antoniewicz, który podczas rozmowy uchylił się początkowo od odpowiedzi na pytanie, czy w każdej placówce posiadającej oddziały zabiegowe powinien być zainstalowany robot. Na koniec wytłumaczył: – *Pytanie o to, czy powinien, uważam za nietrafione. Moim zdaniem we wszystkich szpitalach, w których stawia się na nowoczesność, on po prostu niedługo będzie.* ■



# Kogo w Polsce nie kochano

I Rzeczpospolita długo była postrzegana jako kraj tolerancyjny i przychylny mniejszościom. To obraz prawdziwy tylko po części. Polakom od setek lat towarzyszyły obawy i niechęć wobec obcych.

SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI



Poselstwo polskie u Henryka Walezego, obraz Teodora Axentowicza, 1910 r.  
U góry: złoty dukat gdański Stefana Batorego.

**D**

la budujących zręby państwowości Polan i ich władców synonimem wroga stał się „Niemy” – bo niezrozumiały w swej mowie – najeżdżca zza zachodniej granicy. Bano się go i nienawidzono. Jednak nie tylko zakuty w żelazo niemiecki rycerz (w czasach Mieszka uosabiał go pograniczny watażka Wichman) budził takie odczucia. Fatalną rolę na polu kształtowania świadomości naszych odległych przodków odegrały niemieckie księżniczki poślubione przez piastowskich władców. Ryczezie,

matce Kazimierza Odnowiciela, zarzucano wywiezienie z Polski nie tylko syna, ale przede wszystkim korony królewskiej. Marcin Bielski, autor „Kroniki Polskiej” z XVI w., z nietajoną niechęcią napisał, że „Polaki na stronę odkładała, a Niemce do rady sadzała i urzędy im dawała”. To ona rozpoczęła poczet polskich władczyń, które otaczały się cudzoziemcami, mając w małym poważaniu miejscowych.

Podobnie źle mówiono o cesarskiej siostrze Judycie Marii, żonie Władysława Hermana (1079–1102) i zarazem kochance wszechwładnego palatyna Sieciecha. Zbierała niepochlebne komentarze

o lekkim pojmowaniu ówczesnie panujących zasad i rozwiązości. Już z pierwszym mężem, królem Salomonem węgierskim, stworzyła luźny związek, nie stroniąc od kochanków. Podobno głównym powodem, dla którego dostała się niewiele znaczącemu polskiemu księciu, była desperacja cesarza Henryka IV, usiłującego wysłać możliwie daleko przynoszącą mu wstyd krewną. Podobna niechęć i podejrzliwość spotkały również księżną Agnieszkę, połowie wnuka Hermana, Władysława II Wygnajca (1105–59), kobietę ambitną politycznie, pragnącą zapewnić mężowi koronę. Gdyby zrealizowała plany, być może zasłużyłaby na pochwały i jak najlepsze oceny. Twierdzono, że jako Niemka we wszystkim forowała rodaków, „nieprzyjacielem była Polakom” i mówiła o nich, że „są plugawi i sprośni”. Na wyrost ubrano ją w maskę występnej i gotowej na każdą podłość zbrodniarki.

Począwszy od XIV w., miejsce pogranicznych niemieckich watażków z Marchii Wschodniej najężdżających piastowskie ziemie zajęli krzyżacy, czyli Zakon Braci Szpitala Niemieckiego Najświętszej Marii Panny w Jerozolimie. I to na nich, choć w zakonnych szeregach można było znaleźć nie samych tylko Niemców, przelała się polska nienawiść. W powszechnym odczuciu Niemiec nabrał jeszcze bardziej złowieszczygo charakteru. Na niechęć zasłużyli sobie także Czesi, których władca Waclaw II sięgnął po polski tron i traktował polskich poddanych z góry, rozdając rodakom ważne urzędy.

### Trudna miłość bratanków

Znane powiedzenie Polak Węgień dwa bratanki nie w pełni oddaje rzeczywistość. W każdym zaś razie i za króla Ludwika Andegaweńskiego, następcy Kazimierza Wielkiego (1310–70), ostatniego Piasta na polskim tronie, i za Stefana Batorego (1533–86) Węgrzy nie cieszyli się wśród Polaków szczególną estymą. Ba, bywali uznawani za niepożądaną i mocno pasyżniczą nację.

Ludwikowi, który u Węgrów zasłużył sobie na przydomek Wielki, zaś wyjazd nad Wisłę traktował jak zło konieczne, nie bez przyczyny wytykano małą dbałość o nowe królestwo. Zarzucano mu, jak napisał Marcin Bielski, że „więcej życzył cudzoziemcom niż swoim”. I na obcych lubił się opierać, chociaż najważniejsze urzędy powierzył Polakom: namiestnikiem Rusi Czerwonej, a potem wielkorządcą Królestwa Polskiego uczynił księcia Władysława Opolczyka, przed nim rządy sprawowała matka władcy Elżbieta. Przybyli u ich boku do Polski Madziarzy aż za nadto się panoszyli i w końcu doszło do rozlewu krwi. W 1376 r. w Krakowie w bójce Węgrów z Polakami zginął starosta Kmita. Skończyło się to rzezią Węgrów. Rozjuszeni Polacy zabili ich 160, a śmierci uszli tylko ci, którym udzieliły schronienia dwórki z Wawelu, wciągając nielicznych szczęśliwców po drabinach przez okna zamkowe. Epizod położył się cieniem na wzajemnych stosunkach polsko-węgierskich.

Wrośniętej w serca niemieckich nie usunęły nawet tak udane dla Polski rządy Stefana Batorego dwa wieki później. Żyjący w jego czasach Andrzej Lubieniecki zaliczył go do władców, którzy „swe narody i u dworu, i w wojskach przedkładali nad nasze narody”. Szczególnie zawzięci występowali przeciwko Batoremu rokoszanie związani z możliwym rodem Zborowskich. Zadbali oni o to, aby dzierżącemu polskie berło Madziarowi domalować gębę tyrańca i wielu dało się na to nabrać.

Fala niechęci spłynęła również na Włochów. A to za sprawą włoskiej księżniczki, która zasiadła u boku polskiego króla, i dwóch wybitnych renesansowych myślicieli. Zaczynijmy od nich. Polskiej szlachcie niewybaczalnie zawinił Niccolò Machiavelli i Filip Kallimach, sławni na całą Europę pisarze polityczni o radykalnych poglądach, którzy głośno wychwalali rządy absolutystyczne. Dla polskiej szlachty nic gorszego od wizji króla wyposażonego w nieograniczoną władzę być nie mogło już w XVI w. Potem, gdy ugruntowała się „złota wolność” i pojawiło liberum veto, przekonanie to jedynie się pogłębiło. Machiavelli doznał krytyki na odległość, Kallimach jako doradca Kazimierza Jagiellończyka (1427–92) i Jana Olbrachta (1459–1501) oraz wychowawca synów królewskich musiał jej stawić czoła na polskiej ziemi.

Podobnie jak poślubiona przez Zygmunta Starego (1467–1548) Bona Sforza, narażona na bezpardonowe ataki przez cały okres pobytu w Polsce. Zarzucano jej wszelkie możliwe grzechy i przewinienia. Od skrytobójczych mordów – twierdzono, że mających odwagę się jej sprzeciwić „swą włoską trucizną haniebnie potrafiła” – poprzez chęć usunięcia króla i zajęcia jego miejsca po marzenie o władzy absolutnej. Bona rzeczywiście stworzyła w Polsce

niemałą włoską kolonię, rozdając rodakom urzędy dworskie i szafując na ich rzecz intratnymi królewskimi ziemiami. Miał zatem pewne uzasadnienie zarzut, że obsadza dobra „hultajami i cudzoziemcami”. Podobnie jak utyskiwania szlachty, iż sprawy krajowe źle idą z powodu odsuwania od wpływu na nie krajowców. Jednak to w wielkim stopniu ci zachwyceni sobą przedstawiciele polskiej szlachty i magnaterii dwa wieki później doprowadzili do upadku państwa.

### Dostało się Francuzom

Po powstaniu Rzeczypospolitej Obojga Narodów i zaraz później, po śmierci ostatniego z Jagiellonów, obawy szlachty wynikały z konieczności wyboru nowego władcy. Bano się, że może to nie być król malowany, ale taki, który zechce ograniczyć stanowisko przywileje i narzucić silne rządy. Strach budziła także myśl, iż taki monarcha może przynieść ze sobą do Polski i na Litwę nowe

zwyczaje, będące nie w smak ich mieszkańcom. Przypominano Ludwika Węgierskiego i Bonę. Twierdzono, że „Zawdy z tamtych krain zachodni monarcha polski żadnego pożytku Rzplitej Koronnej nie uczynił, ale zawsze szkodę albo jakie hańbę i niesławę Koronie przyniósł”.

Najgorzej szlachta wypowiadała się o Habsburgach, ale nie szczędziła przedstawicieli innych dynastii ubiegających się o koronę Rzeczypospolitej, również francuskich Walezjuszy. Ostatecznie zwyciężył Henryk Walezy, jeden z najkrócej panujących polskich władców. Mimo to, a może właśnie z tego powodu, po jego przelotnych rządach i po nim samym pozostały w Polsce fatalne wspomnienia, mocno podlane nową falą ksenofobii. Król został skrepowany szczegółowymi zobowiązaniami natury osobistej i publicznopństwowej (tzw. artykuły henrykowskie i *pacta conventa*), które już na wstępie miały osłabić jego pozycję oraz skutecznie ustrzec Polaków przed monarszymi „fortelami” i dążeniem do absolutyzmu. Trzeba jednak przyznać, że Walezy niewiele uczynił, aby przekonać do siebie poddanych. Zrobił natomiast dużo, aby ich od siebie odstręczyć. Nic mu się w Polsce i Polakach nie podobało, a gromada dworaków rodem znad ►



Portret królowej Bony pędzla Lucasa Cranacha Młodszeo, XV w.

► Sekwany wtórowała swojemu panu w narzekaniach i wykpiwaniu miejscowych. Król oddawał się niemal wyłącznie rozrywkom, a Wawel zamienił się w miejsce rozpusty i niekończących się uczt, na które – jak napisał XVI-wieczny historyk i sekretarz Batorego Reinhold Heidenstein – „nagie dziewczęta były wprowadzane”.

Gdybyż jeszcze z owych lukrów korzystali Polacy, ale władca nie dopuszczał ich do najbliższego kręgu i pomijał również w sprawach istotnych dla państwa, czym jeszcze mocniej bódł dumę narodową Sarmatów. Jak się miał bowiem czuć wysokiej rangi urzędnik, a częstokroć i senator Rzeczypospolitej oczekujący na posłuchanie przez króla, który w tym czasie oddawał się rozpustom ze swoimi „piękniami”. Przy czym określenie to nie odnosi się do sprowadzanych na komnaty dam lekkiej konduity, ale młodzieńców otaczających Walezego i wraz z nim na różne sposoby uprawiających erotyczne harce. W przywiązanej do religii i obyczajów Polsce takie praktyki musiały wywołać odruch sprzeciwu.

## O Żydach nie wspominając

Wyznawcy religii mojżeszowej byli w Polsce od zawsze. W wiekach średnich znaleźli w niej azyl i możliwość w miarę spokojnego życia. Tu nie czekały ich rzezie, jakich doświadczyli chociażby w krajach niemieckich podczas przemarszu armii udających się na krucjaty do Ziemi Świętej. Musieli się jednak oswoić z myślą,



Obrona Częstochowy, obraz Januarego Suchodolskiego, XIX w.

że ich styl życia, wyznawana religia, a także niechęć do asymilacji stworzą z nich dyżurnego „czarnego luda” – grupę społeczną i narodową, którą łatwo było w różnych sytuacjach wskazać jako wroga. Może najlepiej powodziło im się za Kazimierza Wielkiego, potem stosunkowo dobrze jeszcze w XVI w. W Polsce korzystali z dużo większej swobody niż w innych europejskich krajach. Naczelnym rabinem Krakowa, talmudystą i filozofem Mojżesz ben Israel Isserles (1530–72), wypowiedział znamienne słowa: „Lepiej jeść suche okruchy chleba, lecz żyć w spokoju w tym kraju”. W 1525 r. doszło do niezwykłego wydarzenia; Zygmunt Stary pasował na rycerza niejakiego Michela Ezofowicza, brata podskarbiego Jana Abrahama. O ile podskarbi przyjął prawosławie, o tyle Ezofowicz pozostał wiernym wierze mojżeszowej. Jak stwierdził Paweł Jasienica, „Jest to jedyny w naszej historii wypadek uszlachcenia Żyda nie będącego chrześcijaninem”. Jeśli nawet przesadził, to opisana sytuacja odsłania wstydliwą zasadę i mówi wiele na temat równości w ówczesnej Polsce. Później było już gorzej. Groteskowe pogłoski o macy wyrabianej jakoby przy użyciu krwi porwanych i mordowanych w tym celu chrześcijańskich dzieci stały się ponurym pretekstem do pogromów. Sprzyjały im czasy zabobonu i religijnej

histerii, a należy pamiętać, iż kres niechlubnej tradycji krwawych rozpraw z Żydami przyniosła dopiero druga połowa XX w.

## W czasach potopu

Apogeum nienawiści do obcych nastąpiło w Rzeczypospolitej w czasach szwedzkiego potopu, choć prawdę mówiąc, szwedzki był on tylko z nazwy (w armii Karola X Gustawa służyło zaledwie kilkanaście procent Skandynawów). Najeźdźcza fala, aby użyć obrazowej metafory, odbiła się od murów bliskiego sercu Polaków klasztoru jasnogórskiego z obrazem Czarnej Madonny i zdobywcy Rzeczypospolitej utonęli w morzu nienawiści. Niemal dosłownie. Przydano im diabolicznych cech i wojna z nimi nabrała charakteru walki za wiarę, na którą nieopatrznie podnieśli rękę. To już nie byli zwykli najemni żołdacy, „Szwedzi”, zwani zwykle Niemcami, stali się wysłannikami Antychrysta wyposażonymi przezeń w misję zniszczenia katolicyzmu. Po Polsce rozeszły się w ogromnych nakładach pisma i druki ulotne oraz rymowanki ukazujące okrucieństwo heretyckich agresorów. Wypisywano w nich niestworzone brednie o gotowaniu dzieci w kotłach i ciskaniu oderżniętych kobiecych piersi psom na pożarcie, ale moderatorzy tego propagandowego ruchu na czele z królową Ludwiką Marią nie pomylili się w rachubach.

Jak celnie ujął to Janusz Tazbir, „Szwedzki rajtar połączył w sobie typowy wizerunek heretyka i diabła (...). Odtąd też heretyk wpisał się bez reszty w schemat nie tylko kogoś obcego, co miało swe znaczenie w dobie narastającej ksenofobii, ale i wroga. Znalazło to odbicie w powiedzonkach takich jak »Gorszy niż Luter« czy »Gorszy niż Kalwini« oraz »Lutry, kalwiny, bezbożne syny«. Przypomnienie o zagrożeniu stale występującym ze strony heretyka pozwalało na skuteczną mobilizację psychiczną społeczeństwa, służąc zarazem – w jakimś stopniu – umacnianiu poczucia jedności warstw plebejskich i szlachty”. Oficjalna polityka państwa zaczęła godzić we wszystkich, którym katolicyzm nie był dość bliski. Jak ponury bywa chichot historii, niech posłużą wydarzenia z końca 1655 r. z Leszna, gdzie partyzanci dokonali masakry luteranów i Żydów, ale głównie w Wielunia. Tam chłopscy powstańcy rzeczywiście odrzynie piersi mordowanym kobietom, zaś po pięciodniowym pandemonium bestialstwa na ulicach zalegały resztki „nagich, ludzkich zwłok poobgryzanych przez świnię”. Ten budzący zgrozę cytat z książki „Niezwyciężony” Petera Englunda oddaje, niestety, oblicze wojny lat potopu w jej nowym wymiarze.

To właśnie podczas potopu zaczął się tworzyć stereotyp Polaka szlachcica przeciwstawiany obcemu – heretykowi. Jest oczywiste, że na jego powstanie w pocie czoła zapracowała słynąca z rabunków, wielonarodowa armia Karola Gustawa i wspierający ją innowiercy. To ich, głównie arian (braci polskich), obciążono odpowiedzialnością za współpracę z najeźdźcami, co stało się przyczyną bezwzględnych represji. Ostatecznie trwający sześć lat szwedzki potop ogołocił Rzeczypospolitą z ludności i dóbr materialnych w stopniu większym niż druga wojna światowa. To musiało spowodować reakcję. Smutna bywa jednak refleksja, iż stereotyp wspomniany powyżej i zawierający w sobie niszczący potencjał jest wciąż jeszcze obecny (z niewielką poprawką na współczesne uwarunkowania), a mechanizm podziału nie stracił wiele na aktualności. Podobnie jak myśl znanego polskiego historyka Marcelego Handelsmana, który z górami przed stu laty napisał, że wrogiem może być „sąsiad obcego pochodzenia (...) i współmieszkaniec tego samego państwa, współosadnik tej samej ziemi”.

SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI

Wybrana literatura: Paweł Jasienica „Rzeczpospolita Obojga Narodów”, Warszawa 1983;

Sławomir Leśniewski „Potop 1655–1660. Czas hańby i sławy”, Kraków 2017;

Sławomir Leśniewski „Władcy Polski”, Warszawa 2022



Wizerunek założyciela zakonu jezuitów św. Ignacego Loyoli autorstwa Jana van Balena, 1643 r.

# Towarzystwo szarych eminencji

Kiedy 21 lipca 1773 r. papież ogłosił zniesienie zakonu jezuitów po ponad 230 latach jego istnienia, zakończyła się pewna epoka w rozwoju nowożytnego Kościoła rzymskiego.

**L**ikwidacja jezuitów 250 lat temu ogłoszona przez Klemensa XIV w brewe „Dominus ac Redemptor” (Pan i Odkupiciel) oznaczała zniknięcie zakonu, który przez dwieście lat dominował w katolickiej Europie i zyskał fundamentalny wpływ na wewnętrzną politykę kościelną i świecką państw oraz na stosunki międzynarodowe. Jego przedstawiciele potrafili poruszać się – często jako przysłowiowe szare eminencje – za kulisami negocjacji dyplomatycznych, zdobywali ważne stanowiska na dworach królewskich, z ich szeregów rekrutowali się doradcy, a głównie spowiednicy (co często oznaczało to samo) europejskich monarchów, zwłaszcza Habsburgów, ale także polsko-saskich Augustów, np. ojciec Ignazio Guarini był jedną z legendarnych wpływowych postaci na dworze Augusta III, a jako spowiednik króla i jego habsburskiej żony wywierał znaczny wpływ na osobiste decyzje monarchy.

## Żołnierze kontrreformacji

Początki zakonu wiązały się z ruchem reformatorskim w Kościele katolickim w XVI w. Jego założycielem był pierwotnie baskijski szlachcic św. Ignacy Loyola. Gdy kontuzja zakończyła jego karierę wojorską, zwrócił się ku mistycyzmowi i duchowości. Na paryskim Montmartre w latach 30. wraz z przyjaciółmi, studentami Sorbony, założył grupę, z której wyłonił się nowy zakon, oficjalnie uznany w 1540 r. przez papieża Pawła III. Towarzystwo Jezusowe (Societas Jesu – JS), jak zaczęło się nazywać, kładło duży nacisk na edukację, posłuszeństwo i hierarchię.

Ruch kontrreformacyjny był nie tylko reakcją na reformację europejską, ale przede wszystkim odpowiedzią Kościoła katolickiego na te same wyzwania, z których wyrosła reformacja. Wraz z narastającymi konfliktami religijnymi w Europie nowy zakon otrzymał szczególne zadanie zwalczania wyznań niekatolickich i przywracania niekatolików do „prawdziwej wiary”. Z tego wynikała duża rola nauczania dogmatycznego, studiów teologicznych, działalności misyjnej, spowiedzi i kaznodziejstwa w działalności zakonu. Typowym przedstawicielem tej fali wielkich kaznodziejów i pisarzy był najbardziej znaczący z polskich jezuitów Piotr Skarga (1536–1612).

W ciągu dwóch wieków zakon zbudował silną pozycję w Kościele, zgromadził rozległy majątek, zyskał nieformalny ►

► wpływ w polityce, ale także w dziedzinie oświaty, działalności misyjnej, kulturze i sztuce (kościół jezuicki dyktowały trendy architektury barokowej: dotyczyło to zwłaszcza dużych sanktuariów we Włoszech, monarchii Habsburgów, Hiszpanii i w niemieckich krajach katolickich, a także w Wilnie).

## Nauczyciele wiary

Sieć kolegiów jezuickich była jednocześnie siecią placówek oświatowych, gimnazjów i akademii. Ich misje działały w Indiach, Japonii, na Karaibach i w Ameryce Południowej. Uniwersytet Sofia w Tokio – jeden z najważniejszych w Japonii – dziś z dumą przypomina, że powstał z akademii jezuickiej, a niedawno na swoim kampusie zbudował nowy kościół św. Ignacego, założyciela i patrona zakonu. Edukacja jezuicka, zwłaszcza w XVII w., należała do najnowocześniejszych systemów, wypracowała nowe metody nauczania i stała się wzorem nawet w niekatolickiej myśli pedagogicznej. Szczególnie znane były przedstawienia szkolne, wystawiane w przestrzeni publicznej miast i służące celom oświatowym, misyjnym i propagandowym.

Kolegia jezuickie zajmowały znaczącą pozycję tam, gdzie katolicka wiara lub władza, która pozwalała im funkcjonować, ścięła się z niekatolicką ludnością i niekatolickimi wpływami, niezależnie od tego, czy chodziło o „pogan” w Azji i Ameryce, prawosławnych chrześcijan czy wyznawców reformacji w Europie Środkowej.

Kontrreformacyjny sobór trydencki wyznaczył jezuitom rolę kluczową. Nic dziwnego, że to właśnie jeden z czołowych aktorów soboru, biskup warmiński Stanisław Hozjusz, założył pierwsze kolegium jezuickie na ziemiach polskich – w Braniewie na terenie biskupstwa warmińskiego, w bliskim sąsiedztwie protestanckich Prus Książęcych i w granicach Prus Królewskich, gdzie w międzyczasie skutecznie szerzyła się reformacja w miastach i wśród części szlachty. Potem kolegia zaczęły powstawać także w innych miejscowościach Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Tutaj jezuici próbowali przekonać mieszkańców do przejścia na katolicyzm, co stawało się temem śmierci jezuickich świętych i patronów, jak np. Andrzeja Boboli, zamordowanego w czasie kozackiego powstania Chmielnickiego na Ukrainie (1657). Choć najbardziej znanym świętym związanym z tym zakonem jest w Polsce Stanisław Kostka, który zmarł nie śmiercią męczeńską, lecz naturalną w Rzymie.

Znane są początki Uniwersytetu Wileńskiego jako akademii jezuickiej, założonej w 1579 r. przez Stefana Batorego jako jedyna taka uczelnia na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Akademia jezuicka we Lwowie powstała 18 lat wcześniej. W Europie jezuici przejęli kontrolę nad działającymi wcześniej szkołami, tak jak miało to miejsce w przypadku uniwersytetu praskiego podczas wojny trzydziestoletniej. Jednak nie udało im się przejąć kontroli nad Akademią Krakowską, a próby utworzenia porównywalnej placówki w Poznaniu nie powiodły się, również z powodu oporu Krakowa.

Działalność misyjna i kulturalna zakonu wywierała ogromny wpływ także poza obszarem religijno-wyznaniowym. Jezuici



Strona tytułowa kazań księdza Piotra Skarki wydanych w Krakowie w 1600 r.

docenili – podobnie jak luteranie – znaczenie języków lokalnych dla szerzenia wiary. Po fali przekładów Biblii i innych tekstów religijnych zapoczątkowanej przez luteran od XVI w. zaczęły się rozwijać literackie języki narodowe, m.in. fiński, litewski czy nawet kaszubski. Jezuici zdawali sobie sprawę, że aby pracować jako misjonarze, muszą znać języki lokalne. Przekładu Biblii na polski dokonał jezuita Jakub Wujek, a jego „Postylla” (zbiór kazań) przełożona na litewski przez kanonika Mikołaja Daukszę okazała się jednym z kamieni milowych w powstawaniu literatury starolitewskiej. W przedmowie – napisanej po polsku – Dauksza bronił wartości języka litewskiego, podobnie jak w XVII w. jezuita Bohuslav Balbín

i inni walczyli w obronie języka czeskiego. Jeszcze na przełomie XVIII i XIX w. byli uczeni jezuicki kontynuowali tę tradycję i odegrali znaczącą rolę w rozwoju ruchów narodowych w niektórych krajach katolickich. Josef Dobrovský stał się np. współtwórcą nowożytnego sławistyki.

## Ofiary czarnego piaru

Co więc doprowadziło do zniesienia tak rozwijającego się zakonu? Paradoksalnie można powiedzieć, że właśnie wszechstronny sukces, a jednocześnie zmiany uwarunkowań historycznych. Wpływ zakonu, podporządkowanego bezpośrednio papieżowi, jego majątek, pozycja w oświacie i wybitna rola w ruchu kontrreformacji budziły krytykę i zazdrość. Samo pojęcie „jezuici” miało początkowo wydźwięk negatywny, zostało ukute przez jego przeciwników i, jak to często bywa, następnie przyjęte przez samych adresatów.

Polemiki i ataki protestanckich teologów, uczonych, propagandzistów skierowane były właśnie przeciwko jezuitom. Trwały protestancko-katolickie spory o autentyczność dokumentów historycznych czy autentyczność zeznań, na których opierały się np. procesy kanonizacyjne, a podobne polemiki czy spory toczyły się także między katolickimi zakonami i uczonymi. Jezuici, wśród nich np. holenderski historyk Jean Bolland i jego brukselski uczeń Daniel Papebroch, na podstawie tych sporów określili w XVII w. zasady krytyki źródeł historycznych, z których historiografia akademicka nadal częściowo korzysta.

Już w XVII w. oskarżenia o manipulację i fałszowanie dokumentów przerodziły się w rozbudowane teorie spiskowe. Jezuici, nawet w świecie katolickim, sprawiali na wielu wrażenie zamkniętej, dobrze zorganizowanej sekty lub grupy oddanej planowi zdominowania świata. Nieudany zamach na króla Francji Henryka IV, konwertytę, który edyktem nantejskim wprowadził tolerancję dla wyznania hugenotów (kalwinów), przyczynił się do szybkiego rozwoju tego antyjezuickiego stereotypu. Próbę zamachu na króla przypisywano bowiem spiskowi jezuitów.

Teorie spiskowe na ich temat zostały rozwinięte w paszkwilu „Monita Secreta”, wydanym w 1612 r. w Krakowie. Były to sfalszowane instrukcje generała zakonu, które rzekomo zobowiązywały każdego członka do użycia wszelkich środków w celu wzmocnienia swojej władzy i osiągnięcia dominacji nad światem. Jednak faktycznym autorem był najprawdopodobniej nieudany nowicjusz jezuicki, ks. Hieronim Zahorowski, mszczący



Wydalenie jezuitów z Hiszpanii, rycina z XIX w.

się za niezdanie egzaminów i wydalenie z zakonu. Insynuacji szerzonych przez Zahorowskiego nie dało się już rozwiązać – w całej protestanckiej i katolickiej Europie oskarżano jezuitów o spisek, tyranie, konspirację i manipulację.

### Konkurenci dla państwa

W XVIII w. oskarżenia te padły na podatny grunt, gdyż odpowiadały oświeceniowej krytyce Kościoła i otwartemu antyklerykalizmowi wielu oświeconych. Voltaire, sam absolwent szkół jezuitów, podobnie jak inni francuscy encyklopedyści, w tym Denis Diderot czy Condorcet, bezkrytycznie akceptował teorie spiskowe. Wykorzystywano je w staraniach o ograniczenie wpływów zakonu w krajach katolickich.

Większość z nich rozpoczęła w XVIII w. drogę formowania się zrębów nowoczesnego państwa, które przejmowało kontrolę nad Kościołem, szkolnictwem oraz wychowaniem ludności i coraz gorzej tolerowało przywileje instytucji religijnych. Jezuita znaleźli się pod presją właśnie z tego powodu, że w głównych obszarach swojej działalności – oświacie i edukacji – konkurowali z państwem.

Wydawało się, że „historyczna misja” zakonu dobiega końca, tym bardziej że w XVIII w. przestał on być postrzegany jako „awangardowy”, coraz bardziej ustępował w konkurencji z pijarami, postrzegano go jako siedlisko obskurantyzmu i bigoterii. W Europie Środkowej jako przykład tych negatywnych wpływów posłużył tzw. tumult toruński z 1724 r. Atak miejscowych protestantów na procesję jezuitów doprowadził do wielkiego procesu i spektakularnej egzekucji „sprawców” włącznie z burmistrzem miasta Janem Gotfrydem Rösnerem, do wzmocnienia

praw katolików w mieście i ograniczenia jego tradycyjnej autonomii. Propaganda protestancka nie pozostawiła tych zajęć niewykorzystanych, a dwór pruski włączył ten wątek do swojej antypolskiej propagandy.

Około połowy XVIII w. krytyka jezuitów w krajach katolickich, takich jak Francja, Hiszpania i Portugalia, była tak silna, że zakon stał się ciężarem dla papieża. To przede wszystkim te katolickie, burbońskie państwa zaczęły domagać się zniesienia zakonu. W Portugalii, po обвинieniu jezuitów o napaść na oświeceniowego króla Józefa I i o wzniesienie powstania w koloniach południowoamerykańskich, zakon został zniesiony w 1759 r. Podobna sytuacja powtórzyła się siedem lat później w Hiszpanii – jezuitom przypisano inicjatywę w nieudanym powstaniu przeciwko rządowi oświeceniowemu, a w rezultacie pozbawiono ich majątku i wygnano. Ci, którzy odmówili złożenia przysięgi absolutnej wierności królowi (zamiast papieżowi), musieli opuścić także Francję, gdzie stanęli przed sądem. Skonfiskowano majątek zakonu.

We wszystkich więc przypadkach wywłaszczenie mienia jezuitów i wypędzenie zakonników wiązało się z utworzeniem nowoczesnego państwa, domagającego się pełnej kontroli nad ludnością, oświatą i gospodarką, a także pełnej lojalności wszystkich mieszkańców.

### Nowy początek

Likwidacja kolegiów i przejęcie szkół jezuitów stworzyły podstawę państwowych systemów oświaty i tym samym utrwaliły decydującą rolę państwa w edukacji. Tak było w Hiszpanii i Portugalii, także w monarchii habsburskiej, gdzie

państwo przejęło sieć gimnazjów jezuitów i stworzyło podstawy słynnego austriackiego systemu gimnazjalnego.

W Polsce Komisja Edukacji Narodowej rozpoczęła prace nad „ruinami” szkolnictwa jezuitów już w 1773 r. Chodziło nie tylko o stworzenie systemu szkolnictwa publicznego, kształcącego ludność do patriotyzmu, ale także o wypełnienie luki pozostawionej przez jezuitów. Wydało się, że początki państwowego szkolnictwa publicznego w europejskich krajach katolickich były najbardziej znaczącym, wciąż namacalnym efektem kulturowym, politycznym i społecznym kasaty zakonu. Ostatecznie stworzyło to strukturę, która umożliwiła państwom wprowadzenie obowiązku szkolnego.

Likwidacja zakonu jezuitów zapoczątkowała także falę sekularyzacji instytucji i mienia kościelnego, a zwłaszcza własności klasztorów w Europie, czy to w oświeceniowo-absolutystycznej Austrii Józefa II po 1780 r., czy w protestanckich Prusach lub rewolucyjnej Francji.

Jednak brewe Klemensa XIV nie oznaczało bezpowrotnego końca zakonu. Nie został on bowiem zniesiony w mocarstwach niekatolickich, które nie uznawały władzy papieża i wykorzystywały jezuitów w swojej polityce wobec ludności katolickiej, głównie polskiej: w Prusach i Rosji. Po wstrząsach rewolucyjno-napoleońskich papież Pius VII w sierpniu 1814 r. zezwolił na odnowę zakonu, który ponownie zaczął szybko się rozwijać, ponownie odegrał ważną rolę w rozwoju teologii, badaniach naukowych, nauce społecznej i edukacji.

Jednak wraz z jego odnowieniem odżyły dawne stereotypy i starania o uniemożliwienie lub zakazanie jego działalności (w Szwajcarii do lat 70. XX w., ale także w bismarckowskich i nazistowskich Niemczech). Do starych wizerunków jezuitów dodano nowe, ponieważ stali się częścią narodowych narracji historycznych w wielu krajach europejskich. Warto zauważyć, że tam, gdzie zostali częścią narodowej świadomości historycznej, odgrywają rolę raczej negatywną.

Nawet w XX i XXI w., podobnie jak w wiekach XVII i XVIII, w wielu ważnych miejscach spotykamy absolwentów kolegiów i szkół jezuitów. Jednak nie mogą być bardziej różni od siebie: irlandzki pisarz James Joyce, kubański dyktator komunistyczny Fidel Castro oraz europejski polityk i ekonomista Mario Draghi...

MIŁOŚ RĘŻNIK

Autor jest dyrektorem Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie.



„Dar Pomorza” podczas zlotu żaglowców w Gdyni.

# Morze, nasze morze

Kto z powojennej generacji nie śpiewał tego wyznania podszytego obawą, że może jednak trzeba będzie na dnie leć? Tamto morze właśnie się kończy.

ADAM KRZEMIŃSKI

**T**o mógł być 1952 r., gdy w kaszubskiej Karwi pierwszy raz je zobaczyłem. Widok był oszałamiający. Bezkras granatu i błękitu, ostra linia horyzontu wciągała do lektury „Dzieci kapitana Granta”. Na brzegu wyłigiwały się kutry rybackie, a w Bałtyku jeszcze były dorsze, śledzie i szprotki.

Plaża była co wieczór bronowana, by żaden szpieg nie wypełził niezauważony na brzeg. Byliśmy dumni z tych 500 km morskiego horyzontu, po którym w latach 60. pełzały szykiem torowym barki desantowe. W obronnych oczywiście planach Układu Warszawskiego Polacy mieli zająć Danię. Stary trop. W XVII w. bił tam

Szweda Stefan Czarniecki, który wszakże rychło „dla ojczyzny ratowania rzucił się przez morze”.

**Nasi przodkowie nie byli ludem morza. Polscy władcy o Gdańsk ścierali się z Niemcami od łądu.** Od morza napierali Skandynawowie i niemiecka Hanza. Wygrana w 1627 r. bitwa morska pod Oliwą była tylko politycznie „nasza”, bo w gdańskiej flocie dominowali ludzie morza posługujący się głównie niemieckim. Morzem naszej historii był „suchego przestwór oceanu” – stopy Ukrainy i Dzikich Pól, bo po Morzu Czarnym pływały – jako spadek po Wargach – kozackie czajki, siejąc strach



Od lewej: zaślubiny Polski z morzem, Puck 1920 r. Zniszczony przez Armię Czerwoną Dom Przyrodników w Gdańsku, 1946 r.

w Konstantynopolu. Po Wiśle pływali wprawdzie flisacy, ale Lucjan Siemieński, tłumacząc w XIX w. „Odyseję”, musiał „korabłem” sięgać do staroruskiej pożyczki z greki, bo w polszczyźnie żeglarskie szoty nazywano po koniarsku lejcamy.

Co prawda w szkole opowiadano nam o Janie z Kolna, co to już przed Kolumbem dotarł do Ameryki. Ale ani śródziemnomorskie przejażdżki naszych wieszczów, ani nawet masowa emigracja za ocean na przełomie XIX i XX w. nie zmieniały szczerów ładowych w wilki morskie. A jeśli ktoś się nim stawał, jak Józef Korzeniowski z Berdyczowa, to już jako Joseph Conrad. Jego morskie opowieści mogły mieć „coś polskiego” i po 1945 r. inspirować nasze debaty o wierności sobie w skrajnych sytuacjach, ale są częścią literatury angielskiej, a nie polskiej.

Kopernikański zwrot nastąpił dopiero w 1918 r. Odzyskanie niepodległości to u nas głównie legenda ułanów goniących bolszewika. Ale to był także „wiatr od morza”, zapowiedziany w deklaracji prezydenta Wilsona, a następnie oficjalne „zaślubiny z morzem”. Sąsiedztwo z ZSRR odwracało Polskę międzywojenną od Wschodu. Budowa Gdyni oraz floty handlowej, pasażerskiej i wojennej zwracały kraj ku zamorskiemu Zachodowi. Tworzyli ją ludzie służący w czasie wojny we flocie rosyjskiej, jak legendarny „Znaczący kapitan” Mamert Stankiewicz, czy niemieckiej, jak admirał Józef Unrug. A ilustracją tego przedwojennego parcia ku morzu był dla nas, chłopaków z PRL, wilniuk Karol Borchardt, który spod Góry Trzykrzyskiej wyrwał się do szkoły morskiej w Tczewie. Jako uczeń pływał na „Lwowie”, potem jako oficer na „Darze Pomorza”, a w czasie wojny na „Piłsudskim”, „Chrobrym” i „Batorym”. Jego książki wiązały nas z wychyloną na Zachód przedwojenną i wojenną odyseją Polski na morzu. Nasze lektury – „Wielkie dni małej floty” Jerzego Pertka czy „Torpeda w celu” Bolesława Romanowskiego – nakładały się na triumfalne relacje w Kronice Filmowej z wodowania kolejnego 10-tysięcznika i samotnych rejsów Leonida Teligi i Krzysztofa Baranowskiego. Sklejałyśmy modele „Błyskawicy” i na „Piorunie” dopadaliśmy „Bismarcka”. PRL czuła się i była krajem morskim. I nie przypadkiem Gdańsk był sercem Solidarności.

I jest chichotem historii, że po 1989 r. – gdy akurat Polska stawała się „atlantycka”, dochodząc do NATO i UE – jakbyśmy się od morza odwracali. Stocznie zamierały. Flota handlowa topniała. Wojenna traciła substancję i busołą. Nasze legendy morskie wietrzały. Bałtyk stawał się morzem biologicznie coraz bardziej martwym. I koczował się głównie z nieprzyjaznym niemiecko-rosyjskim rurociągiem, a nie ze współpracą nadbałtycką.

Najazd Putina na Ukrainę znowu zmienia azymut. Po wejściu Finlandii i Szwecji do NATO Bałtyk to niby *mare nostrum*, z zablokowanym Petersburgiem i Królewcem jako niezatapialnym rosyjskim lotniskowcem. Ale ani dawna „wiślana szyna” z Ukrainy na Bałtyk, ani magistrała węglowa nie działa. Nowe arterie łączą unijną Polskę z Zachodem, ale morskie połączenia z Północą to strategiczne ucha igielne.

Dzisiejsza Polska raczej nie czuje się krajem morskim. Kraj zjednoczonej prawicy, oparty na matecznikach ściany wschodniej, zamyka się w mitach lądowej przeszłości, wrogo traktując obie wiślane oazy liberalizmu – Gdańsk za „niemiecki” nalot, a stolicę za warszawkę. Naszych samych swoich nie ciągnie w świat. Są podejrzliwi wobec obcych i morze oglądają z wygrzebanego własnymi rękami kanałiku przez grzędę Mierzei Wiślanej. Ale i morze ma już niewiele z tej żywej romantycznej legendy, która przyciągała do lektur „Tajemnicznej wyspy”, „Wyspy skarbów”, „Moby Dicka”, „Starego człowieka i morza” czy „Kon-Tiki”.

**David Abulafia, brytyjski historyk wywodzący się z biblijnego rodu, w swym „Bezkrzesnym morzu” (2019) przypomina człowieczą historię oceanów i że Ziemia oglądana z Księżyca to w 70 proc. oceaniczny błękit. To ludzie ten bezmiar**

podzielił na pięć oceanów i setki mórz, ponieważ początkowo znali tylko żeglugę przybrzeżną. Pacyfik to według Abulafii pierwszy i zarazem ostatni z zaludnianych akwenów. Nie dlatego, że hominidzi dotarli z Azji do Ameryki nawet i 50 tys. lat temu, bo przy niskim poziomie mórz doszli tam niemal suchą stopą, ale dlatego, że 60 tys. lat temu przeskoczyli po wyspach do Australii. A 10 tys. lat temu docierali do ukrytych za horyzontem wysp Polinezji, co wymagało zarówno mistrzostwa w budowie kajaków, jak i w nawigacji. Olsniło ono w XVIII w. nawet Cooka, który mając sekstant i gwiazdy, pogubił się na Pacyfiku, podczas gdy zabrani na pokład Polinezyjczycy po kształcie fal i kolorze chmur trafiali do wysp, bo „one zawsze tam były”. Pacyfik to także dlatego ostatni z zaludnionych oceanów, bo na Nową Zelandię Maorysi dotarli dopiero około tysiąca lat temu. Także Wyspy Wielkonoce zostały zaludnione od strony Polinezji, a nie z Peru, jak swoją tratwę chciał dowieść Thor Heyerdahl. Tak czy siak, niebываłe osiągnięcia nautyczne!

Europejczycy dziś są „atlantyccy”. Ale pierwotnie byli ludami dwóch mórz śródładowych – Śródziemnego i Bałtyku. Po Atlantyku także wikingowie długo pływali jedynie przybrzeżnie. Zнали kompas, ale z mieszkańcami północnej Ameryki zetknęli się, ►

► skacząc etapami przez Islandię, Grenlandię, Labrador. Innym śródziemnym morzem były morze chińskie, bo Chińczycy długo nie wypływali na ocean. Ale jak ruszyli, to z całą mocą. Na początku XV w. oceaniczna flotylla Zheng He docierała do Półwyspu Arabskiego. Po czym cesarz nakazał ją zniszczyć, zabraniając dalekomorskich wypraw.

Morska globalizacja zaczęła się już w starożytności. Z Egiptu do Chin żeglarze bezpośrednio nie docierali, ale towary na raty, z rąk do rąk – jak najbardziej. Egipskie statki pływały po Morzu Czerwonym, perskie – po Morzu Arabskim, skąd to i owo docierało do Indii, a stamtąd do Indochin i dalej na północ. Nie był to jeszcze morski jedwabny szlak, ale coś tam o sobie nawzajem wiedzano. Podczas gdy Ameryka nikomu się nie śniła.

**Wiek XV to moment zwrotny. Chiny właśnie zamykały się w sobie.** A ofensywa islamu, zwieńczona zdobyciem Konstantynopola przez Turków w 1453 r., zablokowała Europejczykom nawet pośrednie kontakty z Azją. Jednak Indie nęciły, wymuszając drogi okólnie – najpierw wokół Afryki, potem na przestrzał – na zachód.

Portugalczyki, Włosi i Hiszpanie, Vasco da Gama, Kolumb, Amerigo Vespucci, Magellan globalizowali świat, łącząc trzy oceany i dziesiątki mórz. Wprawdzie papież podzielił nowo odkrywany świat między koronę portugalską i hiszpańską, ale dla protestanckich Holendrów i Brytyjczyków nie miało to znaczenia. Zaczęła się wyścig o zamorskie kolonie i gigantyczny transfer ludności.

Handel niewolnikami od niepiętnych czasów był filarem gospodarki. Nigdy jednak nie przerzucano przez morza takiej masy niewolników jak z Afryki w ciągu 400 lat po odkryciu Ameryki. Afrykańscy łowcy niewolników porwali i sprzedali europejskim handlarzom za błyskotki ok. 40 mln współbraci, z których podróż przez Atlantyk przetrzymał co dziesiąty. Zarazem przywleczone ze wschodu choroby, katorżnicza praca w kopalniach oraz bezlitosne wypieranie z ich ziem dziesiątkowały autochtonów obu Ameryk.

Niewolnictwo oraz hekatomba Indian to dziś wstydlive traumy cywilizowanego świata. W mniejszym stopniu piractwo. Pirateria jest równie stara jak nautyka, do dziś pozostała szczypta legendy „Piratów z Karaibów”, nakładając się na odwieczne wojenne mity nieokiełznanej swobody, odwagi i swoistej samorządności. Piraci przez całe pokolenia władali wybrzeżem dalmatyńskim, dopóki nie zniszczył ich Pompejusz. W XVIII w. europejscy piraci utworzyli na Madagaskarze własną „republikę”, a azjatyccy trzymali w szachu drogę do Indochin.

Zresztą granice między piratami i marynarką wojenną były płynne, skoro władcy opłacali korsarzy, by na własną rękę rabowali statki konkurencyjnego mocarstwa. Od „Odyssey” morskie podróże pociągały poetów. Ale życie na morzu było okrutne. Na niejednym statku ciała buntowników dla postrachu tygodniami wisiły na rejach. W 1628 r. u wybrzeży Australii w wyniku spisku rozbił się holenderski galeon ze skrzyniami ze złotem. Na mającej zaledwie 53 m długości „Batavii” było 303 mężczyzn i 38 kobiet. Rozbitkowie z miejsca rozpadli się na zwalczające się grupy, gwałcąc kobiety i mordując opornych. Po trzech miesiącach zostali odnalezieni. Prowodyrom poobcinano ręce, po czym ich powieszono, a mniej winnych skazano na 2 tys. kijów i dwukrotne przeciąganie podstępka.

Budowa Kanałów Sueskiego i Panamskiego nie od razu położyła kres żaglowcom. Jednak już pod koniec XIX w. setki tysięcy europejskich wychodźców przed głodem, biedą i prześladowaniami docierało do nowojorskiej Statui Wolności na dolnych pokładach coraz większych pasażerskich liniowców. To był drugi – po niewolnikach – wielki transatlantycki transfer ludności.

Katastrofa luksusowego „Titanica” w 1912 r. była wstrząsem. Przyroda lodowatym cięciem zniszczyła niezatapialny cud techniki. Ale „Titanic” to tylko wierzchołek ludzkich prób, błędów i pychy. W 1866 r. do francuskiego brzegu dotarła pocztą butelkowa: „Żegnajcie ojczy, bracie i siostrę, oraz moja kochana Edith. Parowiec »London«, Zatoka Biskajska. Statek nazbyt przeładowany i lichy. Wgniecione okna. Wszędzie wdziera się woda. Niech Bóg pobłogosławi moich osieroconych. Dobry statek przetrzymałby ten sztorm”.

„London” miał 220 pasażerów, a także do 1,2 tys. ton żelaza i 500 ton węgla, tak że jego pokład wystawał zaledwie metr nad powierzchnię wody. Abulafia wspomina, że w latach 1873–74 u wybrzeży Wielkiej Brytanii zatono 400 statków, dodając, że dzisiejsza migracja przez Morze Śródziemne na niezdatnych do żeglugi jednostkach nie jest niczym nowym w dziejach mórz i oceanów, a szybka industrializacja przyniosła zarówno nowe korzyści, jak i nowe niebezpieczeństwa. Po katastrofie „Londona” Samuel Plimsoll, kupiec i liberalny poseł do Izby Gmin, wymusił oznaczenie na każdej z burt statku dopuszczalnej granicy zanurzenia.

**Nowa technologia dramatycznie zmieniała człowiecze dzieje oceanów.** Drewniane kadłuby statków były wypierane przez „żelazka” z łączonych nitami płyt stalowych. Pierwsze rozpadały się na oceanicznych falach. Jednak pod koniec XIX w. kotły i śruby były szybsze i bardziej posłuszne od żagli, a kable transatlantyckie i alfabet Morse’a, a potem także radio, skróciły międzykontynentalną więź niczym internet w naszych czasach.

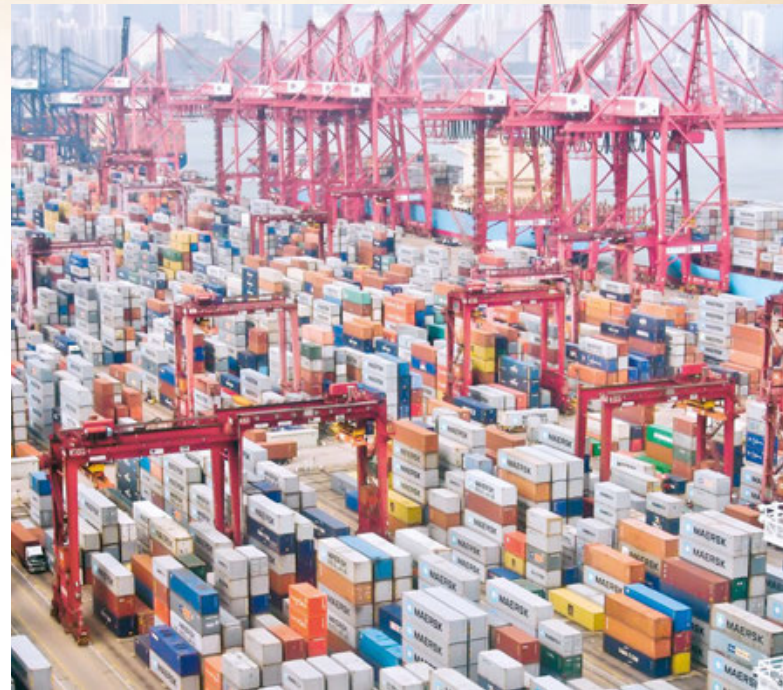
W XVII w. rejs żaglowca z Europy do Chin i z powrotem mógł trwać nawet i dwa lata. Kto wracał pierwszy, ten przywoził najświeższą, zatem najcenniejszą herbatę. Ten handlowy wyścig w XIX w. przerodził się we wręcz sportowe regaty. Gdy Amerykanie zaczęli budować najszybsze klipry, to Anglicy odpowiedzieli budową jeszcze szybszych i piękniejszych. W 1866 r. niemal równocześnie do Londynu dotarły trzy klipry, które 97 dni wcześniej wypłynęły z Chin.

Dziś z tego wyścigu pozostały organizowane od 1996 r. co dwa lata żaglowe regaty wokół kuli ziemskiej. Najbliższy wystartuje w sierpniu z Londynu i zakończy rejs tamże w czerwcu przyszłego roku. W 2018 r. te regaty po raz pierwszy wygrała kobieta, Wendy Tuck z Australii. A jachty, pełne wyrafinowanej elektroniki i sztucznych tworzyw, nie mają nic wspólnego z dawnymi kliprami. Ubiegłoroczny triumfator, Brytyjczyk na sponsorowanym przez Chiny jachcie „Quingdao”, miał do pomocy zespół 63 osób z 10 krajów. I satelitarną obsługę medialną.

Rewolucja techniczna XIX w. rozogniła także wyścig pasażerskich liniowców o Błękitną Wstęgę Atlantyku. Pierwszy rekord – 18 dni, 14 godzin i 22 minuty – ustanowił w 1838 r. brytyjski bocznokołowiec SS „Sirius”. Jego dramata – brak węgla, zastąpienie wszystkim, co drewniane na pokładzie – wykorzystał Verne w „W 80 dni dookoła świata”. W sumie Brytyjczycy zdobyli wstęgę 47 razy, Amerykanie – tylko trzy, za to tę ostateczną z 1952 r., gdy „United States” przebył Atlantyk w trzy dni, 10 godzin i 40 minut.

Co prawda norweski „Cut Link V” był w 1998 r. o cały dzień szybszy, ale Wstęgę już nie przyznawano. Przy konkurencji jumbo jetów przejazd liniowcem trwał zbyt długo. A na rozkoszowanie się luksusem i morską bryzą zbyt krótko. Legendę liniowców podłamała, ale i podsycała katastrofa „Titanica”, do dziś bardziej przykuwająca uwagę niż katastrofa tysięcy „boat peoples”, uciekających kiedyś z Wietnamu, a teraz z Afryki Północnej.

W czasie obu wojen oceany służyły jako szlaki transportowe i pola bitew. Zatonienie „Athenii” 3 września 1939 r. było uwerturą do późniejszej bitwy o Atlantyk w obronie alianckich konwojów przed „wilczymi stadami” U-bootów.



Od lewej: szkółka windsurfingowa w Juracie. Terminal kontenerowy w Hongkongu.

Dziś kobiety samotnie opływają świat i kajakiem przemierzają Atlantyk. Dawniej także pływały po morzach, bynajmniej nie tylko jako wodne nimfy. Niemniej morze to była męska sprawa. Zmaganie z żywiołem, walka z własnymi słabościami. Żeglarze bywali odkrywcami, ale częściej żołnierzami. Toteż wielkie wyprawy miały także bojowy podtekst. Huk dział u nieznanej wyspy miał nauczyć miejscowych moresu. A zwycięskie bitwy morskie, jak pod Trafalgarem w 1805 r., stawały się pomnikiem narodowej potęgi.

Wojny na morzu mają swoje legendy, od greckiego triumfu nad Persami pod Salaminą, Rzymian nad Kartagińczykami, poprzez „boski wiatr”, który w XIII w. uratował Japonię przed Mongołami, a w 1588 r. Anglię przed Wielką Armadą. I te legendy dwóch wojen światowych, w których Niemcy rzucili wyzwanie brytyjskiemu panowaniu na morzach. I przegrali.

Druga wojna światowa na morzu to już także nasza wojna. Ucieczka „Orła” z Tallina do Anglii, przedarcie się „Wilka”, polskie niszczyciele i statki handlowe w atlantyckich konwojach. Ale człowieka historia mórz i oceanów to przede wszystkim kompletny zwrot w wojnie morskiej. Wielkie pancerniki, duma narodowych flot, ginęły od bomb i torped zrzuconych z lekkich, tanich samolotów. Na oceanach obok okrętów podwodnych na pierwszy plan wysuwały się lotniskowce, a na wodach przybrzeżnych ścigacze i eskortowce. Marynarz z żeglarza zmieniał się w inżyniera obsługującego skomplikowane maszyny okrętowe i zbrojeniowe. Ale w powojennej kulturze masowej legenda wojennej służby na morzu nadal trwa.

Miała też swoich medialnych bohaterów, jak John F. Kennedy, który dzięki hartowi ducha uratował załogę swego zatopionego przez Japończyków ścigacza. Druga wojna światowa na morzu – jak dowodzi „Misja Greyhound” (2020) z Tomem Hanksem – wciąż jest telegeniczna i dobrze się sprzedaje. I to pokazywana z obu stron frontu, czego dowodem międzynarodowe sukcesy niemieckiego „Das Boot” z 1981 r. Wojna podwodna to bezprzykładny fenomen XX w. Widza pociąga dramat ludzi w „pływających trumnach”, bajeczna technika i siła rażenia, aż po groźbę

atomowej zagłady – jak w „Polowaniu na Czerwony Październik” z 1991 r. – ale z klasyczną morską opowieścią nie mają już wiele wspólnego. Bo i na naszych oczach rozwiła się człowiecza symbioza z morzem, konstatuje ze smutkiem Abulafia.

**Wybrzeża nie są już punktami orientacyjnymi w podróżach morskich.** Gwarne klasyczne porty stają się przetwórniami, w których pracują nie ludzie, ale maszyny. Hongkong ma dziewięć terminali. Obsługuje dziennie tysiąc statków i 20 mln kontenerów rocznie. Przy czym Hongkong to tylko część morskiej metropolii liczącej 68 mln mieszkańców, z Shenzhen i Guangzhou (Kanton). Chiny zwróciły się ku morzu z takim samym entuzjazmem, z jakim kiedyś niszczyły okręty Zheng He.

Globalne ocieplenie sprawia, że podróże morskie wzdłuż wybrzeży Syberii i Kanady połączą Pacyfik z Atlantykiem, o czym w XVI w. marzyła królowa Elżbieta. W 1940 r. radzieckie łodołamacze przeprowadziły tę trasę na Pacyfik niemieckiego korsarza, statek-pułapkę „Komet”. A w 2017 r. rosyjski tankowiec już bez żadnego wsparcia przeszedł z Norwegii do Korei Południowej. Jednak i tę trasę opanują kontenerowce i nie będzie miała nic wspólnego z podbiegunowymi opowieściami Centkiewiczów.

Cały oceaniczny świat – kończy Abulafia – należy zaliczyć do globalnego dziedzictwa. Tymczasem je szybko niszczy. Trzebimy łowiska, zatruwamy całe akweny. Nawet Pacyfik zdołaliśmy zaśmiecić gigantycznym wirem plastikowych odpadów. Efekt cieplarniany niszczy rafy koralowe, słabnie Golfstrom, zmieniając w Europie klimat z morskiego na kontynentalny.

Toteż morza i oceany kontratakują – alarmował w 2004 r. Frank Schätzing. Jego książka „Der Schwarm” (Ławica) ukazała się po polsku w 2018 r. pod tytułem „Odwet oceanu”. Teraz można tę historię obejrzeć również jako serial na CDA. Zaczyna się od ataku łagodnych zwykle orek na wycieczkowe kutry. I przeradza w groźbę wulkanicznej eksplozji Kanarów. Może więc także implozja batyskafu „Titan” z potomkiem jednej z ofiar „Titanica” to kolejny sygnał mórz, byśmy już tak na nich nie dokazywali?

ADAM KRZEMIŃSKI



Jessica Hausner, „Club Zero”.



Wim Wenders, „Perfect Days”.

festiwale

## Odkrycia i klasycy

**23. Międzynarodowy Festiwal Filmowy Nowe Horyzonty,**  
20–30 lipca Wrocław, 20 lipca – 6 sierpnia online

**P**olskie premiery nowych filmów Hirokazu Kore-edy, Jessiki Hausner i Sachy Polak, retrospektywy Satyajita Raya i Wanga Binga, specjalne pokazy wszystkich części serialu „Królestwo” Larsa von Triera – to najważniejsze wydarzenia 23. edycji festiwalu Nowe Horyzonty. Filmowe lato we Wrocławiu będzie jak zwykle gęste od wydarzeń i emocji.

Festiwal otworzy pokaz „Perfect Days”, filmowej ody do prostego życia, uważanej za powrót Wima Wendersa do reżyserskiej formy. Na zamknięcie widzowie obejrzą „Przejścia” Iry Sachsa, ulubienca Sundance i jednego z czołowych twórców niezależnego kina LGBTQ+. A między nimi: dziesięć dni wypełnionych najlepszym kinem artystycznym, eksperymentalnym i ambitnymi produkcjami głównego nurtu prosto z festiwali w Berlinie, Cannes i Wenecji.

W programie znalazły się m.in. „Club Zero” Jessiki Hausner z Mią Wasikowską w roli manipulującej swoimi podopiecznymi specjalistki od zdrowego życia, „Monster” Hirokazu Kore-edy (najlepszy scenariusz w Cannes), „Odwieczna córka” Joanny Hogg, która po raz kolejny współpracuje z Tildą Swinton, „Silver Haze” Sachy Polak (nagroda Teddy w Berlinie), kontrowersyjny horror Brandona Cronenberga „Infinity Pool” oraz długo oczekiwany nowy film Kuby Czekaja „Lipstick on the Glass”.

Uwagę kinomanów przyciągną także retrospektywy: klasyka kina indyjskiego Satyajita Raya, z jego najsłynniejszą „Drogą do miasta” na czele, chińskiego mistrza dokumentu obserwacyjnego Wanga Binga (proszę nie przegapić jego „Po zachodniej stronie torów”, wnikliwej opowieści o upadku miasta Shenyang, i nie przerażać się dziewięciogodzinnym seansem – to arcydzieło!), francusko-senegalskiej reżyserki Alice Diop, a także skandalisty i prowokatora Alaina Robbe-Grilleta. Zaś w konkursie głównym o nagrody będzie walczyć m.in. najnowszy film Olgi Chajdas „Imago”, niedawno uhonorowany nagrodą FIPRESCI na festiwalu w Karłowych Warach. Jak zwykle część filmów będzie również dostępna online.

JAKUB DEMIAŃCZUK  
Szczegóły: [nowehoryzonty.pl](http://nowehoryzonty.pl)

w telewizji

## Siedem godzin 5/6

**W powietrzu** (Hijack), scen. George Kay,  
reż. Jim Field Smith, 7 odc., Apple TV+

**N**owy serialowy thriller Apple TV+ nie zapowiadał się na hit. Opis i początek zwiastowały raczej powtórkę z rozrywki: ot, zwykły-niezwykły pasażer uprowadzonego samolotu staje do walki z porywaczami. Gra go charyzmatyczny **Idris Elba**, czyli niedawny komisarz Luther i aktor typowany do roli Bonda, więc raczej łatwo przewidzieć, kto wygra. Tymczasem twórcom udaje się jak na razie – dostępne są cztery z siedmiu odcinków – całkiem sprawnie ogrywać schematy, a przede wszystkim budować napięcie. W tym ostatnim pomaga inspiracja sensacyjną, tworzoną po zamachach na WTC,



serią „24 godziny”, w której każdy z 24 odcinków przedstawiał godzinę z tytułowej doby, kluczowej dla losów Ameryki i świata. Akcja „W powietrzu” zaczyna się wraz z wejściem pasażerów na pokład samolotu lecącego z Dubaju do Londynu. Lot potrwa siedem godzin, którym odpowiada siedem odcinków. Elba gra negocjatora korporacyjnego, który jest mistrzem w godzeniu interesów stron np. podczas biznesowych fuzji,

ale nie radzi sobie z kryzysem we własnym małżeństwie. Teraz próbuje gasić napięcia na pokładzie, manipulować porywaczami, pilotami i współpasażerami oraz dać znać o problemach tym na ziemi – gdzie rozgrywa się równoległa część akcji. Nie jest łatwo, napięcie rośnie, nerwy puszcza. A zagadką jest nie tylko to, kto z bohaterów przeżyje, ale też jakimi motywami kierują się porywacze. AK

## Królowa na rozdrożu 4/6

Nolly, twórca serii: Russell T. Davies, 3 odc., HBO Max

**B**ohaterką „Nolly”, trzyczęściowego mini-serialu biograficznego autorstwa Russella T. Daviesa (hitowe „Rok za rokiem” i „Bo to grzech”), jest Noele Gordon, gwiazda nadawanej przez ćwierć wieku opery mydlanej „Crossroads”, oglądanej w porze herbatki przez 15 mln Brytyjczyków. Serial nie śledzi jej bujnej kariery (zanim zaczęła grać w telenoweli, Gordon była m.in. pierwszą kobietą, która w brytyjskiej telewizji przeprowadziła wywiad z urzędującym premierem), skupia się na jednym momencie – tym, w którym szefostwo stacji zdecydowało o nieprzedłużeniu jej, wtedy 62-latkę, kontraktu. Jest rok 1981, w Wielkiej Brytanii stare ściera się z nowym, patriarchalizm z feminizmem i mniejszościami, a Nolly – jak nazywali Gordon przyjaciele i fani (czyli głównie kobiety i geje) jest w centrum tych przemian. Co ciekawe (i świetnie pokazane) znajduje się jednocześnie po obu stronach barykady: w pewnych kwestiach wyprzedza swoje czasy, w innych wydaje się wręcz reliktem przeszłości. Ta niejednoznaczność bohaterki jest wielkim atutem serialu. **Helena Bonham Carter** gra Nolly z rozmachem, jak na diwę z opery mydlanej przystało, pokazując, jak mocno telewizyjna rola przyłgnęła do Nolly, ile dla niej znaczy i że kicz nie musi wiązać się ze śmiesznością, może także z dramatem. Ale jest tu też poczucie humoru i świetnie pokazane lata 80. z telewizją swoich czasów. AK



## Okruchy ze skarbca 5/6

Zbiór 28 klasycznych filmów krótkometrażowych  
Walt Disney Animation Studios, Disney+

**W** ramach obchodów stulecia studio Disneya udostępniła w swoim serwisie streamingowym kolejne, pięknie odrestaurowane filmy krótkometrażowe ze swojej kolekcji. Będą się pojawiać w katalogu Disney+ w kilku transzach przez całe lato i jesień: na początek arcydzieło wczesnej animacji „**Taniec szkieletów**” z 1927 r., w którym kościotrupy balują w rytm muzyki Edvarda Griega („Nie zabierajcie do kin dzieci”, ostrzegają po premierze magazyn „Variety”, chwając jednocześnie osiągnięcia animatora Uba Iwerksa), nominowane do Oscara „Na budowie” (1933 r.), w którym Miki rywalizuje z wrednym brygadziwą, a na dokładkę dwa shorty z kotem Figaro (który do kreskówek trafił prosto z pełnometrażowego „Pinokia”) oraz dwie sportowe historyjki z Goofym. Kolejne małe dowody talentu twórców płynnie łączących animację z muzyką, poprawione błyskotliwym humorem, w tym wczesne filmy z królikiem Oswaldem i Kaczorem Donaldem, trafią na Disney+ wkrótce. A to wciąż jedynie część ogromnego dorobku studia, które zrealizowało ponad 500 krótkich filmów – z czego lwią część do końca lat 60. – zgarniając za nie blisko 40 oscarowych nominacji i 12 statuetek. Kolekcjonerom pozostaje nadzieja, że doczekają się kiedyś kompletu filmów w streamingu. JD

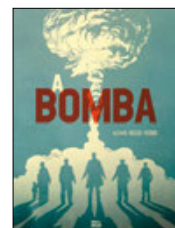


## Świat w czerni i bieli

**E**than Hawke od dawna uzupełnia filmową karierę aktywnością pisarską, a kilka lat temu zadebiutował także jako autor powieści graficznych. Współpracując z rysownikiem **Gregiem Ruthem**, stworzył „In-deh”, epicką opowieść o wojnach prowadzonych przez Apaczów. Teraz ten sam duet podpisał się pod „**Skowronkiem**” (przeł. **Jacek Drewnowski, Mucha Comics, 4/6**). Historia relacji nastoletniego chłopaka z jego wyobcowanym ojcem, strażnikiem więziennym zamieszonym w brudne interesy z gangsterami, zaczyna się niczym dramata obyczajowego, by później zmienić się w gorzki i bardzo krwawy kryminał. Hawke korzysta z całego zestawu narracyjnych klisz, lecz posługuje się nimi sprawnie. Być może scenariusz to przeróbka niezrealizowanego pomysłu na film – Hawke użył zresztą głównemu bohaterowi swojego wizerunku – ale w formie graficznej również wypadła niezle.

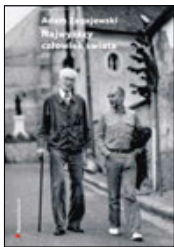


Filmowe skojarzenia wywołuje także „**Bomba**” (scen. **Alcante, LF Bollée, rys. Denis Rodier, przeł. Jakub Syty, Kultura Gniewu, 4/6**) – ważna lektura uzupełniająca dla wybierających się do kina na „Oppenheimera”. Komiks nie jest biografią amerykańskiego fizyka, a raczej opisem skomplikowanej drogi, jaka wiodła od badań nad reakcjami jądrowymi do skonstruowania bomb zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki. Imponujący historyczną starannością album chwilami przytłacza mnogością zdarzeń i nazwisk, ale scenarzyści tę dramatyczną fabułę opowiadają przez pryzmat ludzkich dramatów, wątpliwości i rozterek. Oddają przy tym głos nie tylko naukowcom i politykom, lecz również zwykłym ludziom uwikłanym w historię: jednym z najbardziej poruszających wątków „Bomby” są losy mężczyzny, którego syn był jednym z kamikaze atakujących Pearl Harbor.



Włoski mistrz **Dino Battaglia**, choć należał do tego samego pokolenia co Hugo Pratt czy Sergio Toppi, był do tej pory polskim czytelnikom raczej nieznanym. „**Opowieści grozy**” (przeł. **Paulina Kwaśniewska-Urban, Mandioca, 5/6**), które ukazują się na kilka miesięcy przed czterdziestą rocznicą śmierci artysty, są doskonałym świadectwem jego olbrzymiego talentu. Może scenariusze tych krótkich historyjek nie wydają się niczym szczególnym: to przyzwoite, często dowcipne adaptacje lub trawestacje klasycznych nowel grozy, dzieł Poeego, Stevenson'a i Lovecrafta. Lecz ilustracje Battaglii to już klasa sama w sobie: fantastycznie operujące czernią i bielą, rozpięte między karykaturą a ekspresjonistyczną grozą, są nie tylko ilustracją treści, lecz wręcz ją zdominowały. Niektóre z tych krótkich form zapewne doskonale by sobie poradziły nawet pozbawione tekstu. JD



książki Fragmenty książek na stronie: [www.polityka.pl/czytelnia](http://www.polityka.pl/czytelnia)

## Dar zachwytu 4/6

Adam Zagajewski, **Najwyższy człowiek świata. O Józefie Czapskim**, Wydawnictwo a5, Kraków 2023, s. 256

Józio miał tylko tapczan” – pisze Adam Zagajewski w swojej nieukończonyj książce o Józefie Czapskim. Tapczan był jego miejscem pracy, pisania, myślenia, przyjmowania gości. Kiedy się cieszył – „skakał po tapczanie jak szczupak”. Adam Zagajewski poznał Józefa Czapskiego w latach 80. i wtedy zaczęła się ich przyjaźń, czyli rozmowa o sprawach najważniejszych. Toczyli ją również w listach, wszystko to znajdziemy w tej książce, która zbiera kilka esejów Zagajewskiego o Czapskim, jeden nieukończony tekst związany z wystawą malarza, sporo listów, zapisków z dziennika Czapskiego i wierszy, które przesyłał mu Zagajewski. Dobrze jest czytać o takiej żarliwej przyjaźni, taki ton nadają jej listy Czapskiego. Wyłania się z tych zapisków piękna postać, otwarta i żywa, ale też pełna



zwątpienia i wątpliwości, zwłaszcza wobec własnej sztuki. Czapski głęboko odczuwał cierpienie i okrucieństwo świata, a jednocześnie poszukiwał i potrzebował entuzjazmu i piękna. Zastanawiał się, dlaczego sztuka oddziałuje na nas tak indywidualnie. Obraz, który dla niego był wstrząsem, dla kogoś innego pozostawał obojętny. Zachwytyt był siłą napędową jego życia. Zapisywał te chwile olśnienia, ważne cytaty, które nazywał „złotymi gwoździami”, zapisywał wzruszenia. W malarstwie Czapskiego najciekawsze rzeczy działy się bardzo późno, u schyłku życia. Wtedy już borykał się ze starością, z zanikającą pamięcią, słabnącym wzrokiem, walczył do końca o skupienie, o możliwość tworzenia: „Pal licha! Będę przecie pisał, choć nieczytelnie, ale muszę pisać”.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



## Kto tu dzwoni 4/6

Jo Nesbø, **Nocny dom**, przeł. Iwona Zimnicka, Wydawnictwo Dolnośląskie, Poznań 2023, s. 288

Norweski pisarz przeważnie publikuje kryminały, ale czasem też książki dla dzieci, a w tym przypadku obie te konwencje w pewnym sensie połączył. Wysłała mu z tej mieszanki fantastyczna powieść grozy rodem z serialowego „Stranger Things” albo prozy Stephena Kinga, z nastolatkami na pierwszym planie. Richard Elauved, główny bohater historii, nie jest wprawdzie geekiem, ale w szkolnej hierarchii byłby raczej mało popularnym urwisem. Nie stronią od jego towarzystwa tylko podobni odszczepieńcy. 14-latek do niewielkiej miejscowości Ballantyne (więcej tutaj drzew niż ludzi) trafia po tragicznej śmierci rodziców. Nieokrzesanie chłopaka obraca się przeciw niemu, gdy w mieście zaczynają się dziać dziwne rzeczy, a szkolni koledzy znikają jeden po drugim. W opowieści Richarda nikt nie wierzy, bo i trudno uwierzyć, że kolegę pożarła na jego oczach słuchawka w budce telefonicznej. Tak, to pierwsza scena zbrodni w najnowszej książce Jo Nesbø. Autor zebrał popularne motywy: straszny dom pośrodku lasu, opustoszała biblioteka, tajemnicze zaginięcia, dzieci w głównych rolach, i można by pomyśleć, że stworzył wzorcowy, schematyczny horror młodzieżowy, osadzony najpewniej w USA i w XX w. Czyli zgodnie z dzisiejszą popkulturą modą. Tyle że funduje czytelnikom dwa zwroty akcji i podróże w czasie: Richard dorasta, jedzie do Ballantyne na szkolny zlot i nic już nie jest takie, jakim się zdawało. Najmniej są w tym wszystkim czytelne intencje samego Nesbø: czy to powieść o traumie po utracie rodziców, czy może tylko zgrzywa, gatunkowy miszmasz, literacki eksperyment? Trochę jedno i drugie. Autor skutecznie wodzi za nos i już samo to wypada docenić.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



## Siła głosu 5/6

Aleksandra Tarnowska, **Wniebogłos**, ArtRage, Warszawa 2023, s. 220

Mówi się, że muzyka łagodzi obyczaje, ale w debiutanckim „Wniebogłosie” Aleksandry Tarnowskiej jest zupełnie inaczej. We wsi Tuklęcz wszystkie toczy się spokojnym rytmem. Jednak kiedy kilkunastoletni Rysiek odnajduje w sobie dryg do muzykowania – wszystko się zmienia. Chłopiec śpiewa pieśń pogrzebową przy umierającym

człowieku, który w trakcie występu odchodzi z tego świata. To prowadzi do niespodziewanych wydarzeń. Autorka pokazuje świat polskiej wsi lat 70., opisuje realia życia w wiejskiej społeczności, gdzie wszyscy wszystkich znają, a groby kopie się jeszcze za życia przyszełego właściciela. W książce temat śmierci jest podejmowany bez zbędnej romantyzacji, autorka przygląda się zabobonom. Opisuje czasy, w których zachodziły powolne zmiany w wiejskiej społeczności. U sołtysa już był telefon, ale wdowiec w nowym związku to wciąż był temat tabu. Zresztą postać partnerki ojca Ryśka, Celiny, to jedna z najlepiej zarysowanych bohaterek „Wniebogłosu”. Celina uciekła z domu, wykształciła się, a następnie próbowała odnaleźć się w nowej roli w rodzinnej wsi. Jej stosunek do pasierba pozostaje nieoczywisty. W szkole traktuje go bez taryfy ulgowej, ale pomaga mu w rozwiązywaniu problemów z ojcem. W Tuklęczu jeszcze długo będzie rozbrzmiewał śpiew Ryśka, tak wielką siłą ma jego głos. Podobnie ten świat zostaje w głowach czytelników.

BARTŁOMIEJ PASIAK

na płycie

## Harvey delikatniej 5/6

PJ Harvey, **Inside the Old Year Dying**, Partisan

Na ostatnich dwóch płytach Polly Jean Harvey dominowała perspektywa czulej obserwatorki świata zewnętrznego – zaangażowane teksty były reakcją na tożsamościowy kryzys Wielkiej Brytanii (wybitna „Let England Shake”, album roku 2011 POLITYKI) albo reporterską opowieścią o problemach innych części świata („The Hope Six Demolition Project”). Pierwszy postpandemiczny – i w ogóle pierwszy od ponad siedmiu lat, kiedy to autorka zajmowała się głównie muzyką ilustracyjną – album brytyjskiej artystki to już raczej podróż wewnętrzna. Jak zwykle melancholijna, ale mniej drapieżna, bardzo też poetycka, oszczędna i finezyjna, błyszcząca w detalach. John Parish – znany już ze współpracy przy poprzednich albumach autorki – pomógł stworzyć aranżacje ciekawie balansujące na granicy folku, a pracę producenta Flooda słyhać w drobnych, często dubowych efektach, gdy np. zwielokrotnione zostają pojedyncze głoski śpiewane przez PJ Harvey. Płyta rozkręca się powoli, początkowo zaskakując delikatnością formuły. Fani mogą się zrazu dać oszukać, ale ostatecznie ten bardzo mocny program przekona nawet niedowiarków. Jednak jako że dwa jesienne koncerty PJ Harvey w Warszawie wyprzedają się jeszcze przed publikacją płyty, ci ostatni raczej nie będą już mieli szansy usłyszeć tego materiału na żywo.

BARTEK CHACIŃSKI



## Hałas i melodie 4/6

Happy Pills, **Something Indefinitely Good**, Black Element

Założony w 1993 r. zespół Happy Pills najpierw był uważany za rodzimą ekspozyturę brzmienia promowanego przez brytyjską wytwórnię 4AD, potem za ambasadorów New Rock Revolution. Traktowany przez młode pokolenie polskich fanów grania gitarowego jako zbyt łagodny jak na post-punk i zbyt melodyjny jak na pop, lokował się bliżej marginesów niż centrum, choć umiejętności i pomysłów zawsze miał wystarczająco dużo, by zdecydować się na bardziej śmiałą ekspansję. Najnowszy album, wydany po 13 latach (!) od ukazania się poprzedniej płyty („Retrosensual”) to właściwie kontynuacja stylu rozwijanego przez Happy Pills od początku jego istnienia, tyle że na „Something Indefinitely Good” mamy nieco więcej urozmaicenia. Obok mrocznych utworów, takich jak „Blink”, trafiają się melodyjne, indiepopowe piosenki w rodzaju „Cowboy” czy „Birthday Boy”, no i chyba nieprzypadkowo płytę otwiera nawiązujący do dawnej gitarowej rewolucji „Wrong”, a zamyka refleksyjna, bliska klimatowi rockowej ballady tytułowa piosenka „Something Indefinitely Good”. Połączenie hałasu i melodii wydaje się bardziej aktualne i oryginalne niż odwrotne, w czym spory udział ma producent płyty Paweł Krawczyk, choć nie wiadomo, czy to wystarczy, by zachwycić nowych fanów.

MIROSLAW PĘCZAK



## Gitara, śpiew i Chopin 4/6

Paco Peña Flamenco Company, **Chopin and Flamenco**, NIFC

W Roku Chopinowskim 2010 festiwal Chopin i Jego Europa trwał aż miesiąc, a wśród artystów znaleźli się nie tylko najwybitniejsi wykonawcy tej muzyki, ale też gwiazdy z innych światów muzycznych, jak jazz (m.in. Tomasz Stańko, Uri Caine i Bobby McFerrin) czy flamenco właśnie, poproszone o odniesienie się na swój sposób do muzyki patrona. Dla tych, którzy byli wówczas na koncercie Paco Peña Flamenco Company, płyta ta będzie miłym wspomnieniem, dla miłośników flamenco – drobną niespodzianką. Ale bardzo drobną, ponieważ jest to po prostu koncert flamenco: wszystko tam jest, i wspinała gitara Paco, i śpiew (z lekka ochryply), i nawet odgłosy tańca, którego oczywiście nie widać, ale można go sobie wyobrazić. A Chopin gdzie? W niektórych utworach pojawiają się cytaty z jego dzieł: walców a-moll i cis-moll, Mazurka D-dur, Nokturno Es-dur i Poloneza A-dur, zagrane z subtelnnością. To tylko drobne aluzje, które nie mają dalszego ciągu i nie są przetwarzane w inną muzykę. Małe wyspy, które są chwilami wytchnienia od gorącej namiętności flamenco – i przedziwnie się w ten sposób do kontekstu dopasowują.

DOROTA SZWARCMAN



## galeria

### Czym może być szkło 5/6

Glasstress Sopot: **Odsłonięte rzeczywistości**, Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie, do 22 października

Piętro wyżej, niż mieści się znakomita wystawa Tony'ego Cragga, otwarto właśnie ekspozycję, która w pewnym stopniu do brytyjskiego mistrza nawiązuje. Obie poświęcone są rzeźbom ze szkła, a część dzieł Cragga powstała w tym samym Berengo Studio, założonym przez Adriana Berengo w 1989 r. na słynnej ze szkła wyspie Murano pod Wenecją. Zaprasza ono do pracy licznych artystów ze świata, także tych, którzy tym tworzywem wcześniej się nie zajmowali. Pierwszy pokaz dorobku



pracownicy towarzyszył w 2009 r. weneckiemu Biennale; od tego czasu wystawy pod nazwą „Glasstress” goszczą regularnie także w ważnych muzeach i galeriach świata. Sopotcka prezentacja jest pierwszą w Polsce i zaskakuje swoją różnorodnością w podejściu do tego szczególnego materiału. Są tu nawiązania do form, które zwykle ze szkłem się kojarzą, jak ozdobne zwierciadła (które oczywiście nie pełnią tej funkcji) czy żyrandole (tu fascynują zwłaszcza prace słynnego Ai Weiweia). Są rzeźby, które w ogóle szkła nie przypominają, abstrakcje i portrety, dzieła o hieratycznej powadze i pełne humoru. Polskę reprezentują Maurycy Gomulicki i Xawery Wolksi.

DOROTA SZWARCMAN

Koen Vanmechelen, **Cosmopolitan Fossil I**, 2021 r.

# Dom turysty

„Wczasy. Krajobrazy wypoczynku” to tytuł wystawy otwartej niedawno w Muzeum Architektury we Wrocławiu. Urlop, wakacje, kolonie, a choćby i weekendowy wypad, wymagają nowego, czasowego lokum. Jak wyglądało ono dawniej, jak się zmieniało?



PIOTR SARZYŃSKI

Wrocławska wystawa narracyjnie zaczyna się na początku XX w. Ale to raczej symboliczne otwarcie, wiadomo bowiem, że pierwsze dekady ubiegłego stulecia to nie był czas masowego wylegiwania się na plaży czy wędrówania dla przyjemności po połoniach. Pierwszą ustawę o urloпах Sejm Rzeczypospolitej przyjął w 1922 r., a pierwsza międzynarodowa konwencja ich dotycząca

została uchwalona w 1936 r. Ci nieliczni, których było stać, wyjeżdżali do pensjonatów lub „na kwatery”, a lista miejscowości, w których się wycoczywało, była krótka.

Na wystawie przypomniano więc, choć raczej symbolicznie, kilka realizacji. Bardziej z uwagi na ich interesującą architekturę niż jakąś szczególną rolę w upowszechnianiu masowego wyciecznictwa. Tę listę otwiera schronisko nad Morskim Okiem, zbudowane w latach 1907–08. Później to już lata 30.: utrzymany w ciekawej, modernistycznej konwencji kompleks basenów solankowych w Ciechocinku, Yacht Club w Augustowie (tylko dla oficerów), sanatorium Wiktor w Żegiestowie, świetnie nawiązujące do lokalnej tradycji schronisko na Kostrzycy czy w końcu dom wycieczkowy dr. Bernsteina w Konstancinie (świetny projekt Heleny i Szymona Syrkusów).

## Urlop w ramach

Ale prawdziwy rozkwit „krajobrazów wyciecznictwa” nastąpił dopiero po drugiej wojnie światowej. Ludowa władza dbała, by klasa robotnicza miała gdzie regenerować siły nadwątłone budową socjalizmu. W 1949 r. powołano do życia Fundusz Wczasów Pracowniczych (FWP), organizacyjny moloch, który niecałe 20 lat później zawiadywał 53 tys. miejsc wycieczkowych w 116 miejscowościach rozsianych po całym kraju, z przewagą gór, morza i jezior. Rok po FWP zaś zaczęło działać Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze (PTTK), także dbające o rozbudowę sieci własnych placówek, głównie w górach i nad jeziorami, składającej się z tzw. domów turysty, stanic wodnych, schronisk i baz namiotowych.

Ale to jeszcze nie wszystko. W 1958 r. w branży wczasów, kolonii i podreperowywania zdrowia pojawił się trzeci potężny gracz. Otóż decyzją IV Kongresu Związków Zawodowych od tego roku każdy zakład pracy, jeżeli tylko było go na to stać, mógł samodzielnie organizować wycieczki swoich pracowników i ich rodzin. I ambicją dyrektora każdej, choćby średniej fabryki stało się posiadanie własnej „mety” gdzieś nad wodą, w górach lub choćby w lasach. Na własne ośrodki postawiły też instytucje centralne i wojewódzkie, branżowe związki zawodowe, uczelnie, wojsko, milicja, służba zdrowia... Słowem pospolite ruszenie. W książce „Architektura w Polsce 1945–1989” Anna Cymer podaje, że tylko w pierwszej połowie lat 70. oddano do użytku ponad 1400 domów wczasowych i kolonijnych, a korzystało z nich w skali roku kilka milionów osób.

Oczywiście ów inwestycyjny boom stanowił element świadomej polityki władz, legitymizujące je świadectwo dbania o obywateli. Andrzej Szczerski w książce „Cztery nowoczesności” pisał: „Fundusz Wczasów Pracowniczych można bez wątpliwości uznać za szczególnie przykładowy przykład paternalistycznej opieki nad obywatelem państwa, które nie tylko zapewniało wycieczki i rozrywkę, ale przede wszystkim określało jej ramy”. Te ramy to z jednej strony silnie koncesjonowany i praktycznie ograniczony do kilku zaprzyjaźnionych krajów (głównie Bułgarii) wycieczek zagranicznych, a z drugiej niechęć i mnożenie przeszkód wobec urlopowego „uwłaszczania się” na własnych działkach i we własnych daczach (wyjątek stanowiły tu miejskie działkowe ogrody pracownicze).

## Piramidy luksusu

W czasach, gdy wszystko bardziej zależało od politycznej woli niż administracyjnych procedur, masowo budowano ośrodki wycieczkowe w najbardziej atrakcyjnych miejscach: blisko linii brzegowej morza i jezior, na nieskalanych dotąd górskich stokach itd. Rzecz jasna byli w tym wyścigu po relaks równi i równiejsi. A właściwie silniejsi i słabsi. Ci pierwsi mieli dostęp do bardziej atrakcyjnych lokalizacji, a ośrodki, które stawiali, ►

Kompleks wycieczkowy na zboczach Równicy w Ustroniu-Zawodziu, projektu Henryka Buszki i Aleksandra Franty. Pierwotnie miał się składać z 28 budynków. Ostatecznie od lat 70. do 1990 r. stanęło 17 „piramid” i sanatorium na 800 łóżek. Niedawno powróciła idea dokończenia projektu.



Od lewej: prywatny domek Hyttee z 2019 r. na sudeckim odludziu. Budowa hotelu Gołębiewski w Pobierowie.

► imponowały rozmachem i luksusem, do którego wówczas zaliczano np. własny kryty basen. Na wystawie zebrano kilka przykładów takiego rozmachu.

Jeszcze w latach 60. w Bukowinie Tatrzańskiej stanął Harnaś, monumentalny ośrodek wypoczynkowy należący do Centralnego Zjednoczenia Spółdzielczości Pracy. Z kolei w 1981 r. w Szklarskiej Porębie przyjął pierwszych gości dom wypoczynkowy Granit, zaprojektowany na zlecenie KC PZPR. Przyciągał uwagę nie tylko ciekawą, świetnie wkomponowaną w zбочe architekturą, ale też niespotykaną wówczas w polskich standardach urlopowych jakością usług. Znalazło się tu miejsce dla krytej pływalni, kortów tenisowych, sali widowiskowej i licznych boisk. Łabędzi śpiew komunistycznych władz.

Jednak najbardziej spektakularnym przedsięwzięciem okazała się wypoczynkowa zabudowa znajdującego się w Beskidzie Śląskim Ustronia. Pod koniec lat 50. podjęto decyzję, by miasteczko uczynić głównym ośrodkiem wypoczynkowo-sanatoryjnym dla górników z nieodległej aglomeracji śląskiej. Przyczółkiem okazał się kameralny i wyśmienicie wpasowany w otoczenie ośrodki Związku Nauczycielstwa Polskiego (dziś Nauczyciel), otwarty w Ustroniu-Jaszowcu w 1963 r.

Ale główne uderzenie poszło w stronę znajdującego się po drugiej stronie Wisły dziewiczego terenu Ustronia-Zawodzia. Stopniowo wdrażany w życie projekt, zaproponowany przez dwóch słynnych śląskich architektów Henryka Buszkę i Aleksandra Frantę, zakładał postawienie na zboczach Równicy gigantycznego, składającego się z 28 budynków, kompleksu wypoczynkowego. Ich architektura przypominająca, co kto woli, wigwamy, górskie szczyty czy skały jednych zachwycała, innych oburzała bezkompromisowym wkroczeniem w dziką naturę. Pierwsi wczasowicze trafili tam w 1972 r., zaś ostatni z budynków (ale nie ostatni z zaplanowanych) oddano do użytku w 1990 r. Ostatecznie stanęło 17 „piramid” i ogromne, mieszczące 800 łóżek, sanatorium. Co ciekawe, ostatnio powróciła idea dokończenia dawnego projektu zagospodarowania Zawodzia. Zadanie to powierzono

dwóm projektantom (obaj są zresztą laureatami Nagrody Architektonicznej POLITYKI): Robertowi Koniecznemu i Maciejowi Francie, wnukowi dawnego projektanta.

### Wypoczynkowa dwupolówka

Większość z tych potężnych domów wypoczynkowych czy sanatoriów wprawdzie z konieczności ingerowało w naturalne krajobrazy, ale równocześnie prezentowały wysokie walory architektoniczne i urbanistyczne, czyli projektowano je tak, by jak najlepiej się zintegrowały z przyrodniczym otoczeniem. Cóż, tworzyli je często architekci z najwyższej półki. Ale niedużo realizacje także potrafiły zachwyć. Jako wzorcową podaje się najchętniej budowę Domu Turysty PTTK w Płocku w latach 1957–61. Marek Leykam zaprojektował budynek nie tylko pięknie położony na wysokiej skarpie, ale także – jak na owe czasy – niezwykle nowoczesny, nawiązujący do koncepcji Le Corbusiera, zachwycający rzeźbiarską formą. Słusznie przypomniano go na wystawie.

O ile socjalistyczni potentaci budowali z rozmachem, o tyle mniejsze zakłady pracy stosowały zazwyczaj metodę wypoczynkowej „dwupolówki”. Pośrodku pozyskanej działki stawał więc modernistyczny pawilon mieszczący na parterze stołówkę i świetlicę, a na piętrze (lub dwóch) rzędy identycznych, niedużych pokoi z obowiązkowym balkonikiem lub loggią. Natomiast wokół urlopowiczów zapraszały rozsiane po terenie tzw. domki kempingowe. W wersji najuboższej zbudowane z płyt pilśniowych, w lepszej – z drewna i w „luksusowej” – murowane. Modeli i wariantów było co niemiara, ale do dziś przetrwała pamięć o dwóch spośród nich.

Pierwszy to Brda. Miał kształt szałasu czy namiotu. Produkowany od 1975 r., choć pierwsze projekty pochodzą jeszcze z lat 30. XX w., w zależności od wersji mierzył od 40 do 70 m kw. Szacuje się, że na rynek trafiło ich kilka tysięcy i praktycznie trudno było nie natknąć się na nie podczas urlopu. Znacznie rzadziej spotykany w wakacyjnym krajobrazie, za to bardziej osobliwy, był zaprojektowany w 1967 r. Diogenes. Miał kształt lekko spłaszczonej



Od lewej: basen w hotelu Pieniny Grand w Szczawnicy, zrewitalizowanym dawnym domu wypoczynkowym Hutnik. Dom w Potoczku.

beczki, zawsze o tym samym przekroju, ale o różnej długości, wahającej się od 3,4 do 6,8 m. Ciekawe, że moda na domki letniskowe wydaje się wracać, a ich oferta na rynku jest dziś ogromna. Od importowanych po rodzime, z różnych materiałów i o różnym poziomie komfortu i wyposażenia oraz o różnej estetyce, od minimalistycznej po „góralską”.

### SPA dla duszy

Po 1989 r. wzorce i standardy urlopowania uległy w Polsce rewolucyjnym wręcz zmianom. Z jednej strony masowo zaczęły upadać zakłady pracy, a ich ośrodki wypoczynkowe zaczęły przechodzić w prywatne ręce. Niektóre sprawnie zrewitalizowano i przerobiono na luksusowe hotele, jak np. potężne domy wypoczynkowe Hutnik w Szczawnicy (dziś Pieniny Grand) czy Budowlani w Krynicy (dziś Panorama). Inne, które miały mniej szczęścia, dogorywały w coraz bardziej zdegradowanym kształcie. Bardzo ciekawy architektonicznie Delfin w Jastrzębiej Górze, niegdyś należący do kopalni węgla Thorez, w ogóle został zrównany z ziemią. Praktycznie przestał istnieć także potężny Fundusz Wczasów Pracowniczych, zamieniając się na fali uwłaszczenia w komercyjną spółkę.

Z drugiej zaś strony ewoluowały oczekiwania i możliwości rodaków. Naród się bogacił i marzył o czymś więcej niż o leżaczku ustawionym nad Brdą. Wejście do strefy Schengen sprawiło, że masowo ruszył na wczasy za granicą. Mniej zamożni do Egiptu czy Turcji, bogatsi – do Włoch czy Francji, a najbogatsi na Dominikanę, Bali czy Malediwy.

Rywalizacja o czasowiczków z gotówką i walka o zatrzymanie ich w kraju wymagały inwestycji i pomysłowości. Wysiłek poszedł w „podarowanie odrobiny (a nawet więcej) luksusu”. Stąd niezwykła popularność ośrodków SPA, zapewniających nie tylko komfort wypoczynku, ale też mniejszy lub większy wachlarz zabiegów kosmetycznych, a nawet fizjoterapeutycznych. Do dziś rosną one jak grzyby po deszczu praktycznie we wszystkich regionach kraju, czasami budowane od podstaw, czasami otwierane

w starych, adaptowanych ośrodkach wypoczynkowych, a nawet w zamkach i pałacach (to specjalność Dolnego Śląska).

Co pozostaje mniej zamożnym? Czasami choćby miraż luksusu, co świetnie zrozumiał Tadeusz Gołębiowski, budując swoje imperium hoteli molochów w Mikołajkach, Wiśle, Karpaczu, a ostatnio w Pobierowie. Ale w kapitalistycznej rzeczywistości podstawową alternatywą dla dawnego FWP i ośrodków zakładowych stały się, niemal wskrzeszone z niepamięci, kwatery prywatne. W PRL działały jako pojedyncze pokoje, wygospodarowywane na czas wakacji w dużych mieszkaniach lub domach jednorodzinnych. Dziś są to mieszkania od początku budowane z myślą o turystycznym wynajmie.

Mimo dekad socjalistycznego prania mózgow w narodzie nigdy nie umarła myśl o wakacyjnym własnym kawałku podłogi i gdy tylko pojawiły się możliwości, zaczęto z nich korzystać. Domy letniskowe, o różnym standardzie i wielkości, wciskają się dziś wszędzie. Oblepiają coraz szerszym pasem brzegi jezior (a nawet wchodzą na same jeziora pod postacią domków pływających). W pęczniejącym pasie nadmorskim skutecznie mieszają się z apartamentowcami pod wynajem. Anektują leśne zakątki, atakując coraz to nowymi patentami na wypoczynek (ostatnio modne domki na drzewach). Od banalnych, powtarzalnych, po unikatowe, prezentujące światową klasę, jak Arka wspomnianego Roberta Koniecznego, stojąca w Brennej na stoku Równicy.

Na wrocławskiej wystawie najświeższą pokazywaną realizacją jest niewielki prywatny Domek Hyttee z 2019 r., który stanął na sudeckim odludziu. Znaleźć w nim można wszystko, co współcześnie ważne: naturalne lokalne materiały, niezależność energetyczną, obietnicę wyciszenia i całkowitego oderwania się od cywilizacji. Podobny, jeśli chodzi o filozofię budowania i wypoczynku, jest – zresztą także obecny na ekspozycji – Dom w Potoczku. Całkowite przeciwieństwo odpoczywania stadnego, z którym wszak łączy go jedno – wyczekiwanie na upragniony urlop lokatorów „krajobrazów wypoczynku”.

PIOTR SARZYŃSKI

# Era Kundery

ALEKSANDER KACZOROWSKI

Śmierć Milana Kundery to koniec epoki, w której czescy pisarze zmieniali świat.

**G**dybym miał wskazać jedną książkę Milana Kundery (1929–2023), którą powinien przeczytać każdy, byłyby nią jego najstynniejsza powieść „Nieznosna lekkość bytu”. Wydana w 1984 r. we Francji, uczyniła go autorem ze szczytów list bestsellerów w krajach Europy Zachodniej i USA, a zarazem rzecznikiem Europy Środkowej i Wschodniej podczas najważniejszych debat intelektualnych epoki schyłku komunizmu. Jak nikt inny potrafił uczynić doświadczenie mieszkańców państw skolonizowanych po drugiej wojnie światowej przez Moskwę doświadczeniem uniwersalnym, interesującym i zrozumiałym dla czytelników po obydwu stronach żelaznej kurtyny. Ta powieść, wraz z opublikowanym w tym samym roku na łamach „New York Review of Books” esejem „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej”, zmieniła postrzeganie naszej części Europy i sprawiła, że jej los stał się zagadnieniem o znaczeniu kluczowym dla przyszłości świata.

Kundera był predestynowany do odegrania kluczowej roli w tym historycznym procesie. Urodzony 1 kwietnia 1929 r. w Brnie na Morawach, w młodości utożsamiał się z komunizmem i rozprawie z własnym zaangażowaniem poświęcił swoje najlepsze książki. To doświadczenie uczyniło go jednym z najbardziej przenikliwych krytyków złudzeń, którym ulegamy w życiu prywatnym i publicznym, bez względu na to, kiedy i gdzie przyszło nam żyć. Każda powieść czeskiego pisarza jest próbą zrozumienia, dlaczego ludzie, choćby mieli najlepsze intencje, ostatecznie sprowadzają nieszczęście na siebie i swoich bliźnich; dlaczego niewinny żart może sprawić, że człowiek w jednej chwili – czy to w epoce Kominternu, czy internetu – staje się wrogiem publicznym. Jego bohaterowie bronią granicy między życiem prywatnym i publicznym – i na ogół ponoszą klęskę. Każdy z nich zderza się ze światem zewnętrznym pod postacią komisarza, biurokraty czy samozwańczego strażnika moralności.

Jestem hedonistą zmuszonym żyć w świecie upolitycznionym ponad wszelką miarę – gdy wypowiedział te słowa w rozmowie z amerykańskim pisarzem Philipem Rothem w połowie lat 80., nie miał na myśli jedynie swoich doświadczeń z życia w komunistycznej Czechosłowacji. Nigdy nie demonizował tamtejszego ustroju – i nie idealizował zachodniego kapitalizmu. Dwukrotnie wyrzucony z partii (w 1950 i 1970 r.), przez całe życie wyznawał lewicowe poglądy; podczas praskiej wiosny 1968 r. należał do zwolenników „socjalizmu z ludzką twarzą”. Pierwsze zbiory wierszy wydał już w latach 50.; w następnej dekadzie zyskał uznanie jako dramaturg i prozaik, ale prawdziwy rozgłos przyniosła mu debiutanka powieść „Żart” z 1967 r. Zekranizowana rok później przez Jaromila Jireša, uchodzi do dziś za najlepszy portret zbiorowy pokolenia, które w epoce stalinizmu uwierzyło, że trzyma w dłoniach ster historii.

Autor „Żartu” nie zdecydował się na emigrację po inwazji wojsk państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. Wyjechał z kraju dopiero siedem lat później, gdy stracił nadzieję, że będzie mógł jeszcze publikować tam pod własnym nazwiskiem lub wrócić do wykładów na macierzystej uczelni FAMU, praskiej szkole filmowej. Osiadł

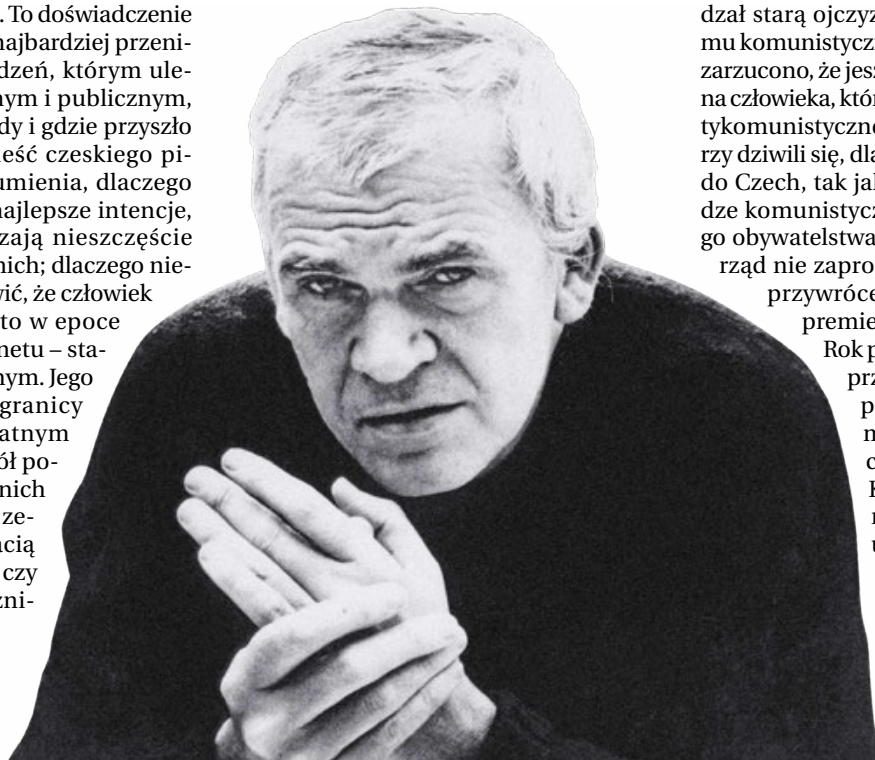
we Francji, gdzie zaproponowano mu prowadzenie zajęć z literatury na uniwersytecie w Rennes, a następnie w Paryżu. We Francji napisał dwie znakomicie przyjęte powieści: „Księgę śmiechu i zapomnienia” (1979) i „Nieznosną lekkość bytu” (1984), zekranizowaną cztery lata później przez Philipa Kaufmana. Wydał też zbiór esejów „Sztuka powieści” (1986), napisanych – podobnie jak wszystkie kolejne książki – w języku francuskim. Pod koniec dekady był jednym z najpoczytniejszych pisarzy na świecie.

**G**wiazda Kundery przyblakła po 1989 r., wraz z upadkiem komunizmu w Europie Wschodniej. Jego francuskie powieści wzbudzały coraz mniejsze zainteresowanie, on sam nie udzielał wywiadów. Wydał dwa zbiory esejów, „Zdradzone testamenty” (1993) i „Zasłone” (2005), w których przedstawił oryginalną interpretację powieści jako gatunku literackiego o kluczowym znaczeniu dla rozwoju nowożytnej kultury europejskiej. Zarazem jednak stanowiły wymowne świadectwo braku zainteresowania pisarza rolą zaangażowanego intelektualisty, którą odgrywał przed 1989 r.

Ostatnie lata życia Kundera poświęcił przygotowaniu czeskich wydań swoich książek; większość z nich sam przełożył na język ojczysty. Rzadko jednak odwiedzał starą ojczyznę, gdzie wypominano mu komunistyczną przeszłość (a w 2008 r. zarzucono, że jeszcze jako student doniósł na człowieka, który okazał się kurierem antykomunistycznego podziemia). Niektórzy dziwili się, dlaczego nie wraca na stałe do Czech, tak jakby zapomnieli, że władze komunistyczne w 1979 r. pozbawiły go obywatelstwa i żaden demokratyczny rząd nie zaproponował pisarzowi jego przywrócenia; uczynił to dopiero premier Andrej Babiš w 2019 r.

Rok później pisarz postanowił przekazać swoje archiwum pisarskie rodzinnemu miastu. Uroczyste otwarcie Biblioteki Milana Kundery w Brnie miało miejsce w dniu jego 94. urodzin 1 kwietnia 2023 r.

Dla mnie pozostanie jednym z największych pisarzy XX w. ■



# Posypani artystycznym pyłem

PRZEZ CAŁE STULECIA SZTUKA SŁUŻYŁA GŁÓWNIEM CIESZENIU OCZU. W XX W. STAŁA SIĘ NIEOCZEKIWANYM, CHOĆ BARDZO POŻYTECZNYM SOJUSZNIKIEM PRODUCENTÓW WSZELKICH DÓBR I USŁUG. TAK NARODZIŁ SIĘ ART BRANDING, KTÓRY DZIŚ ŚWIĘCI TRIUMFY I MA SIĘ LEPIEJ NIŻ KIEDYKOLWIEK WCZEŚNIEJ. SZCZEGÓŁOWO OPISUJE TO W SWOJEJ NOWEJ KSIĄŻCE „ART BRANDING 2” IGOR GAŁĄZKIEWICZ.

Igor Gałązkiewicz jest również autorem określenia *art branding* i na co dzień wspiera wiele znanych marek w zrozumieniu, czym sztuka jest w biznesie. Jego doświadczenia w tym zakresie przebijają niemal z każdej strony książki „Art branding 2”. A przykładów dobrze (choć niestety również i źle) wdrożonego w działania firm *art branding*u jest wiele.

Zaczął się niewinnie, a nawet szlachetnie, od narastającego przekonania, że sztuka świetnie nadaje się do budowania wizerunku i prestiżu. Najpierw potężne firmy tworzyły własne kolekcje dzieł sztuki i sponsorowały zacne muzea. Ten trend, szczególnie popularny w USA, Niemczech, ale też w Szwajcarii czy Holandii, przybierał na sile jak alpejska lawina. Korporacyjne zbieractwo na poważnie zaczęło się pod koniec lat 50. XX w., by w latach 90. osiągnąć apogeum. Obliczono, że ponad połowa firm z listy „Fortune 500” ma własne kolekcje sztuki.

Według ekspertów znaczących zbiorów jest na świecie ok. 600–800, w tym kolekcje takich potęg jak bank JP Morgan Chase (30 tys. eksponatów) czy Deutsche Bank, który zebrał 57 tys. dzieł sztuki. Kolekcje korporacyjne wydawały się rozwiązaniem idealnym. Pozwalają efektywnie udekorować własne siedziby, budują pozytywny wizerunek firmy, świadczą o dynamice, otwartości, nowoczesności i szerokich horyzontach. W Polsce lista firm, które postawiły na sztukę jest – niestety – dość króciutka. Wyróżnia się, działająca na kilku artystycznych frontach, Ergo Hestia (kolekcja, własny park rzeźby, prestiżowy konkurs, liczne wystawy i wydawnictwa o sztuce). Swoje kolekcje mają też niektóre banki, jak ING czy mBank.

A jednak z czasem spece od marketingu i promocji zauważyli, że wachlarz możliwości łączenia sztuki z marką jest dużo szerszy i – jak pisał Igor Gałązkiewicz w książce „Art branding” – „coraz więcej firm chce, by magiczny artystyczny pył obsypał ich wizerunek”. Producenci wszelkich dóbr zaczęli więc przyklejać się do sztuki, zaznaczać swą obecność na wystawach, targach i wszelkich wydarzeniach, które wiązały się z malarstwem, architekturą czy designem. Ba, zaczęli



tworzyć własne galerie i centra kulturalne działające pod szyldem dedykowanych im fundacji. Dziś w ten sposób najprężniej działają m.in. Cartier i Louis Vuitton w Paryżu czy Pirelli i Prada w Mediolanie. Ale przede wszystkim firmy zadały sobie pytanie: a dlaczego by tego, co wytwarzamy, nie potraktować jako sztuki?

Zaczął się więc budowanie muzeów, które miały wynieść na piedestał i unieśmiertelnić poprzez posypanie owym „artystycznym pyłem” przeróżne, choć zazwyczaj luksusowe, produkty. Niemcy postawili na piękno zakłete w karoseriach (muzea Porsche, Mercedesa, BMW), Szwajcarzy – oczywiście na sztukę odmierzania czasu (muzea Omegi, Rolex, Patek Philippe’a), zaś Włosi, jakżeby inaczej, na sztukę mody (Armani, Trussardi, Benetton). Były też pomysły mniej oczywiste. Producent mebli Vitra do projektowania swojego kampusu zaprosił najwybitniejszych architektów, a wyrefinowanie ich realizacji podkreślało jakość foteli i krzesłek. Przykłady można mnożyć.

Przed wszystkim jednak eksperci od *brandingu* postanowili bezpośrednio zapoznać się z ludźmi, którzy tworzą sztukę (*art*). W ten sposób zmaterializowało się kilka pomysłów, które dziś uznaje się za klasykę gatunku. Do takich należy inicjatywa firmy Absolut, by etykiety produkowanej

przez nich wódki projektowali znani twórcy, co zaowocowało kilkuset dziełami artystów tej rangi, co Andy Warhol, Keith Haring, Louise Bourgeois (z Polski m.in. Mirosław Bałka). Popularnością cieszyła się także inicjatywa firmy BMW, która do pomalowania oddawała mistrzom pędzła swoje nowe modele aut. I tu na współpracę dał się namówić Andy Warhol, ale też David Hockney, Roy Lichtenstein, Alexander Calder czy Olafur Eliasson. Dziś to już niemal reguła, że znane i zazwyczaj luksusowe marki sięgają po znanych artystów, by zaprojektowali jeźli nie sam produkt, to przynajmniej jego handlową oprawę (plakat, opakowanie, logo itd.)

Książka „Art branding 2” dokładnie opisuje, jak artystyczne strategie w dużej mierze przekładane są dziś na język marketingu i branding. Wyjątkowo widoczny staje się proces artyfikacji, czyli nadawania artystycznego wymiaru rzeczom, usługom, a nawet zachowaniom.

Igor Gałązkiewicz pogłębia swoje analizy dotyczące wykorzystywania sztuki na potrzeby strategii komunikacyjnych producentów przeróżnych dóbr. Rozgryza stosowane strategie, obnaża coraz bardziej finezyjne triki stosowane przez speców od marketingu. Oddziela ziarna oryginalnych i kreatywnych w wymiarze kulturowym projektów od plew bezczelnego żerowania na sztuce, wskazując przykłady, gdy sztuka – w zależności od potrzeb – staje się „technologią, strategią, a bywa i opakowaniem”. Szuka związków między tym, jak rozwija się cywilizacja i zmienia świat, a tym, jak „korzysta się” ze sztuki. Szczególnie fascynujące są wątki sięgania po sztukę w kontekście trendów proekologicznych oraz inwazji cyfrowej rzeczywistości (np. sztuka a tokeny NFT). Pokazuje, że sztuka już nie tylko wspiera marki, ale też sama stała się marką. Luwr, Muzeum Guggenheima, Art Basel, Jeff Koons czy Damien Hirst wpisać można na jedną listę z Diorem, Mercedesem, Rolexem. Takie czasy. ■

Materiał powstał we współpracy komercyjnej z Fundacją Artystyczna Podróż Hestii



# Człowiek, który kochał za mocno

Christopher Nolan nie porusza tematów błahych. W „Oppenheimerze” opowiada o najważniejszym, jak mówi, człowieku, jaki kiedykolwiek żył. Wyobraziliśmy sobie ten film przedpremierowo, specjalnie dla Państwa.



KAROL JAŁOCHOWSKI

**B**ył niewątpliwie najmądrzejszym przedstawicielem swego ludu, Atena nauczyła go architektury, astronomii, matematyki, nawigacji, medycyny, metalurgii i innych użytecznych umiejętności, które on z kolei przekazał ludziom” – tak pisał o nim Robert Graves i w takiej roli przedstawi go Christopher Nolan. Robert Oppenheimer, fizyk, współczesne wcielenie greckiego tytana, w sobie poświęconym filmie wdrze się na Olimp poznania. Tam „zapali pochodnię ognistego rydwanu słońca, odłamie kawałek żarzącej się głowni”, by go zanieść na dół, między ludzi – podarować im bombę atomową, niewyobrażalną energię wyzwalaną w chwili rozszczepienia jąder ciężkich pierwiastków.

Nolan zapewne pójdzie tym tropem. Pisząc scenariusz, czytał „Amerykańskiego Prometeusza”. Kai Bird i Martin Sherwin, autorzy tej monumentalnej biografii, która była lekturą obowiązkową na planie filmu, w taką właśnie mitologiczną oprawę wkręcili Oppenheimera. Jej logika wyznaczy i strukturę filmowej opowieści.

Stąd też, kiedy człowiek, który dał ludzkości „atomowy ogień”, zechce poddać go kontroli, uruchomi siły poza ludzką kontrolą, wzbudzi gniew Zeusa. Aparat państwa rzuci na „proroka współczesnej nauki” cień współpracy z komunistami. Oppenheimer stanie się najsłynniejszym męczennikiem powojennego obłędu polowań na czarownice. Epickie kino.

## Scena retrospekcji

Atmosfera filmu Nolana nacechowana będzie fatalizmem. Ma to uzasadnienie w lekturach, którym oddawał się

Oppenheimer jako młody człowiek. Choćby noweli „Bestia w dżungli” Henry’ego Jamesa, wirtuoza języka angielskiego przełomu XIX i XX w. Czytał przyszły uczonek, jak to jej bohater „widział Dżunglę swojego życia i dostrzegł czającą się Bestię; potem, gdy patrzył, zauważył, jakby przez poruszenie powietrza, wyłaniającą się ogromną i ohydną, gotową do skoku, który miał go pochłonąć”. I Oppenheimer miał przed oczami siebie – bohatera na wpół realnego, na wpół fikcyjnego, poddawanego wpływom ciemnej energii fatum.

Tak jak postać, w którą wcielił się Matthew McConaughey w „Interstellar”, tak i Oppenheimer zostanie przez Nolana przedstawiony jako człowiek zaprogramowany do zbawiania ludzkości. Myśl o reformach politycznych utrzymanych w duchu równości, poszanowania praw człowieka oraz przyrody zaszczepli mu już w dzieciństwie Ethical Culture Society,

choreograf, a młodzi naukowcy (średnia wieku wynosiła 25 lat) niczym jego balet. Robert Wilson, późniejszy laureat Nobla za odkrycie mikrofalowego promieniowania tła, wspominał: „W jego obecności stawałem się inteligentniejszy, intensywniejszy, przenikliwszy, poetyczniejszy”.

W chwilach zwątpienia, kiedy kole-dzy kwestionować będą zasadność konstruowania broni tak śmiertelnej jak atomowa, otoczony aurą „anielskiej szczerości” Oppenheimer będzie ich podtrzymywał w przekonaniu sensowności wysiłku. Najpierw z powodów etycznych (tylko bomba powstrzyma Hitlera). Potem, kiedy będzie już wiadomo, że wojna została wygrana przez aliantów – z niewzruszonej wiary, że prezydent Roosevelt nie pozwoli, by broń jądrowa stała się narzędziem uprawiania polityki. Wilson wierzył w Oppenheimera: „Mówił, że ta wojna jest inna niż wszystkie; że to wojna o zasady wolności...”.

### Scena kulminacji

Zdjęcia realizowane przez Hoyte van Hoytemę, kształconego w łódzkiej filmówce operatora filmów Nolana: „Interstellar”, „Dunkierki” i „Teneta”,

oddadzą przedziwną urodę Oppenheimera w każdym detalu, na który pozwala format przeciętnej szerokości 65 mm. Jego błądą jak światło Księżyca skórę, ryzykownie naciągniętą na kości policzkowe, jego oczy o błękitach kwiatów goryczki rosnących na zboczach gór Sangre de Cristo. I te kru-

czoczarne brwi. Oppenheimer w nadekspresywnej (Nolan lubi bohaterów udręczonych już od czasów filmu „Memento”) aktorskiej interpretacji Cilliana Murphy’ego będzie się wydawał istotą nie z tego świata.

To dlatego mimo nieśmiałości tytułowy Robert będzie wchodził w relacje magnetyczne. Jak pisali biografowie, czuł bardzo silne przyciąganie do kobiet, które czuły przyciąganie do niego. Wątki Kitty, żony, której osoby dobrze ją znające nie wahały się nazywać „suką”, oraz Jean Tatlock, lewicowej kochanki, która targnęła się na swoje życie być może nie bez związku z osobą kochanką, znajdują w filmie

Nolana melodramatyczne rozwinięcie. Ale jakkolwiek by się Emily Blunt i Florence Pugh starały, i tak nie przesłonią elektryzującej kreacji Gadżetu (czyli bomby). Kobiety u Nolana grają zawsze postaci drugoplanowe.

Będzie też prawdopodobnie Oppenheimer cytował z pamięci fragment Bhagawadgity, ten o tym, że „stał się śmiercią; niszczycielem światów”. Może też ujrzymy, jak przed testem Trinity (pierwszy ładunek jądrowy) czeka w nocy, w centrum kontroli, na poprawę pogody, przerzucając stronicę poezji Baudelaire’a. Może będzie czytał „Sztuczne raje”: „Są w życiu chwile, kiedy czas i przestrzeń stają się głębsze, a poczucie istnienia ogromnie się nasila”. A widząc, jak niebo nad pustynią Nowego Meksyku się przeciera, gotowe do przyjęcia eksplozji, otworzy „Kwiaty zła”: „Czy jesteś, Piękno, z nieba czy też z piekła rodem?”.

W trakcie finalnego odliczania wstrzyma oddech, spojrzy w przestrzeń, a po oślepiającym błysku jego twarz – jak opowiadał towarzyszący mu generał – przybierze wyraz niezwykłej ulgi. Niedługo potem przyjdzie jednak rozpacz, przekonanie, że „zniszczenie całej rasy ludzkiej jest nieuniknione”.

W kolejnej scenie Nolan obsadzi swojego bohatera w roli ofiary systemu ucieleśnianego przez Komisję Energii Atomowej. Jego sprzeciw wobec braku transparentności w dyskusjach i działaniach związanych z bronią atomową, niezgoda na rozwój bomby termojądrowej i nieznośny w czasach zimnej wojny lewicowy liberalizm dadzą sokołom patriotycznego wzmożenia pretekst do pokazowego procesu i odsunięcia Oppenheimera od tajemnic państwowych.

„To go prawie zabiło, duchowo na pewno”, mówił Isidor Isaac Rabi, fizyk i konsultant projektu Manhattan. Nowy archetyp bohatera, uduchowionego uczonego, „chodzącego symbolu ery atomowej” został przy udziale mediów rozbit w pył. Gloria chwały – zniszczona. Jak ranne zwierzę Oppenheimer wycofał się w cień. Nolan przejmująco ukaże tę inepcję – przenoszenie na kolejne poziomy upokorzenia. Może nawet w czerni i bieli.

### Scena refleksji

Nie ma pewności, czy reżyser zwróci uwagę na dramatyczne niespójności w opowieściach współpracowników, znajomych i przyjaciół Oppenheimera. Czy da do zrozumienia, że szef projektu Manhattan miał w sobie coś z enigmaty, coś z wielorękiego egzotycznego bóstwa, ale i coś z Allenowskiego Zelig? „Był ▶

Cillian Murphy w roli Roberta Oppenheimera. W kółku: słynny fizyk w 1946 r.



do którego szkół, będąc dzieckiem zamożnej żydowskiej rodziny, uczęszczał. Oppenheimer zawsze przejawiał dumę oraz niepowstrzymany upór w dążeniu do celu.

Dorobek naukowy miał imponujący, choć trudny do jednoznacznej oceny. „Jego pomysły były zawsze bardzo interesujące, ale obliczenia zawsze błędne”, mówił jeden z twórców mechaniki kwantowej i noblista Wolfgang Pauli. Potrafił jednak z nadludzką przenikliwością dojrzeć sedno problemu i podsumować dyskusję lepiej niż jej uczestnicy. To dlatego – oraz dlatego, że urodził się w Ameryce, a nie w Europie – został wyznaczony na szefa naukowego projektu Manhattan. W Los Alamos, gdzie fizycy w tajemnicy budowali bombę, Oppenheimer był jak milczący

► z niego bardzo potrafiący się dostosować gość”, wspominał Rabi. „Kiedy był na fali, był bardzo arogancki. Kiedy rzeczy obróciły się przeciwko niemu, potrafił grać ofiarę”. A sam wiele wycierpiawszy, nie spieszył z pomocą innym pokrzywdzonym przez władzę.

Rabi mawiał, że nadmiar możliwości, jakimi Oppenheimer dysponował w młodości, utrudniał wybór tej najtrafniejszej. Nigdy więc nie wypracował zintegrowanej osobowości. Czytał wiele, także dzieła Dalekiego Wschodu, ale zdawał się w nich szukać usprawiedliwień nieoczywistych decyzji etycznych, a nie zniuansowanych refleksji. Imię Garudy, boga przewożącego Wisznu po łuku nieba, nadał jednemu z Chryslerów подарowanych mu przez ojca.

Jego wiedza o świecie mimo wykształcenia była wąska, a początkowo uparcie naiwna. Z fascynacji Związkiem Radzieckim uleczyli go doświadczeni życiem Europejczycy George Placzek i Victor Weisskopf w 1938 r., ale wiary w sam komunizm nie porzucał jeszcze przez długi czas. Jego bezrefleksyjność i zaufanie do władzy były niezmiernie. Nie wpłynęła nań nawet decyzja polskiego fizyka Józefa Rotblata – jedynego naukowego uczestnika projektu Manhattan, który na wieść o tym, że zasadniczym celem bomby jest podporządkowanie Rosjan, zrezygnował z uczestnictwa.

Usprawiedliwia Oppiego częściowo fakt, że w świecie fizyki był zaledwie prorokiem, bogiem zaś Niels Bohr, ojciec mechaniki kwantowej, przekonany, że model otwartego świata, znanego ze środowiska naukowego, można przeskalować na relacje polityczne. Był jeszcze jeden kłopot z Oppenheimerem: kochał kobietę, która nie kocha jego – rząd Stanów Zjednoczonych, jak miał powiedzieć Einstein.

Nie będzie też raczej Nolan wyjaśniał niuansów motywacji bohatera. Tych, o których fizyk Roy Glauber mówił mi kiedyś przed kamerą: „Wielcy »starzy« uczestnicy projektu Manhattan liczyli po 37–38 lat. Bethe na przykład. Weisskopf, Oppenheimer – to byli ludzie dobrze po trzydziestce, którzy w większości przypadków nie zdążyli wziąć udziału w wielkiej rewolucji kwantowej z lat 1925–26. Spóźnili się o rok, dwa w kolejce do sławy. Nie dane im było napisać epokowych dzieł o strukturze atomu i mechanice kwantowej. Nie dostali tej wielkiej szansy, ale historia dała im inną, w latach 40. Mogli kierować projektem”.

Zabraknie w „Oppenheimerze” rekonstrukcji spotkania z przyjaciółmi, do jakiego doszło w 14. rocznicę zrzucenia bomby

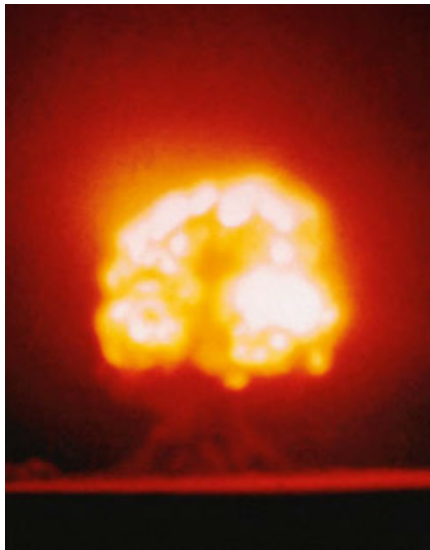
na Hiroszimę. Nancy Gibney, dziennikarka i ówczesna sąsiadka fizyka, wspomina: „Nikt, kto tego dnia obserwował Oppenheimera w gronie rodzinnym, nie mógł kwestionować, że był to jego najwspanialszy moment. Był ewidentnie zakochany w Bombie i swojej władczej roli w jej stworzeniu”.

## Scena śmierci

W Nolanowskim raporcie z kradzieży boskiego ognia będą równania, diagramy, kwantowy dialekt, lecz prawdopodobnie nie będzie słowa o tym, że projekt Manhattan nie był w istocie przedsięwzięciem prometejskim, naukowym – bo baza wiedzy na ten temat była już gotowa od lat. Był wyzwaniem inżynierskim. A skupiając na sobie ogrom uwagi i nakładów finansowych, spowolnił lub wręcz upośledził rozwój fizyki na lata.

Będzie natomiast „Oppenheimer” filmem niezwykle poważnym, bo Nolan nie robi filmów niepoważnych. Próżno szukać Dystansu czy Ironii na jego tablicy Mendelejewa. Pulsująca w rytmie kaskad neutronów, rwana trzaskami licznika Geigera muzyka autorstwa szwedzkiego kompozytora Ludwiga Göranssona podkreśli ważkość tematu. Nolan zdecydowanie nie wejdzie na ścieżkę dawnych twórców, którzy dostrzegli, że kiedy „świat dostał się w ręce obłąkanego psychiatry”, wiarygodniej niż dramat czy nawet tragedia z jego opisem radzi sobie komedia.

Jak w „Fizykach” Friedricha Dürrenmatta. Mówi jeden z nich, Möbius, odkrywca potencjalnie niszczycielskiej Teorii Wszystkiego: „Doszliśmy do końca naszej drogi. Ale ludzkość pozostała



Test pierwszej bomby atomowej, Alamogordo w Nowym Meksyku, 1945 r.

w tyle. Wyszforowaliśmy się naprzód, lecz nie ma nikogo za nami, znaleźliśmy się w próżni. Nasza wiedza stała się czymś straszliwym, nasze badania grożą niebezpieczeństwem, nasze poznanie niesie śmierć. Nam fizykom nie pozostaje nic innego, jak kapitulacja przed rzeczywistością. Nie dorosła ona do nas. Poprzez nas grozi jej zagłada. Musimy cofać się, wraz z naszą wiedzą”. Za późno. Szpetna Matylda von Zahnd, kierująca zakładem dla obłąkanych, w którym przebywają tytułowi fizycy, już ją posiadała. Jej syndykat „będzie panował, zdobędzie kraje, kontynenty, złupi cały Układ Słoneczny, sięgnie aż do Mgławicy Andromedy”.

## Napisy końcowe

Raczej nie pojawi się w filmie obraz następujący: „Nad wszystkim – wzdłuż gruzów miasta, w rynsztokach, wzdłuż brzegów rzeki, splecione między dachówkami i blachą dachową, wspinające się na wypalone pnie drzew – rozpościerał się koc ze świeżej, żywej, bujnej, pełnej optymizmu zieleni. Chwasty już ukrywały popiół, a dzikie kwiaty kwitły między kośćmi miasta. Bomba nie tylko pozostawiła nietknięte podziemne organy roślin; pobudziła je. (...) Szczególnie w okręgu na środku, senna odradzała się w nadzwyczajnym tempie, nie tylko wśród spalonych pozostałości tej rośliny, ale również w nowych miejscach, między cegłami i przez pęknięcia w asfalcie. Wydawało się nawet, jakby wraz z bombą spuszczone ładunek nasion”.

Ten opisany przez znakomitego reportera Johna Herseya widok Hiroshimy ledwie miesiąc po jądrowej apokalipsie jest niecodziennym świadectwem nieispożytej kreatywności i oszałamiającego bogactwa przyrody. I prowokuje pytania: Jakie prawa, poza darwinowską ewolucją, rządzą tą upartą witalnością? W ramy jakiej spójnej naukowo opowieści ujmować ziemski ekosystem? A przede wszystkim, jak tego systemu nie zrujnować bardziej, niżby to zrobiło tysiąc bomb? Stawka jest nieporównanie większa. A to dlatego, że przyroda jest domeną Demeter, łagodnej zazwyczaj bogini płodności, która nauczyła ludzi, jak rozumnie korzystać z jej darów, ale nieposłusznych karała głodem nie do zaspokojenia. Na drugie imię jej było Furia.

Żeby na powyższe pytania odpowiedzieć, potrzeba nie jednego, ale dziesięciu projektów Manhattan. Nie jednego Oppenheimera, ale stu. I na nic się zda heroiczny Prometeusz, bo złożonych pytań jest tysiąc.

KAROL JAŁOCHOWSKI



© JAAP BUITENDIJK/WARNER BROS.

# Powrót Ryana

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Osiągnąwszy przed czterdziestką status gwiazdy, zrobił sobie kilka lat przerwy na ojcostwo. Na ekrany **Ryan Gosling** wraca rolą Kena w „Barbie” w reż. Greta Gerwig, blond przystojniaka uczącego się prawdziwego życia.

**N**iebieskooki przystojniak, często w różowych kąpielówkach albo w sportowej stylizacji, w granatowej marynarce i białych, wyprasowanych w kant, luźno dopasowanych spodniach. Poza tym, że Ken jest chłopakiem Barbie, lalki, na punkcie której szaleją miliony dziewczynek na całym świecie, niewiele więcej o nim wiadomo. Odkąd pojawił się na rynku, czyli od sześciu dekad, jego praca polega głównie na nicnierobieniu.

Ponieważ jednak reżyserii wchodzącej właśnie na duże ekrany filmowej opowieści o kultowych lalkach Mattela podjęła się Greta Gerwig, Amerykanka odnosząca niemałe sukcesy w kinie niezależnym („Lady Bird”, „Małe kobietki”), znana i wpływowa feministka, należy się spodziewać bajki trochę innej niż wszystkie. Do premiery (w Stanach 15 lipca, u nas tydzień później) fabuła „Barbie” stanowiła najpilniej strzeżoną tajemnicę Hollywood. Jeśli jednak wierzyć zwiastunowi, film zapowiada się na gorzką komedię w stylu „Truman Show”. O wygnaniu ze sztucznego raju, oswojaniu śmiertelności, starzeniu się i poznawaniu niedoskonałej codzienności. Nie zabraknie też pewnie komentarza na temat zmieniających się ról społecznych i definicji kobiecości i męskości.

Zwłaszcza ciekawie pod tym kątem zapowiada się rola grającego Kena, u boku Margot Robbie, Ryana Goslinga. Bo w dzisiejszym świecie to mężczyźni wydają się bardziej zagubieni w rolach społecznych, poszukujący tożsamości w czasach, gdy kobiety walczą o równouprawnienie. Kim więc będzie Ken w filmie Greta Gerwig?

## Aktorstwo z escape roomu

W wywiadach Gosling – aktor od pewnego momentu kojarzony głównie z wizerunkiem twardziela i samca alfa, aspirującego, choćby w serii filmów „Gray Man”, do zajęcia miejsca po uśmierconym Bondzie – tłumaczył, że spodobała mu się rola stojąca w sprzeczności z dotychczas granymi. Do tego w jego filmografii brakowało projektu stworzonego przez kobiety i z kobietami na pierwszym planie. Klamka zapadła, gdy po przeczytaniu scenariusza, który mu się spodobał, wyszedł do ogródka pomyśleć nad propozycją roli i pierwszym, co zobaczył, była porzucona przez jego córki figurka Kena: leżała z twarzą w błocie, obok wyciśniętej cytryny. Zrobił zdjęcie i wysłał je Grecie Gerwig z wiadomością: „Będę twoim Kenem, bo ta historia musi zostać opowiedziana”.

Ryan – jak twierdzą jego bliscy – zawsze traktował aktorstwo trochę jak terapię ►



Ryan jako ucieleśnienie mocy w superwidowisku „Gray Man” z 2022 r.

► albo eksperyment. Sam porównał je kiedyś do zabawy w escape roomie: trzeba umieć znaleźć odpowiedzi na trudne pytania, żeby wydostać się z zamkniętego pomieszczenia. W szklanej pułapce zwaną rolę skomplikowane okoliczności też wymagają podejmowania natychmiastowych działań opartych na racjonalnych wyborach, które nie przychodzą łatwo. Znajdując właściwe rozwiązanie, uczymy się za każdym razem czegoś o sobie, a przy okazji może się rodzić sztuka.

Gosling zawsze był otwarty na nieoczekiwane. Można powiedzieć, że się w tym wyspecjalizował. Szukał doświadczeń, filmów, dzięki którym łamałby zagadki cudzej emocjonalności, a przy okazji poznał siebie. Przed nakręceniem „Blue Valentine” (2010 r.), dramatu o rozpadającym się małżeństwie, namówił młodą dziewczynę mającą być jego ekranową córką, by zamieszkała z nim i jego ówczesną partnerką na ekranie i w życiu Michelle Williams. Zanim stanął na planie krwawego thrilleru „Tylko Bóg wybacza”, przez kilka miesięcy trenował w obozach Muay Thai, ucząc się techniki tajskiego boksu. W ten sposób odklejał się od łatki idealnego połączenia grzecznego chłopaka z najfajniejszym kolegą z dzieciństwa.

W kanadyjskiej prowincji Ontario, gdzie dorastał w mormońskiej rodzinie, nikt nie chodził do teatru, bo w pobliżu ich nie było. Młody Ryan nie oglądał niezależnych, ambitnych produkcji, z którymi bywa do tej pory utożsamiany. Interesowały go wyłącznie superprodukcje. Marzył o byciu brutalnym, filmowym herosem, chociaż „po warunkach” widziano w nim właśnie ucieleśnienie delikatnego,

nieśmiałego, miłego chłopca często wpadającego w zadumę, co szalenie imponowało dziewczynom. Do pracy nad zmianą swego emploi zachęcił go wujek, na co dzień szeregowy pracownik papierni w Cornwall (gdzie pracował również ojciec Goslinga), w weekendy wcielający się w Elvisa Presleya. Obserwując jego cotygodniowy muzyczny show w centrum handlowym, Ryan uświadomił sobie, że i jego stać na podobny wyczyn, że może przeistoczyć się w kociącego tyłki wrogom buntownika.

Udało mu się, czego najlepszym dowodem jest odczarowująca wrodzony chłopięcy urok główna rola w dramacie psychologicznym „Fanatyk” (2001 r.). Niezwykłe sugestywnie zagrał superinteligentnego nowojorskiego ucznia jeśziwy, tak bardzo nienawidzącego swego żydowskiego pochodzenia, że decydującego się przejść na stronę antysemitów. Henry Bean, reżyser tego filmu, obsadził go, wiedząc o surowym wychowaniu Goslinga i licząc na to, że pomoże mu to zrozumieć osobliwe zachowanie bohatera. „Fakt, że nie masz naturalnych cech samca alfa, jest powodem, dla którego chcę, abyś był samcem alfa” – oznajmił aktorowi. Od tamtego czasu Gosling nie boi się żadnych wyzwań.

### Synonim słowa mężczyzna

Wychowywała go matka, zarabiająca na życie jako sekretarka z kwalifikacjami nauczycielskimi, oraz starsza siostra Mandi. W nielicznych wywiadach poświęconych temu okresowi Gosling zaznacza, że sam nie identyfikuje się z wyznawcami Kościoła mormońskiego, nie jest osobą

przesadnie religijną, a ukształtowała go kobieca wrażliwość.

W klasycznych wyciskaczach łez: „Pamiętniku” i „Blue Valentine”, melodramatach o rozkwicie i próbach ratowania uczucia, gdzie jego partnerkami były piękne hollywoodzkie gwiazdy Rachel McAdams i Michelle Williams (z którymi miał w tym samym czasie romans), stworzył typ namiętnego przyjaciela kochanka. Zapraszającego do tańca, atrakcyjnego, wiernego aż po grób, w lot odgadującego marzenia ukochanej, umiejącego zaspokoić każdą zachciankę, śpiewającego dla niej ballady i umierającego z tęsknoty, gdy jej nie ma. Banał, ale zaspokajający marzenia o romantycznym modelu związku w czasach szybkich randek i tinderowych zdrad. Został po tych filmach okrzyknięty „synonimem słowa mężczyzna. A co najmniej nowym probierzem tego, co najbardziej w mężczyźnie pożądane”.

Z kolei decyzja aktora, by szukać ciekawych propozycji z dala od mainstreamu, przede wszystkim w niezależnych produkcjach amerykańskich, przyniosła w końcu oczekiwany efekt. Za rolę uzależnionego od narkotyków nauczyciela w dramacie społecznym „Słaby punkt” otrzymał w 2007 r. swoją pierwszą nominację do Oscara. Dekadę później drugą – za musicalowy „La La Land”. Był też pięciokrotnie nominowany do Złotego Globu, m.in. za rolę współczesnego Brutusa w dramacie politycznym „Idy marcowe” George’a Clooneya. Zagrał tam 30-letniego, bardzo ambitnego doradcę kandydata na prezydenta USA z ramienia Partii Demokratycznej, który zbyt późno orientuje się,



W wersji romantycznej, z Rachel McAdams w „Pamiętniku” z 2004 r.

że wpadł w pułapkę misternie zastawioną przez Republikanów.

Łatwość, z jaką Gosling przechodzi na ekranie od anielskiej do demonicznej strony osobowości, stała się poniekąd jego specjalnością. Na równi z kamienną twarzą, która zawsze temu procesowi przemiany towarzyszy. W „Drive”, brawurowym kinie akcji w stylu noir, nakręconym przez Duńczyka Nicolasa Windinga Refna, osiągnął w tym mistrzostwo. Gosling gra tu mistrza kierowcy – w dzień samochodowego kaskadera, nocami wysoko opłacanego kierowcę do zadań specjalnych. Jest samotnym maczo, bandytą z zasadami i zakochanym do szaleństwa idealistą, który z miłości do kobiety podejmuje się „ostatniej misji” i pakuje w tarapaty.

### Pokusa niebycia sobą

Znajomi Goslinga twierdzą, że ta jego elastyczność granicząca z wyobcowaniem opiera się na silnym poczuciu niezależności i jest skutkiem wychowania. W dzieciństwie nie podobała mu się arbitralność kontroli, jaką dorośli sprawują nad dziećmi. Mało kto potrafi w młodym wieku to kwestionować, on umiał. Zachęciła go do tego matka. Pozwoliła mu nie słuchać ludzi nieokazujących mu szacunku.

Gdy nauczyciel tańca raz zaczął z niego żartować, chłopak zrezygnował z zajęć. W szkole podstawowej szło mu fatalnie. Czuł się inny, czytał zbyt wolno, nie zapamiętywał lekcji. Miał zaniżone poczucie własnej wartości. Zafascynowany Rambo, przyszedł kiedyś do klasy uzbrojony w noże. Szkolny psycholog uznał, że z trudnością rozdziela rzeczywistość od wytworów własnej wyobraźni,

podejrzewano opóźnienie w rozwoju. Jego edukacją zajęła się więc matka, przez ponad rok sama uczyła go wszystkich przedmiotów. Ryan nie kontaktował się praktycznie z rówieśnikami. Twierdzi, że dało mu to poczucie ogromnej niezależności, której stara się nigdy nie utracić.

W wolnych chwilach śpiewał z siostrą na weselach, występował w lokalnym zespole baletowym. W wieku 12 lat został przyjęty do Klubu Myszkki Miki w Montrealu, gdzie stawiał pierwsze kroki wraz z Justinem Timberlake’em, Christiną Aguilera i Britney Spears. Był do tego stopnia zdeterminowany, że bez sprzeciwu bite cztery godziny dojeżdżał na przesłuchania pociągami.

Powszechnie wiadomo, że aktorami zostają ludzie, którzy lubią być w centrum uwagi, a oprócz tego mają dar naśladowania innych. „Mnie do tej profesji ciągnęła pokusa ucieczki, niebycia sobą” – zwierzał się magazynowi „GQ”. Moment, w którym to sobie uświadomił, zawdzięcza wspomnianemu wujowi paradyście. „Gdy śpiewał »Suspicious Minds«, widziałem w jego oczach łzy. Czuło się prawdziwe emocje porzucanego przez dziewczynę faceta, którego grał. A po zejściu ze sceny znów stawał się sobą, wszystko wracało do normy”.

Wuj zachorował na raka. Zamknął się w sobie, stracił ochotę do śpiewania. Kilkuletniemu Ryanowi tak bardzo brakowało tych przeżyć, że sam zaczął tańczyć i śpiewać. Jako 17-latek miał już na koncie serię występów w popularnych telewizyjnych serialach i podpisywał z kanałem Fox Kids kontrakt na tytułową rolę w przygodowym „Młodym Herkulesie”,

po zrealizowaniu którego zdecydował się jednak zerwać z wizerunkiem disneyowskiego aktora.

### Domator po przejściach

Jego kariera rozwijała się wręcz podręcznikowo. Miał swoich fanów. Stał się idolem rozchwytywanym przez najlepszych reżyserów. Po sukcesach „Blade Runnera 2049” Denisa Villeneuve’a oraz „La La Land” Damiena Chazelle’a nagle wycofał się z wszelkich aktywności. Przez cztery lata nie zagrał w niczym. Jego partnerka, aktorka Eva Mendes, urodziła im właśnie drugą córkę i chciał spędzić ten czas z rodziną.

Wrócił w superwidowisku „Gray Man”, spełniając dziecięce pragnienia o grze w popularnym kinie komercyjnym, by jak największej osób mogło go zobaczyć jako ucieleśnienie mocy.

42-letni Gosling udziela się również w rockowym zespole Dead Men’s Bones, w którym gra, śpiewa i pisze teksty. Jest współwłaścicielem Tagine, marokańskiej restauracji w Beverly Hills. Angażuje się w działalność społeczno-polityczną, jeździ do Czadu, Ugandy i wschodniego Konga w celu podniesienia świadomości na temat konfliktów w tych regionach. Hołdując zasadzie, by nie ograniczać swoich zainteresowań, zabrał się także do reżyserii, nakręcił ekstremalny thriller „Lost River”, postindustrialną apokaliptyczną wizję inspirowaną upadkiem przemysłowego Detroit.

Obecnie mieszka z rodziną w spokojnym miasteczku w południowej Kalifornii. Jeśli pracuje, zabiera ze sobą bliskich. Zamierza kręcić tylko jeden film rocznie, bo po prostu lubi przebywać w domu. Gosling i Mendes nie mają niani, wychowaniem córek zajmują się sami.

Oto historia Ryana Goslinga. Jaka będzie historia Kena, którą razem z Gretą Gerwig i Margot Robbie opowiedzą w „Barbie”?

JANUSZ WRÓBLEWSKI

REKLAMA

**LETNIA PROMOCJA**  
Kupując elementy legendarnej „Marii” (w wersji białej, kwiatowej lub w nowych pastelowych odcieniach) o wartości 2500 pln otrzymasz bonus 1000 pln!  
www.rosenthal.pl

# Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna  
**Kuby Wojewódzkiego**

Były piłkarz, 50-letni Tomasz Hajto, będzie walczył w formule MMA z byłym siatkarzem Zbigniewem Bartmanem. Cytując złote myśli Tomasza: „Dwa, trzy groźne strzały i koniec meczu”.

W podcaście Onetu „WojewódzkiKędzierski” Marcin Dorociński wyznał, że jego rodzice planowali, iż będzie dziewczynką, a mama z rozpędu przez jakiś czas ubierała go w sukienki. Jak widać, kariera w Hollywood wymaga poświęceń.

Ewa Minge zapowiada powieść pt. „Ubiebrałam arabskie księżniczki”, w której, uważa, wspomina o rozmowie z jedną z modelek, która opowiedziała jej o erotycznej przeszłości pewnej polskiej celebrytki. Jestem przeciwny paleniu książek. Wolę palenie się ze wstydu.

Absolutny brak dystansu do siebie, poczucia humoru i śmieszność zarzuciły media Robertowi Lewandowskiemu, gdy ten nasłał swoich prawników do prostowania memów na własny temat. Najlepszy sposób ochrony przed drapieżnikami to bycie bez smaku.

Fundacja Basta, kierowana przez aktywistkę LGBT Bartę Staszewską, zbiera podpisy pod petycją o usunięcie Jarka Jakimowicza z TVP. Szkoda. Jarek to przykład, że głupiec też jest w stanie wiele osiągnąć, tylko że jego osiągnięcia są głupie.

Polsat News rozpoczął kampanię promującą programy publicystyczne. Obok Agnieszki Gozdyry i Bogdana Rymanowskiego występuje w niej Grzegorz Janowski, przez 11 lat naczelny brukowca „Fakt”. Pamiętam taki tytuł z tej gazety: „Wstyd, żenada, kompromitacja, hańba, frajerstwo”.

Dziennikarz, muzyk, konferansjer Artur Orzech został tatą. W wieku 59 lat. Gratuluję. To duży sukces, aby w tym wieku mieć tak młode dziecko.

Kasia Nosowska, reklamując produkt firmy Danone, sparodiowała na Instagramie nowo konsekrowaną polsko-amerykańską celebrytkę Caroline Derpienski. W mediach szał, a sama bohaterka żąda rekompensaty w kwocie 50 000 000 zł. Tyłu zer nie widziałem nigdy na żadnym bankiecie.

Media informują: „Żochowska, Koślińska i Goździalska wśród uczestników »The Real Housewives Warszawa« w Polsce”. To podobno bajecznie bogate warszawianki. Cholera. Ewidencje czytamy inne bajki.



Monika Sobień-Górska napisała nieautoryzowaną biografię Ani Lewandowskiej pt. „Imperium Lewandowska”. Podobno autorka rozprawia się z licznymi mitami na temat żony Roberta. Może być ciekawie. Monika na co dzień jest żoną znanego satyryka. Ania nie.

„Wiadomości” wynajęły aktora Krzysztofa Rydzelewskiego, aby udawał przypadkowego przechodnia i skrytykował protestujących przed siedzibą TVP. Aktor na początku się przyznał, że został wynajęty, a potem odwołał swoje słowa. Sądząc po efektach, Pan Bóg stworzył go albo w poniedziałek rano, albo w piątek wieczorem.

Efekt Natalii Janoszek trwa. „Super Express” poinformował, że do Edyty Górniak dzwonią ze wszystkich stron świata, a najbardziej to z Londynu. I to będzie wielka kariera. Przepisali to wszyscy bez sprawdzania źródeł. Krytycyzm. Środek przeciwko idiotom. Dostępny bez recepty.

Liroy, były sojusznik Grzegorza Brauna, ze łzami w oczach wyznał w wywiadzie u Krzysztofa Stanowskiego, że była żona ogranicza mu kontakt z dziećmi. Nie dziwię się. To głównie dzieci głosują na Konfederację.

Papaya Films, firma odpowiedzialna za dokument o RL9, przygotowuje podobny obraz o Kubie Błaszczyzkowskim. Fajnie. Nareszcie polski futbol dogonił brazylijskie standardy. W telenoweli.

Karolina Pisarek z mężem wypoczywa w Turcji. Jak donosi serwis Plejada: „Wynajęli luksusowy jacht wart 70 tys. zł”. Luksusowy jacht wart 70 tys. jest jak luksusowa wiedza autora. Nie istnieje.

Małżonka Łukasza Schreiber, Mariana, kilka miesięcy temu zarejestrowała partię Mam Dość 2023. Po to, aby zerwać ze stereotypem pokornej połowicy prawnicowego polityka. Po tym sukcesie wyznała, że rezygnuje z własnej aktywności politycznej i będzie popierać męża.

Prezenterka i stylistka **Malwina Wędzikowska** poprowadzi nowy program TVN pt. „The Traitors”. Format jest prosty. Grupa ludzi musi się nawzajem wyeliminować i zdobyć kasę. Brzmi znajomo? Ja bym to brał do TVN24.



## Ogier plus

**W**tym byłem w Woodstock – zarzucając resztką grzywki, pokazał mi zwykły jednorazowy czeppek pod prysznic, taki foliowy. Czeppek prysznicowy założony na głowę tworzy nimb świętości. Foliowe czepki są dziś zapewne w hotelach bardziej zabronione niż palenie wyrobów tytoniowych w łóżku. Ale opisana scena zdarzyła się w czasach, kiedy w Stanach Zjednoczonych kampery służyły jeszcze głównie do podróżowania, a nie do mieszkania. Na białym czepku widniały pamiątkowe wpisy jego koleżanek i kolegów z 1969 r. – O! Popatrz, a to jest moja bawełniana fustanella, dostałem ją od mojej dziewczyny, Greczynki. – Chodziłeś w tym na wernisaże po Chelsea czy na herbatkę do mamusi na Long Island? – No, co ty, spędziłszy rok na Hydrze i tam z hipisami tak chodziłem. – Jak to rok? A co ze studiami? – Oj, wiesz, wtedy jeszcze Amherst College nie był koedukacyjny, musiałem zrobić sobie rok przerwy. Następnie na moją prośbę leciał pokaz bardzo ładnie wypranych, wyprasowanych damskich bluzek i sukienek różnych rozmiarów. Szafa mojego ówczesnego chłopaka, starszego ode mnie o 25 lat, była przepastna. Jego dziewczyny uciekały, porzucając garderobę, a on z sentymentu lub naiwnej wiary, że może jeszcze wrócić do niego choćby po kaszmirowy sweter, część tych „pamiątek” nadal trzymał w formalinie. Oczywiście, że nosiłam ubrania po byłych kochankach mojego partnera. Dzięki tej szafie mogłam być so vintage. Ja również nie należę do osób, które po rozpadzie związku dezynfekują mieszkanie, fotografie z byłymi odcinają nożyczkami czy wzywają funkcjonariuszy do palenia teczek.

Wszystkie dziewczyny mojego amerykańskiego byłego nadal żyją, ale kumpli, z którymi był na Woodstock, pochował już sześciu. Kilku moich kolegów z podstawówki, liceum i studiów już nie żyje. Z trwogą myślę o dniu, w którym dowiem się, że przeżyłam kogoś z moich byłych ukochanych, nieważne, czy nasze rozstanie spowodowane było jakimiś traumatycznymi zdarzeniami, czy ot, przeterminowana miłość uległa rozkładowi pożywania. Wolałabym umrzeć pierwsza, ale statystyki, jakie są, każdy widzi. Polacy żyją osiem lat krócej niż Polki! To światowy trend, lecz w Polsce ta nierówność jest wyjątkowo duża. Tamten mój chłopak był w Woodstock, ale nie był w Wietnamie. Nie musiał. Argument, że Polacy umierają wcześniej, bo stresy powstańcze tudzież koszmary weteranów ich dręczą? Chyba już tylko zawodowych żołnierzy. Palenie, picie, mefedron – wszystko to owszem, trzepie nieźle, no ale oddział uzależnień w Łukowie pęka w szwach od panów tudzież pań w każdym wieku i z każdej klasy

społecznej. Brak dostępu do lekarzy. Czy mężczyźni mają dalej do przystanku pekaesu, dłuższe kolejki do kardiologa? To może profilaktyka?

Niedawno uczestniczyłam w warszawskim Marszu Równości i w tęczowym miasteczku stoisko miał Uniwersytet Medyczny. W namiocie stały osoby studenckie i prowadziły darmowe szkolenie o tym, jak samodzielnie badać piersi i jak wykonać samobadanie prostaty. Chwilowo nie dysponuję prostatą, ale kto wie, życie nie znosi pustki, wzięłam udział w szkoleniach. My kobiety, choć z oporami, ale zaczynamy zaprzysiężać się z cytologią, a mężczyźni wciąż nie zorientowali się, że należy dobrze żyć z urologiem? A może kobiety lepiej niż panowie radzą sobie z samotnością? Gdy pytam koleżanki, dlaczego mężczyźni żyją krócej i czy widzą ten problem, istną tykającą bombę, zwykle po krótkiej serii dowcipów o tym, że sami urządzili sobie patriarchy, to niech się w nim teraz męczą, następują krzepiące rozmowy o mniej lub bardziej wesołych wdówkach.

A ta cała moda na kobiece kręgi? Kobiety spotykają się w kręgach, zmieniają świat na lepszy, o, widzisz, ten wisior z agatu dostałam od znajomej na kręgach, a moja babcia z sąsiadkami umawiają się i szykują sobie mieszanki ziół. Świat jest pełen samotnych starszych kobiet, ale jest też dużo pań na wykładach uniwersytetu trzeciego wieku czy w wiejskich chórach – jest ich tam wszędzie o wiele więcej niż panów.

**W**ierzę, że są też męskie kręgi inne niż bywanie z piosłem Stanisławem Piętą na strzelnicach – przypominam sobie, że zanim wyszła na jaw afera z porzucaną kochanką posła, która to piękność według niego miała „idealne biodra do rodzenia dzieci”, poseł próbował dbać o bezpieczeństwo Polaków, zwiększając dostęp do broni palnej. W kamasze nikt od lat mężczyzn nie bierze, aż tu nagle stare strachy wracają. Do naszego języka weszły terminy, takie jak „himarsy”, „poborowi” czy najnowszy „gadzet” Joe Bidena, czyli „bomby kasetowe”.

Bombowe to do tej pory panowie mieli transakcje lub wakacje. Czy piwo z młodym, białym, zdrowym nacjonalistą to nie jest właśnie taki źle pojęty męski krąg, na którym ruchy takie jak AfD mogą budować nowe struktury? Może rząd pomyśli nie tylko o 800 plus na coraz rzadziej w przyrodzie spotykane dzieci, ale też o programie, który wspierałby starzejących się mężczyzn i pomagałby im wiesz życie pogodnego staruszka? Program „ogier 800 plus”. Hmm. Gotowi wydać wszystko na jednym dansingu w Ciechocinku, więc „może nie dawajmy im do ręki”, jak mawiają wyborcy przewodniczącego Tuska.

AGATA PASSENT

†  
Może rząd pomyśli nie tylko o 800 plus na dzieci, ale też o programie, który wspierałby starzejących się mężczyzn?

+



## Nasze utopie

**S**łyszę, że Partia chce wiedzieć, czy jestem za przymusową relokacją. Gest to z jej strony uprzejmy jak cmok

Jarosława Kaczyńskiego wyciśnięty na dłoni Joanny Lichockiej pośród ław sejmowych, i ja ten gest doceniam, zwłaszcza że od wyborów w 2015 r. nie zdarzyło się jeszcze, żeby moje zdanie w jakiegokolwiek sprawie zainteresowało rządzących. Oficjalnie moje prawa obywatelskie pozostają w mocy, moim politycznym reprezentantom wolno zabierać głos w parlamencie, jednak władza nieustannie daje mi do zrozumienia, że nie zasługuję na jej uwagę i szacunek, ponieważ jej nie kocham. Spektrum metod, jakimi wielogłowy Majestat okazuje pogardę mnie niewiernej, jest przy tym boleśnie szerokie jak szpagat turecki: a to zwyzywają mnie od ubeckich wdów czy tęczowej zarazy, a to wyłączą mikrofon posłance, na którą głosowałam, a to zawieszają dyrektorkę teatru w moim mieście pod zarzutem kultu waginy. Bo w Najsuwerenniejszej wszystko jest naj i nawet sky is not the limit dla niemiłościwie nam panujących.

Więc owszem, kusiłoby mnie, żeby rozmówić się z Partią, a że wiszące w powietrzu pytanie o relokację otwiera przede mną okno możliwości, korzystam z niego bez skrępowania. Na zapytanie referendalne odpowiadam: „to zależy”. Jest bowiem tak, jak pisał duński filozof: „albo, albo”. Konkretnie: albo oni, albo ja. Przymusowa relokacja Partii w kosmos? Jestem na tak. Ewentualnie, jako plan B, relokacja mojej osoby w miejsce, gdzie nie sięgają macki Partii, żywność jest tania, a klimat łagodny – w takim przypadku również tak. Natomiast w wariancie *à rebours*, czyli ja w kosmos, a oni wręcz przeciwnie, mówię twardo: dwa razy nie.

Smutne to żarty, jeśli uwzględnić, że jedyne referendum, jakie miałyby dzisiaj sens, powinno odpowiedzieć na pytanie, czy chcemy, żeby władza zajęła się rzeczywistymi problemami i pozostawała w komunikacji ze społeczeństwem. Ale o to nikt nie zapyta. Postulat relokacji rządzących na ziemię wydaje się tak naiwny i nierealny, że nawet nie próbujemy się tego domagać. Utopią jest dla nas państwo, w którym dyskutuje się o wyzaniach i szansach migracji, a nie straszy „przymusową relokacją uchodźców”. Utopią jest dla nas państwo, w którym władza przeciwdziała zapaści systemów opieki zdrowotnej i edukacji, zajmuje się mieszkalnictwem, zmianami klimatycznymi i suszą oraz cenami skupu malin, a nie relokuje publiczną kasę do własnych kieszeni 24/7 i osiedla ludziom w głowach brunatno-czarną ideologię. Pokaż mi swoją utopię, a powiem ci, jak głęboko dysfunkcyjny jest kraj, w którym mieszkasz. Jako zbiorowość znaleźliśmy się w położeniu tak żałosnym,

że elementarna racjonalność społeczno-polityczna wydaje się nam ideałem znacznie odleglejszym, niż miało to miejsce w niesuwerennym PRL-u.

Wszystko nas teraz dzieli: wizja przeszłości i przyszłości, styl życia, lęki, nawet kuchnia, tymczasem tę wspólną przestrzeń, w której powinny odbywać się komunikacja i mediacja, zajmuje okupacyjna armia chochołów marketingu politycznego. Jaka to byłaby ulga, gdyby te chore twory obrotowych spin doktorów przymusowo stamtąd relokować. Wyobraźmy to sobie: stacje informacyjne nagle przestają skupować od ludzi władzy ich szpotawe bon moty, przestają roztrząsać przekazy dnia i polaryzujące wrzutki, a zamiast tego, kierując się tym, co ważne dla nas, zaczynają zapraszać ekspertów w różnych dziedzinach i w ogóle mądrych ludzi. Aż drzę z ekscytacji, kiedy pomyślę, ile ważnych tematów zmieściłoby się w tej odzyskanej przestrzeni i z jaką korzyścią dla tkanki społecznej można by w niej nareszcie rozmawiać.

†  
Pokaż mi swoją utopię, a powiem ci, jak głęboko dysfunkcyjny jest kraj, w którym mieszkasz.

‡  
Zamiast o przymusowej relokacji, która nie istnieje, moglibyśmy podebatować na przykład o rzeczywistości istniejącej książce „Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak. Ten rozchwytywany reportaż o życiu kobiet na polskiej wsi przed drugą wojną światową opowiada przecież o niedawnej przeszłości dwóch trzecich naszego społeczeństwa i choćby z tego powodu wart jest publicznej dyskusji bardziej niż PiS-owski

cyrk objazdowy. „Chłopki” przegadują nareszcie to, co od pokoleń było nieprzegadane, i dostarczają kontekstu, bez którego nikt w Polsce nie ułoży swoich rodzinnych puzzli: bez tej lektury nie zrozumiesz, co znaczy wspomnienie o jednej parze butów na całą rodzinę albo nieprzezwykłalny wstręt do zupy z pokrzyw; skąd wzięła się oschłość babki i patriarchalizm ojca, ani dlaczego latami opowiadali ci bajki o waszym rzekomo szlacheckim pochodzeniu.

Czytam o cierpiącej głód matce chłopce, która gotowa była poświęcić wszystko, byle posłać syna do szkoły, ponieważ chciała, żeby nauczył się, jak to ujęła, „odczytywać drogowskazy, gdzie prowadzą drogi w świat za pracą i chlebem”, i dobrze rozumiem, czego pragnęła: żeby przynajmniej jej dziecko miało szansę uciec z nędznego i pełnego przemocy miejsca, w którym nie da się żyć i którego nie można naprawić. Mam wrażenie, że w „Chłopkach” kryje się odpowiedź na wiele naszych pytań o to, co wspólne, a wśród nich na absolutnie kluczowe polskie pytanie: dlaczego nie potrafimy zbudować dobrze działającego państwa dla wszystkich, a tak świetnie umiemy zadbać o siebie. Zachęcam do relokacji uwagi w tym kierunku.

RENATA LIS

# Cóż to jest prawda?



**J**uż Platon złościł się na ludzkie „opinie”, a raczej „dokse”, bo tak mówiło się w Grecji na poglądy. Demokra-

cja przyniosła bowiem Atenom znany do dziś paradoks życia publicznego, polegający na tym, że ogłoszenie prawdy wraz z dowodami wcale nie unieważnia fałszywych mniemań. Nadal można je głosić, „nie zgadzając się” z prawdą. Wolność intelektualnej ekspresji bywa w życiu publicznym wartością ważniejszą niż prawda, mimo że każda opinia pretenduje do prawdziwości i nie chce być tylko „opinią”. Bo też w demokracji nie można nikomu zamknąć ust (choćby i prawdą) i nie ma żadnego autorytetu, który władny byłby rozstrzygać, co jest prawdą. Głosicielom prawdy pozostają jedynie ich argumenty i dowody, a te nie działają i nie są słuchane, gdy ktoś – z racji upodobań, przyzwyczajzeń czy interesów – woli słuchać siebie i miłych sobie treści, nie zważając na cudze pretensje do prawdy i moc cudzych dowodów.

W taki sposób w życiu publicznym powstaje nawis kołtuństwa, bredni, fałszu i mitomanii, których w żaden sposób wypełnić nie można, a które za to mają liczebną przewagę nad słowami prawdy. Fantazji i głupstw jest bowiem więcej niż prawd, gdyż można je bez wysiłku wymyślać. Tej niefortunnej sytuacji wcale nie pomaga łatwość mieszania prawdy z fałszem oraz pokusy, którym ulegają ludzie mądrzy i roztropni, aby do prawdy dodawać coś zupełnie nieprawdopodobnego (na przykład jakiś mit) na użytek mniej wyrobionych odbiorców.

Bo też prawda bywa niebezpieczna i obrazoburcza, a wtedy lepiej ją owijać w bawełnę. Trzeba nią gospodarować oszczędnie i ostrożnie, a najlepiej kontrolować i poskramiać. Od starożytności zajmuje się tym z zapalem władza, posługując się przy tym retorami, nauczycielami i kapłanami. Nowoczesność tylko zacieśniła więź między wiedzą i władzą, twórczo rozwijając propagandę, manipulację i wszelkie „pranie mózgu”, doskonale znane już od tysięcy lat. Niestety, nawet szacunek dla rozumu krzewi się metodami propagandy (bo jakżeby inaczej), w dodatku w jednym pakiecie z pochwałą wolności opinii i słowa.

W taki właśnie sposób narodziła się nowoczesna kultura opinii, dla której własne zdanie jest wartością wyższą niż prawda, na którą wszak nikt nie ma monopolu. Kłopot w tym, że ludzie raczej rzadko wymyślają całkowicie nowe opinie, zarówno fałszywe, jak i (tym bardziej) prawdziwe. W ogromnej większości przypadków przyswajają sobie opinie już dostępne i z przekonaniem bądź nawet bez zastanowienia głoszą je jako własne i przekazują dalej. „Własne” są dlatego, że dany człowiek bez przymusu je głosi, a nie dlatego, że sam do nich doszedł. Tak powstaje pewien standard opinii, który dzięki swemu upowszechnieniu i autorytetowi zaangażowanych w to upowszechnianie instytucji (takich jak szkoła) uzyskuje znacznie większy zasięg i wpływ niż prawda. Bywa, że prawda zostaje wręcz przez opinię

społeczną i instytucjonalną zmarginalizowana, a nawet napiętnowana i zakazana. Sam z łatwością mógłbym wymienić szereg całkiem

oczywistych prawd tak niecenzuralnych, że trudno byłoby je tak po prostu, bez owijania w bawełnę, ogłosić drukiem.

Tak rodzi się kultura hipokryzji, w której królują rytualne deklaracje całkowicie bezpodstawnych opinii, kłamstw i manipulacji, podawanych jako szczerzy i autonomiczny pogląd obywateli. Głupstwa, na równi z prawdą, żyją w społeczeństwie dzięki powtarzaniu ich przez wolne i samodzielne jednostki, deklarujące, że wiedzą i wierzą w to, co mówią. Bzdura, mit i propaganda korzystają ze statusu „komunikacyjnego” takiego samego jak prawda, a mając nad prawdą ogromną przewagę liczebną, wytwarzają w społeczeństwie przekonanie, że prawda jest mitem, a przekonania głosi się nie ze względu na prawdę, lecz społeczną słuszność, czyli dla zaznaczenia, że jest się po właściwej stronie, w dużej i bezpiecznej grupie, bądź po prostu dla zmanifestowania własnego interesu.

**W** dodatku ludzie nic o tym nie wiedzą! To nie jest tak, że w całej tej obtudzie, załganiu i kołtuństwie jednostka złośliwie zaciera rączki, zadowolona ze swych kłamstw, czyli owych rzekomo własnych opinii, które głosi z zapalem gorliwego oportunisty. Większość w ogóle sobie nie zdaje sprawy z różnicy między prawdą a błędem, fantazją, mitem, przesądem, uprzedzeniem itd. Zwłaszcza dziś, gdy racjonalność została powierzona wyłącznie naukom i na skutek udania się w tę delegację całkowicie niemalże osierociła życie publiczne. Ludzie wypowiadają więc „swoje” opinie w dobrej wierze, nie dysponując jasnym pojęciem prawdy ani też nie znając moralnej idei hipokryzji. Trudno zarzucić komuś zakłamanie i hipokryzję, skoro nawet nie wie, co to takiego.

Uczeń podający ugrzecznioną i standardową „interpretację” wiersza Mickiewicza, poprzedzoną rytualną formułką „moim zdaniem...”, przecież nie myśli nawet o tym, że to, co mówi, może być prawdą albo nie. Wie, że wypowiedź może spotkać się z akceptacją bądź nie. Nie ma też żadnych wątpliwości co do tego, że przekonania Mickiewicza są przedmiotem uwagi i traktowane są bardzo serio nie z racji ich prawdziwości, lecz z powodu pięknej formy językowej i sławy tego autora. Generalnie należy przeto uważać je za słuszne, czyli prawdziwe. Czy to jest hipokryzja? Nie, to po prostu zasady komunikacji społecznej. A wyznaczają one prawdziwie, owszem, pewne miejsce, a nawet przywileje (zwłaszcza w inżynierii i medycynie), lecz musi ona jednocześnie „swoje miejsce znać”. Czy się to komu podoba, czy nie, wciąż znacznie silniejszą pozycję od prawdy ma mit religijny, mit narodowy i społeczne przesady. Nie żyjemy w epoce „postprawdy”, bo nigdy nie żyliśmy w epoce prawdy.

JAN HARTMAN

# Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata



**SZANSA NA WYRÓWNANIE**  
**Mundial kobiet**



**DZIKA PRZYGODA**  
**Zakreśony Gabon**



**ŻOŁNIERZE OCKNIĘCI**  
**Nie będą ginąć**  
**za Putina**



**INDIAN(K)A JONES**  
**Phoebe Waller-Bridge**

• TUVALU UCIEKA W CHMURY • MUNDIALOWA GORĄCZKA

Istnieje  
od 1965

# FORUM

NASTĘPNE  
**28**  
LIPCA  
PIĄTEK  
WYDANIE

N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A

nr 15 (14-27.07.2023)  
Cena 12,99 zł (w tym 9% VAT)

ODLICZANIE DLA ODRY  
Kiedy znowu padną ryby?

IDA ŁASEM

Los rosyjskich dezertarów

PARĘ GŁĘBSZYCH WPISÓW  
Co gryzie Miedwiediewa?

TERROR Z TIKTOKA  
Mizernerne żarty

Z FAWELI DO PALACÓW  
Kariera żony Bolsonaro

KTO SZCZUŁ  
I CO BYŁO GRANE?

Majowie pamiętają

SPACEY W OPALACH

Nowy proces

CAR SYPNAŁ ZŁOTEM  
Podróż Krugobajkalką

GĘSTO OD SZACHISTÓW  
Debiut korsykański

RAZ, DWA, TRZY,  
PUTIN PATRZY!  
Gejowskie kluby w Rosji

OSTATNIA

DESKA RATUNKU

Moc w jelitach

DZIKA EGZOTYKA  
Wypad do Gabonu



**Upał!**  
**NIGDY NIE BYŁO**  
**TAK GORĄCO**

## Najnowsze **FORUM** już w sprzedaży!



## Marian Turski: Od 24 lutego to wy jesteście świadkami historii

Jeśli przyjmiemy, że Auschwitz oznacza totalitaryzm, pozbawienie praw człowieka, pozbawienie mniejszości praw, to ono następuje powolutku – mówił podczas Festiwalu Góry Literatury red. Marian Turski. „Niestety następuje to z powodzeniem wtedy, kiedy ludzie się oswiają. Kiedy oprawcy się oswiają. Na tym polega to nieszczęście. Następuje jakaś znieczulica. Brak ludziom tego, o czym mówi Olga Tokarczuk: czułości. Auschwitz będzie mieć inne oblicze w Polsce, Rosji, Ameryce Południowej, Azji, ale zawsze prowadzi do niego przyzwyczajenie, brak protestu, obojętność. Widzę obecnie wiele lęków, strachów, widmo apokalipsy, głodu, braku wody, chorób, epidemii. Ludzie często są bezradni i szukają kogoś, kto ich poprowadzi, kto im da wzór życia. Na to liczą przywódcy dążący do wprowadzenia reżimów. Demokracja wymaga aktywnego – to banał – działania każdego (...). Bez tego upadniemy” – podkreślał. I dodawał: „Od Buczy, od 24 lutego, wy jesteście świadkami historii. Pamiętajcie o waszej odpowiedzialności za historię dzisiaj”.

Spotkanie z naszym serdecznym przyjacielem – i zarazem kierownikiem działu historycznego POLITYKI niemal od początku jej istnienia – zatytułowane „Nie bądź obojętny”, odbyło się w niedzielę 9 lipca na Zamku Sarny w Ścinawce Górnej. Mariana Turskiego słuchało blisko tysięcy osób na żywo, a kolejne tysiące obejrzało transmisję online.

Wśród osób przybyłych na spotkanie z Marianem Turskim była m.in. noblistka Olga Tokarczuk, której fundacja organizuje Festiwal Góry Literatury.

## Kroki powyborcze

Zprzykrością stwierdzam, że w ostatnim wydaniu w artykule Wojciecha Szackiego („Przewodnik wyborczy”, POLITYKA 29) znalazł się błąd. Autor pisze, że pod rządami obojętności Konstytucji RP nie przerabialiśmy drugiego i trzeciego kroku (dotyczącego powoływania rządu – red.). Jest to stwierdzenie niezgodne z prawdą, bo taka sytuacja miała miejsce przy powoływaniu gabinetu Marka Belki.



ADW. KONRAD SŁOMIANA

### Od autora:

Dziękuję za ważną lekturę mojego tekstu. Jest istotnie tak, jak pisze p. Konrad Słomiana – w przypadku rządu Marka Belki w 2004 r. przeszliśmy trzy kroki konstytucyjne. To była jednak końcówka kadencji Sejmu. Artykuł dotyczył natomiast scenariuszy bezpośrednio po wyborach, a w takich sytuacjach wszystkie rządy powstawały już w pierwszym kroku.

WOJCIECH SZACKI

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

© JERZY WYPYCH (2)

<p><b>POLITYKA</b></p> <p>WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA ADRES ul. Słupecka 6 02-309 Warszawa</p> <p><b>RECEPCJA GŁÓWNA</b> tel. 22 451-61-33, 451-61-34; tel./faks 22 451-61-35</p> <p>ADRES INTERNETOWY <a href="http://www.polityka.pl">www.polityka.pl</a> POCZTA ELEKTRONICZNA <a href="mailto:polityka@polityka.pl">polityka@polityka.pl</a></p> <p><b>PREZES I REDAKTOR NACZELNY</b> Jerzy Baczyński tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10</p>	<p><b>CZŁONKOWIE ZARZĄDU</b> Joanna Sołska, Mariusz Janicki, Wiesław Władysław</p> <p><b>Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO</b> Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca), Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03 Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)</p> <p><b>BIURO REKLAMY</b> tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37 e-mail: reklama@polityka.pl Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.), Julian Sobiech (reklama cyfrowa)</p> <p><b>PROJEKTY SPECJALNE</b> tel. 22 451-61-93 ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2. ART. 242 USTAWY PRAWO PRASOWE</p>	<p><b>PRENUMERATA PAPIEROWA</b> <a href="http://www.sklep.polityka.pl">www.sklep.polityka.pl</a> Infolinia: tel. 67 210 86 30, e-mail: infolinia@polityka.pl Monika Kaliszek-Radzko, tel. 22 451-61-00, 451-61-15 e-mail: prenumerata@polityka.pl</p> <p><b>PRENUMERATA CYFROWA</b> <a href="http://www.polityka.pl/cyfrowa">www.polityka.pl/cyfrowa</a> Infolinia: tel. 22 336-79-16, e-mail: cyfrowa@polityka.pl</p> <p>Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA BGZ BNP Paribas S.A. 18 1750 0009 0000 0000 1004 2763 SWIFT: RCBWPLPW</p>	<p>Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.</p> <p>COPYRIGHT © <b>POLITYKA</b> SPÓŁKA Z O.O. SKA</p> <p>Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.</p>	<p>Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy. Kontakt: Maciej Domagała, tel. 22 451-61-25, e-mail: m.domagala@polityka.pl</p> <p><b>DRUK</b> Quadra <a href="http://www.lzbaprasyl.pl">www.lzbaprasyl.pl</a></p> <p><b>PBC</b> PASJON TECHNOLOGIA</p> <p><b>lepa</b> PASJON TECHNOLOGIA</p> <p>PRINTED IN POLAND</p>
---	---	--	---	---



D I Z A J N

Wyplatane koszyki będą hitem tego lata, ogłosiły modowe wyrocznie. Od kilku sezonów tradycyjne rzemiosło przeżywa renesans, dzięki czemu wymierające zawody, jak plecionkarstwo, mają szansę na drugie życie.

## Co ty pleciesz

**C**zas, gdy wiklina kojarzyła się Polakom „babciowato”, minął, teraz zdobi modnie urządzone pokoje dziecięce, łazienki, salony. – *Przeskalowane klosze lamp, szerokie fotele z podnóżkami, ażurowe półki, delikatne etykiety z wikliny pasują nie tylko do wnętrz w stylu prowansalskim, rustykalnym, marynistycznym czy boho. Dobrze wyglądają w klasycznych, modernistycznych i w tych bardziej nowoczesnych projektach. Jeśli tylko nie pójdzie się w „total look”, jaki lubiły nasze babcie, a wybierze jeden wiklinowy akcent, wewnątrz nabierze lekkości, subtelności* – mówi Marta Tryczyńska, projektantka wnętrz i ogrodów.

Sprowadzane z Azji dodatki wyplatane z hiacyncu wodnego, rattanu, rafii, bambusa można co prawda kupić w popularnych sieciówkach, jednak znawcy trendów wolą promować rodzime rękodzieło. Dlatego gdy w środku pandemii Magda Jagnicka, stylistka i redaktorka mody, dowiedziała się, że właściciel jednego



### Grażyna Morek

– dziennikarka prasowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl”, zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

z najstarszych w Warszawie sklepów z wikliną likwiduje biznes, ruszyła z instagramowo-facebookową odsieczą. Jej posty zmobilizowały internetową społeczność, przez sklep przewinęło się kilkaset osób i magazyn opustoszał. Można było odetchnąć, że towar już nie zalega, zdać klucze, ale stało się inaczej. – *Postanowiliśmy przejść interes po dziadku i uratować od zapomnienia wikliniarstwo rzemiosło* – opowiadają **Anna Borecka** i **Katarzyna Nejman**, graficzka i aktorka, a od niedawna zawodowe „koszykarki-plecionkarki”. Wspólnie prowadzą sklep Siostry plotą przy placu Hallera na warszawskiej Pradze. Organizują też regularnie warsztaty z wikliniarstwa, przywracając w ten sposób dawne zwyczaje, gdy kobiety spotykały się wieczorami, by wspólnie coś robić: śpiewać, haftować, szydełkować (zapraszają również mężczyzn). Właśnie napisały poradnik o wiklinie, w którym historia przeplata się z teraźniejszością. – *Dla kogoś nawet średnio biegłego w pracach manualnych wiklina może okazać się „game changerem”*. Poza wartościami rzemieślniczymi *wyplatanie to piękna forma medytacji, która niejednokrotnie nam pomagała* – opowiadają.

Kontynuują narodową tradycję i łączą ją z nowoczesnym zacięciem: jeszcze sto lat temu Polska była największym w Europie producentem wikliny, powszechnie używano jej w gospodarstwach wiejskich i na salonach. Wyplataniem trudnili się mieszkańcy wsi i miasteczek położonych nad rzekami – na podmokłych terenach najlepiej rosły wierzby, a wiklina to nic innego jak wierzbowe witki. Tajniki fachu przekazywano sobie w rodzinach z pokolenia na pokolenie. Z czasem powstały szkoły zawodowe, ale zamknięto je pod koniec lat 90. Dopiero od kilku lat znów jest możliwość kształcenia w zawodzie koszykarz-plecionkarz, np. na kursach w Łowiczu.



**A**nna Borecka i Katarzyna Nejman chcą, by ich rodzinna historia toczyła się dalej. Obecnie Ania ma już tytuł czeladniczki (Kasia czeka na egzamin), a w przyszłości myślą o egzaminie mistrzowskim. We współczesnym dizajnie i we współpracy z architektami wewnątrz widzą przyszłość polskiej wikliny. W kolejnych projektach zamierzają też eksperymentować i łączyć ją z innymi naturalnymi materiałami: rogożyną, słomą. – *Obie spałyśmy w wiklinowych kołyskach, w których teraz drzemią nasze dzieci, zabawki trzymałyśmy w wiklinowych kufrach, a lalki w wiklinowych wózekkach i łóżeczkach. Podobne teraz sprzedajemy u siebie. Dawniej spłoty i modele były charakterystyczne dla danych regionów, dziś to się miesza, dochodzą też określone mody, np. na kosze z uszami czy w kształcie owoców do pokoi dziecięcych* – tłumaczą.

I na koniec ciekawostka: niedawno na Pustyni Judzkiej w środkowej części Izraela archeolodzy odkryli wyplatany kosz, którego wiek oszacowali na 10,5 tys. lat. To dowód na to, że plecionkarstwo jest jednym z najstarszych rzemiosł na świecie. Dzięki młodym zdolnym rzemieślnikom jest szansa, że moda na plecionki nie przeminie. ■

# Różowa bomba atomowa

WIRAL

Z jednej strony plastikowa różowa trzpiotka, z drugiej ponury „niszczyciel światów” – jednoczesna światowa premiera filmów „Barbie” i „Oppenheimer” to sytuacja komiczna, której internauci nie mogli przepuścić.

21 lipca 2023 r. na ekrany kin wejdą dwa bardzo różne filmy – biograficzny dramat w reż. Christophera Nolana o człowieku, który stworzył bombę atomową, i aktorska wersja przygód słynnej lalki, za którą odpowiada Greta Gerwig. Internetowi siewcy zamętu próbowali początkowo rozgrywać te skrajności przeciwko sobie („chłopacki” Nolan, „dziewczęca” Gerwig), ale okazało się, że przeciwieństwa się przyciągają. Okazało się również, że „Barbie” porusza wątki egzystencjalne. „Jeden z tych filmów zmagają się z konceptem śmierci. Drugi to »Oppenheimer« – żartowała Cindy White z AV Club. Sieć załapały memy, fotomontaże zdjęć Barbie i Oppenheimera (sprawę ułatwiło to, że oboje paradują w kapeluszach) i przeróbki zwiastunów (z różową chmurą bomby atomowej). Motywy błyskawicznie trafiły na T-shirty



zarówno w rękoźmielniczym serwisie Etsy, jak i chińskim bazarze internetowym AliExpress.

To przykład ciekawej synergii – rozbuchana kampania reklamowa „Barbie” zwiększyła zainteresowanie filmem Nolana, który z oczywistych powodów nie mógł wejść w umowy reklamowe z producentami kosmetyków czy wypuścić serii zabawek. W dobrym guście jest obejrzeć oba filmy w dniu premiery. Tak jak Tom Cruise, który zapozował na Twitterze z biletami na oba, przypominając przy okazji, że na ekrany trafia też siódma część „Mission

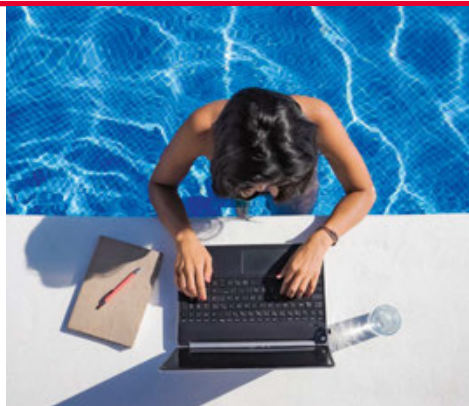
Impossible”. Z wejściówkami na „Oppenheimera” pokazały się Gerwig i Margot Robbie, odtwórczyni roli Barbie; również grający Oppenheimera Cillian Murphy zachęcił do obejrzenia obu filmów.

Cóż, w czasie kryzysu kina spowodowanego pandemią i ucieczką widzów przed telewizory, filmowcy muszą trzymać się razem – a nic nie przyciąga do kin bardziej niż takie kulturowe fenomeny, jak „Barbenheimer”.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

## Wakacje w pracy

Wakacje to okres wolny od pracy i zwykłych zobowiązań. Choć jasnych podziałów w tej sferze coraz mniej, szczególnie od czasu pandemii, kiedy praca zdalna i zwykłe życie mieszały się w naszych domach swobodniej niż dotąd. Albo ze względu na wygodę pracy na odległość próbowaliśmy wykonywać zlecone nam zadania w podróży, niczym – nie przymierzając – David Attenborough albo Krzysztof Kolumb. Wprawdzie pierwsze wzmianki o workation – czy też, w spolszczeniu: pracowakacjach – pojawiły się w Polsce już przed kilkoma laty, od trzech lat słowo występuje częściej. A pracownicy nie tylko ośmielają się wyruszać do pracy na Teneryfę (Twitter: „Weszląm na klif. Sama. #pracowakacje”) czy na polską prowincję (również Twitter: „Wyjeżdżam na workation do rodziców na odludzie i będę pływać kajakami, chodzić po lesie, jeść pyszne pomidory, czytać książki i jeździć nad morze”), ale jeszcze oczekują uregulowania tej formy pracowypoczynku. W specjalistycznych poradnikach zaczęto już pracowakacje dzielić na krótko- i długoterminowe, pojawiło się określenie „cyfrowi nomadzi”, coraz większa grupa państw wydaje wizy na pracę zdalną.



Jak to bywa z językiem, rzecz można interpretować dwojako. Albo jako chęć wyrwania się z pracy tak przemożną, że pasja podróżnicza spycha w nas zawodową rutynę na dalszy plan, albo jako ekspresję pracoholizmu i kultury pracy późnego kapitalizmu (coraz częściej opisywanej w Polsce jako „kultura zapie... olu”), która każe być zawsze w pracy, bez względu na aktualne miejsce pobytu. Nie należy mylić *workation* z *workstation*, czyli sta-

cją roboczą albo terminalem, który w wypadku różnych grup zawodowych oznacza trochę co innego – ale zazwyczaj to, co ogląda od poniedziałku do piątku przed sobą. W wypadku niżej podpisanego jest to komputer z monitorem. Wprawdzie w momencie publikacji nie mam go przed sobą, ale to dlatego, że próbowałem uniknąć pracowakacji i oddać niniejszy tekst przed urlopem. Jeśli go Państwo czytają, oznacza to, że da się jeszcze te dwa życiowe tryby rozdzielić.

BARTEK CHACIŃSKI

### MÓWIĄ RYMY

Ej, one night, Palma Jumeirah, życie ze mną jest jak na feriach  
Zbyt jesteśmy niepoprawni, by nakręcono o nas serial

**Kizo, Taxi, 2023 r.**

Palma Jumeirah = Palma Dżamira, sztuczna wyspa w Dubaju

SŁOWO

# Próbować, zostawić, odpuścić



RELACJE

Może najważniejszą życiową lekcją, jaką możemy odebrać z naszych porażek, jest po prostu pokora?

O bjadzowe Muzeum Porażki powstało w Szwecji w 2017 r. Ekspozycja cieszy się dużym zainteresowaniem, a składają się na nią przedmioty, które nie odniosły rynkowego sukcesu, „Frankensteiny innowacji”. Na przykład Nokia N-Gage – połączenie telefonu komórkowego i przenośnej konsoli do gier, porażka marketingowa sprzed równo 20 lat. Twórca muzeum, psycholog **Samuel West** (na fot. prezentuje elektroniczną maseczkę upiększającą – jeden z eksponatów szwedzkiego muzeum), podkreśla nieustannie, że jedynym sposobem na zamianę porażki w sukces jest wyciąganie wniosków i nauka. To, że różne niepowodzenia są nieodłączną częścią procesu edukacji czy rozwoju, jest tezą tyleż prostą, co oczywistą. Czy z tego wynika jednak, że każda porażka jest tylko etapem na drodze do kolejnego zwycięstwa?

Celebryci często dzielą się w mediach najtrudniejszymi, niekiedy bardzo osobistymi historiami po to, aby podkreślić, jak ich to zbudowało, jak przekuli swoje wizerunkowe upadki w pogłębienie świadomości, większy dobrostan czy lepsze relacje.



**Cveta Dimitrova** – ukończyła filozofię na UW i Studium Psychoterapii w Laboratorium Psychoedukacji. Założycielka ośrodka „Znaczenia. Psychoterapia”, współautorka podcastu „Nasze wewnętrzne konflikty” w TOK FM.

W portalach poppsychologicznych coraz częściej pojawiają się niosące złudną ulgę historie, które – choć rzekomo otwarcie mówią o tym, co niełatwe – w gruncie rzeczy mają wizję koniecznego postępu mającego gdzieś na horyzoncie. Tak jakby porażka i sukces musiały koniecznie współwystępować jako swoje wzajemne dopełnienia. I jakby z natury tkwił w porażce jakiś głębszy sens, uzasadnienie. Nawiąsem mówiąc, pierwowzorem Muzeum Porażki było Muzeum Zerwanych Związków w Zagrzebiu. Ciekawe, jak wyglądałoby muzeum rozpaczy, uczuć zapomnianych czy bliżej nieokreślonej tęsknoty? Inaczej mówiąc – muzeum wszystkiego, co się nie zdarzyło, co nam się nie udało, co nie stanowi alternatywnego scenariusza naszego życia.

Tak czy inaczej, o ile można się życzliwie pośmiać z tych muzealnych eksponatów – choćby z naśladującej Monopoli gry planszowej autorstwa... Donalda Trumpa – o tyle z różnymi stratami w życiu nie zawsze możemy, potrafimy czy chcemy się pogodzić. Są to wprawdzie doświadczenia, które budują naszą tożsamość, ale przecież nigdy nie będziemy na pewno wiedzieli, czy rzeczywiście uczyniły nas one „lepszymi”. Po prostu nie z każdego przeżycia musi płynąć jakaś lekcja, jakaś nauka. Przekonanie zaś, że z trudnych doświadczeń zawsze trzeba wyciągnąć wnioski, można interpretować jako maniacką próbę zaprzeczenia utraci, sposób na ochronę przed bólem, który porażce – czy w ogóle najrozmaitszym trudnym przeżyciom – nieodłącznie towarzyszy. Choć słynne powiedzenie Becketta: „Fail again, fail better” (Ponawiać porażki, ponosić je lepiej) stanowi całkiem realistyczne rozpoznanie ludzkiej kondycji, stało się kolejnym instrumentem do mobilizacji, zbierania sił, kroczenia naprzód. A może *fail better* znaczy również: przestać próbować, zostawić, odpuścić? Bo czy porażka może być lepsza lub gorsza?

**Nokia N-Gage** to przykład o tyle ciekawy, że przeminęły już czasy świetności nie tylko tego konkretnego modelu, ale i całej firmy, ongiś będącej symbolem sukcesu. W przypadku fińskiego producenta, komercyjna pomyłka nie spełniła więc funkcji stymulatora późniejszych triumfów. Była po prostu nieudaną próbą innowacji, z której nic korzystnego nie wynikło. No właśnie – niepowodzenia współtworzą nasze życia, ale wcale nie muszą być preludium do czegokolwiek. A tym, co się nie udało, może być także to, co w ogóle nigdy nie zaistniało. Inny pomysł, bardziej korzystny wynik, większe powodzenie, pełniejsza relacja.

Może więc najważniejszą życiową lekcją, jaką możemy odebrać od takich czy innych niepowodzeń, jest po prostu pokora? Pokora wobec tego, że, jak mawiała klasyczka, „żyjąc tracimy życie”? Tracimy szanse, umiejętności, inne warianty losu; nadzieje, które nigdy się nie ziszczą; to, co wydaje nam się, że być powinno, zamiast tego, co jest.

Ból niekiedy uczy, ale nie pojawia się po to, żeby uczyć. Pojawia się po prostu – bo jesteśmy istotami, które czują, pragną, marzą, potrzebują. Życie jest zarówno sukcesem, jak i porażką, zestawem rzeczy, które udały się i nie udały równocześnie. ■

# Ojciec, nie prać!

Pralkę odstawić w kącie, ubrania i bieliznę nosić po kilka dni bez czyszczenia, ale można je często wietrzyć.

Ruch *no wash* rozpala emocje, ale jest dobry dla środowiska i portfela.

**Z**awartość szafy potrafi bardzo wiele powiedzieć o właścicielu – jaką ma pracę, czy jest zamożny, czy ma dzieci, czy goni za trendami, czy raczej jest wyznawcą cyrkularności w modzie, czyli rzeczy kupuje w szmateksach i wymienia się nimi ze znajomymi. A co powiedzą nawyki związane z praniem tego całego tekstylnego dobytku? Pewnie równie wiele – tyle że akcja czyszczenia ubrań, kosze z przechodzonymi ubraniami ani suszarki z czystymi nie trafiają na social media. Są mało seksowne, nie można wokół nich zbudować narracji o udanym życiu ani budować na nich prestiżu. Mieszczańskie dziedzictwo jeszcze z czasów przedoświeceniowych każe wszak prać brudy w domu i nie afiszować się z tym rytuałem.

Na Instagramie normalizuje się tylko lekki bałagan, po latach sprzątanania i układania, nawet słynna guru *declutteringu* Marie Kondo odpuściła sobie perfekcyjny ład. Rytuały czystości to jednak coś innego – wyłamanie się z nich to balansowanie na linie tego co akceptowalne społecznie. Ruchu *no wash*, czyli po polsku *bezpranowego* nie zainicjowali jednak abnegaci. Coraz popularniejsze, szczególnie w krajach anglosaskich, zjawisko polega na tym, że pierzemy rzadziej i świadomiej, racjonalnie podchodząc do zasobów takich jak woda czy prąd. Już w roku 2019 popularna i wpływowa projektantka mody Stella McCartney mówiła, że „jeśli nie muszę koniecznie czegoś czyścić, to tego nie robię. Nie noszę codziennie nowego biustonosza i nie wrzucam do pralki rzeczy tylko dlatego, że raz ją miałam na sobie. Niesamowicie dbam o higienę osobistą, ale nie jestem fanką pralni chemicznych, ani pralni w ogóle”.

**R**uch *no wash* to dziecko wielu rodziców – pandemii, która zrewidowała podejście do wielu aspektów życia, w tym tego domowego, inflacji oraz świadomości ekologicznej. Ta ostatnia oznaczała do tej pory, że używamy do prania orzechów lub własnoręcznie zrobionych proszków do prania, ustawiamy też niższą temperaturę wody. Dziś zielone sumienie każe uważnie ocenić czystość ubrania, zanim włożymy je do pralki.

Dotyczy to przede wszystkim dżinsów, zrobionych z bawełnianej tkaniny zwanej denimem, którą pranie powoli niszczy. I to ich fani zapoczątkowali ruch *no wash*. Oczywiście w dzisiejszych czasach jeśli coś robimy w domowym zaciszu, to tak jakbyśmy nie robili tego w ogóle, dlatego powstał konkurs Indigo Invitational, który polega na tym, kto lepiej „znosi” swoją parę dżinsów. „Znosi”, czyli po prostu nie będzie prać przez kilkanaście tygodni, a najlepiej rok. Jedna z marek szyjących denimowe spodnie zrobiła nawet porównanie zużycia wody i produkcji śladu węglowego – w skrócie



## Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

to jednostka oznaczająca, jak bardzo zatrujemy środowisko. W obliczeniach brały udział spodnie prane raz na tydzień (tzw. zwykłego producenta) oraz te prane pierwszy raz po pół roku noszenia, a potem raz na miesiąc. Te „brudniejsze” pozwalają zaoszczędzić w ciągu 4 lat aż 952 litry wody i generują ok. 70 proc. mniej śladu węglowego. Cytowani przez „The Guardian” wyznawcy *no wash* zdradzają, że spiskują ubrania odświeżającym sprejem, nie piorą ich od razu po zakupie, albo po prostu zostawiają na nocne pranie w chłodnej wodzie.

Inny patent znaleziony w przepastnych zasobach internetu to noszenie wełny i wietrzenie jej co wieczór, branie prysznic w bieliźnie, chodzenie po domu w kostiumie kąpielowym, a przede wszystkim zaufanie własnemu nosowi.

Dosłownie – bo jeśli coś nie pachnie brzydko, to nie trzeba tego czyścić. W obliczu panującej kolejnej rory suszy to może być ten jeden mały gest, jaki zrobimy dla Ziemi, cichej beneficjentki ruchu *no wash*. Nasza planeta jest wszak błękitna, a nie śnieżnobiała. ■



Singletracki – wąskie, przemyślnie zaprojektowane i poprowadzone ścieżki. To dla nich usypano góry. Dla nich wynaleziono rower górski.

## Szukać płynności, znaleźć flow

**P**o co jeszcze wymyślono singletracki? Po to, żeby zwiększyć zawartość góry w górze. Te inteligentnie poprowadzone jednokierunkowe ścieżki tak sprytnie wiją się po wzniesieniach, tak trawersują zbocza, otwierają się i zamykają na krajobraz, że czasem prowokują wrażenie, że góra dostała nowych wymiarów – jakby rozrastała się fraktalnie, szczelniej niż inne obiekty wypełniając trzy wymiary.

Wymyślono je po to, by raz na zawsze wyjaśnić, na czym polega różnica między energią potencjalną i kinetyczną – oraz jak są ze sobą nierozłącznie związane. Jedna zawsze zmienia się kosztem drugiej. W tym kontekście wspinanie się pod górę to zatem nie zwykły mózół, a inwestycja. Proces zdobywania kapitału energii, którą można twórczo wykorzystać podczas zaskakująco długiego zjazdu.

Trasy sztuczne, utwardzone, zaprojektowane z myślą o prędkości, dają szansę dotrzeć do punktu startu możliwie bezboleśnie. Stamtąd wiodą w dół, a kolejne, lekkie już podjazdy służą temu, by paroma obrotami pedałów tylko uzupełnić pęd i szukać płynności – znaleźć flow. Trasy naturalne są zwykle bardziej wymagające, każą doskonalić technikę pokonywania kamieni i korzeni.

Single tworzy się po to, by uczynić niemal namacalną bardzo szczególną zasadę względności. Nawet niewielka prędkość na biegnącej przez las wąskiej, nierzadko dwudziestocentymetrowej ścieżce, daje wrażenie pędu, nieosiągalne na zwykłej drodze – i na otwartej przestrzeni.

Singletracki wynaleziono również po to, by uświadomić, jak ważne są interakcje sił. Na przykład tej odśrodkowej i grawitacji. Sprawne pokonanie profilowanego zakrętu (bandy) możliwe jest tylko po osiągnięciu dostatecznej prędkości, wybraniu toru dalekiego od pierwotnej intuicji, blisko górnej krawędzi – i zaufaniu,



**Karol Jałochowski**  
– fizyk, w POLITYCE kieruje działem Nauka/projektspulsar.pl, autor filmowej serii dokumentalnej „Pionierzy” i książki „Heretycy, buntownicy, wizjonerzy”. Wioślarz i rowerzysta.

że bezwładność robi, co do niej należy. Nie inaczej jest z hopkami i gapami. Już odrobina techniki wystarczy, by drobna rowerzystka i zwinny rowerzysta ośmieszył Newtonowskie wysiłki całej masy kuli ziemskiej.

Przy okazji okazuje się też, że grawitacja działa identycznie na rower kupiony za trzy i za sześćdziesiąt trzy tysiące złotych. Wprawdzie udowodnił to już Galileusz, zrzucając różne przedmioty z wieży, ale na singlach prawo to uwidacznia władzę absolutną. Bardziej liczy się praca ciałem niż detale techniczne. Klasa sprzętu ma oczywiście znaczenie, rolę grają zawieszanie, hamulce, opony, ale przede wszystkim na trasach o wysokim, a zwłaszcza bardzo wysokim poziomie trudności. Pozostałymi trasami mogą się cieszyć wszyscy.

Singletracki wymyślono jednak przede wszystkim po to, żeby raz na zawsze rozwiać wątpliwości co do tego, że rower jest najwspanialszym wynalazkiem ludzkości. Zaprzęga prawa fizyki w służbę człowiekowi efektywnie i efektownie jak żaden inny twór jego rąk i umysłu (może wyłączywszy łódź wiosłową). To dla niego wymyślono koło. Za dwadzieścia, trzydzieści lat będziemy wyznaczać singletracki na Marsie i Księżycu. ■

**Singletracki** można dziś znaleźć w niemal każdych górach świata. Kiedyś przygotowywali je entuzjaści, nierzadko wbrew, ale dziś coraz częściej z pomocą lokalnych władz, czasem również przy wykorzystaniu funduszy unijnych. Niektórym z nich towarzyszą wypożyczalnie rowerów i sprzętu ochronnego, a nawet osie łączki do ćwiczeń.

W Polsce prawdopodobnie największe nagromadzenie singletracków występuje na Dolnym Śląsku, gdzie tylko w ramach projektu Singletrack Glacensis powstało blisko 30 zróżnicowanych, pięknych tras. Widziano ponoć, jak pętla wykręcała mieszkająca w Kotlinie Kłodzkiej noblistka.

Reguły korzystania są proste. Są single legalizowane i nie, bezpieczniejsze korzystać z tych pierwszych. Niektóre prowadzą przez tereny o podwyższonych walorach przyrodniczych, więc: nie można na nich śmiecić, hałasować i opuszczać trasy. W porze roztopów i silnych deszczy nawierzchnie ulegają uszkodzeniu: nie jeździć. Widząc nietypową, nieplanowaną przez projektantów przeszkodę (kamień, gałąź): usunąć lub zgłosić. Ustępować szybszym. I stać tylko poza ścieżką.

# Wina pudelkowe

Odkąd wino zaczęło się stawać towarem luksusowym, lajfstajlowym i medialnym – czyli od jakichś 15 lat – gwiazdy i celebryci postanowili i w tej dziedzinie uszczknąć dla siebie kawałek tortu.

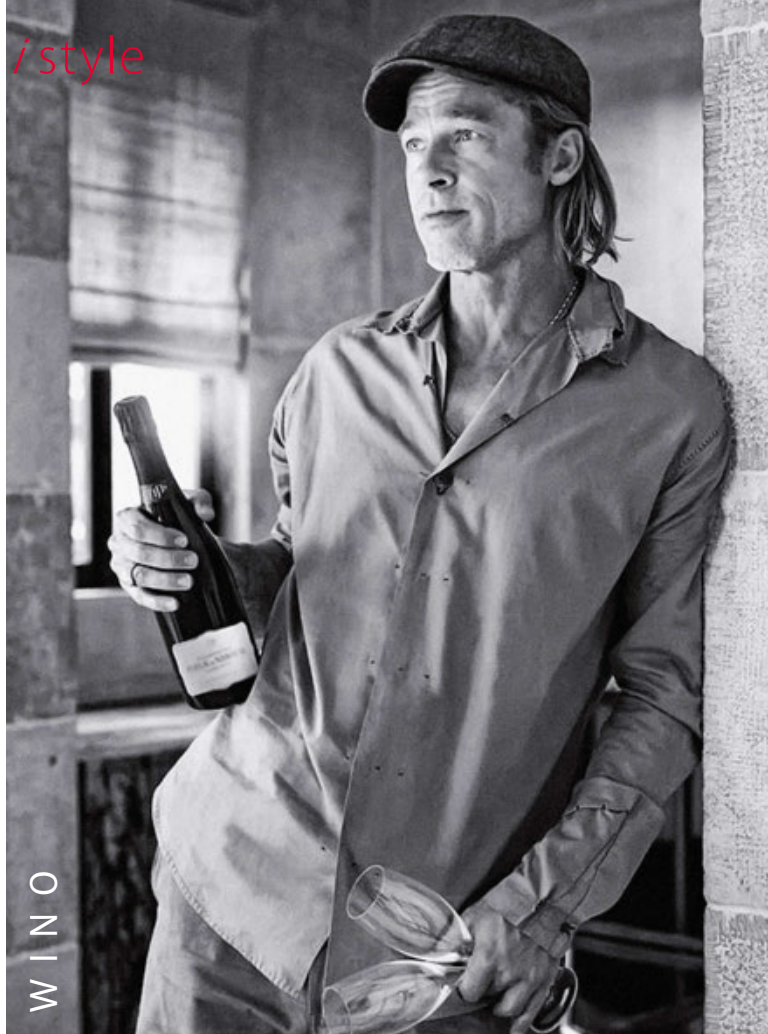
**R**ok temu Sting zaśpiewał na Stadionie Narodowym w Warszawie. Kilka godzin wcześniej odbył się inny występ. W palarni hotelu Raffles Europejski grupie dziennikarzy pokazano wina Stinga, bo Sting robi wino – od 1999 r. w toskańskim majątku Il Palagio. Po długim oczekiwaniu piosenkarz wpadł, wygłosił kilka ogólników i po zapoznaniu do zdjęć stwierdził, że musi już lecieć. Nieco więcej czasu spędziliśmy z małżonką artysty Trudie Styler, która w wino w Il Palagio angażuje się bardziej. Najciekawsze jednak było to, że... nie spróbowaliśmy żadnego wina. Bo przecież nie chodzi o to, jak smakuje (podobno nieźle), wystarczy, że robi je Sting.

Była to opowieść „wino i celebryci” w pigułce. Odkąd wino zaczęło się stawać towarem luksusowym, lajfstajlowym i medialnym – czyli od jakichś 15 lat – osoby znane z tego, że są znane, postanowiły uszczknąć dla siebie kawałek tortu.

Mamy więc wina Invivo sygnowane przez Sarę Jessie Parker i Prosecco siostrzycy Delevingne, wina robią aktorzy Kurt Russell i Sam Neill (on akurat świetnie, w Nowej Zelandii), zaś Snoop Dog związał się z jedną z najpopularniejszych marek w Ameryce – 19 Crimes. Inny raper Jay Z popijał ongiś publicznie luksusowego szampana Cristal, windując jego sprzedaż wśród pokolenia Z. Potem jednak pokłócił się z właścicielami – firmą Roederer i oskarżył ich o rasizm, by wkrótce wylansować własną markę Ace of Spades, na której na pewno wzbogacił się bardziej niż na Cristalu.

No i mamy wreszcie wzorzec z Sèvres wina celebryckiego, czyli Miraval – Brada Pitta i Angeliny Jolie. Małżonkowie wypatrzyli prowansalską posiadłość pełną lawendy, drzew oliwnych i winorośli w 2007 r. Wkrótce, we współpracy z rodziną Perrin (słynne wina Beaucastel), zaczęli butelkować w Miraval wino – jak przystało na Prowansję – różowe. Smak był zacny, cena akuratna, resztę zrobił globalny glamour związany z „Brangeliną” – Miraval stał się jedną z najlepiej sprzedających się marek na świecie. Rok przed rozstaniem pary obroty firmy przekroczyły 50 mln dol. Teraz, jak wiadomo, ognistą miłość między Angeliną a Bradem zastąpiła gwałtowna nienawiść, której obiektem stało się też prowansalskie chateau. Jolie sprzedała swoje w nim udziały rosyjskiemu miliarderowi, na co Pitt odpowiedział pozwem. Sprawa trwa, ku uciesze bulwarowej prasy i księgowej, bowiem sprzedaż win Miraval bije kolejne rekordy.

Zupełnie inny rodzaj wina celebryckiego reprezentuje Cameron Diaz, która wylansowała markę Avaline pod hasłem „naturalności”. Na zadawane od trzech lat przez dziennikarzy pytania o szczegóły biuro prasowe Avaline nie zdołało jeszcze odpowiedzieć



**Wojciech Bońkowski**

– pierwszy polski Master of Wine. Współtwórca portalu Winicjatywa i pisma o winie „Ferment”.

(w smaku nie są to żadne wina naturalne, o których pisałem POLITYKA 22/23, lecz zwykłe przemysłówki). W międzyczasie jednak ludzie to kupili – łącznie za 20 mln dol. Trend wellness to bowiem żyła złota, z której garściami czerpie też Gwyneth Paltrow z marką Goop. Pod tą nazwą nie kupicie jednak wina, bo aktorka w (deklarowanej) trosce o zdrowie rzuciła wszelki alkohol, choć wcześniej należała do największych miłośniczek wina w Hollywood.

Na pierwszą celebrytkę winiarską awansowała tymczasem Kylie Minogue. Jej odwiedziny na niedawnych targach winiarskich ProWein wywołały sensację. Nie tylko dlatego, że Kylie w odróżnieniu od Gwyneth nie jest tak wyniosła i opowiadała o swoim zaangażowaniu w winiarstwo z naturalną swadą. Winiarskim współpracownikiem Minogue jest bowiem rynkowy ekspert Paul Schaafsma, który jak nikt rozpoznaje trendy. Pod nazwiskiem piosenkarki pojawiło się więc różowe wino z Prowansji, musujące Prosecco, Chardonnay z Australii oraz... bezalkoholowe „wino” różowe robione m.in. z białej herbaty – to niszowa, ale bardzo szybko rosnąca kategoria.

No i po konferencji Minogue i Schaafsmy wina do degustacji owszem odkorkowano. I wiecie co? Okazały się całkiem smaczne...

**Kylie Minogue Alcohol Free Sparkling Rosé**, ok. 10 euro (internety zagraniczne)

**Avaline Red**, ok. 25 euro (internety zagraniczne)

**Tenuta Il Palagio Sister Moon**, 296 zł (sklep-domwhisky.pl)

**P**rof. pedagog Aleksander Nalaskowski uczy, jak po chrześcijańsku pisać o przeciwniku politycznym: „Po raz pierwszy kłamstwo zyskało konkretną postać. (...) tym razem ma ciało i wygląd. Ma przerzedzoną rudawą fryzurę, złe oczy, lekko sepleni i nie wymawia »r«. To kłamstwo nacechowane wszechstronnością, elokwencją, a niekiedy nawet poczuciem humoru. Innym razem knajackie, głupawe, a nawet wulgarne. To kłamstwo, do którego mamy się przyzwyczaić, bo gdy wygra jesienią, stanie się naszym powietrzem”. Ciało powietrzem się stanie. Tak kończą kiepskie metafory.

**W** „Do Rzeczy” felietonista Dariusz Wiromiejczyk zwraca uwagę na słowa prezydenta: „Zaskakującą opinię wypowiedział ostatnio prezydent Andrzej Duda. »Jak dzikie zwierzę pożre człowieka, to trzeba je po prostu upolować i zastrzelić, bo przyzwyczajają się do ludzkiego mięsa. Tak samo jest z Rosją« – oświadczyła, w rozmowie z ukraińskim dziennikarzem, głowa naszego państwa. Trudno doprawdy zrozumieć, co pan prezydent miał na myśli. Upolowanie i zastrzelenie wielkiego kraju nie udało się dotychczas nikomu w dziejach. (...) Machina propagandowa Putina potrzebuje skutecznego paliwa. Dlaczego dostarcza go jej polski prezydent?”. Bo nie wierzy, że jego słowa coś znaczą.

**K**ataryna w „Plusie Minusie” ostro o sprawie francuskich zamieszek: „[Posłowi KO Frankowi] Sterczewskiemu łatwo przychodzi usprawiedliwianie zwykłego bandytyzmu nieskutecznym systemem integracji, dzięki czemu zwykłych bandytów może awansować na ofiary kosztem prawdziwych ofiar tych zamieszek – spokojnych obywateli, na których wyżywa się sfrustrowana tłuszczka. Jeśli komuś bardziej żal napadających niż napadanych, to jest po prostu użytecznym idiotą ideologii zbudowanej na ignorowaniu oczywistości. (...) Jeśli można się uczyć

czegoś na złych doświadczeniach innych, to naprawdę warto”. Słabo nam to zwykle wychodzi.

**A**rtur Dziambor, poseł wyrzucony z Konfederacji, na pytanie: „Jaki będzie los Konfederacji?”, mówi („Rzeczpospolita”): „Powiększy swoje poparcie, ale wcale nie tak bardzo, jak się niektórym wydaje. Konfederacja jest zlepkiem różnych środowisk, które wzajemnie sobie ciążyą. Poza tym to była partia ideowa, która teraz stara się o masowego odbiorcę. To dlatego Sławek Mentzen wszystkie idee Korwin-Mikkego, np. o likwidacji podatków, obrócił w żart. O wyjściu z Unii Europejskiej nie mówi już nawet Ruch Narodowy, bo ludzie, którzy przyplývają teraz do Konfederacji, są za naszą obecnością w Unii. Dlatego oni zawsze będą się męczyli, jak odpowiadając na pytania, nie obrażając nikogo z elektoratu”. Przecież oni lubią obrażać elektorat.

**A**ndrzej Stankiewicz („Newsweek”) zagląda za kulisy: „W nieoficjalnych rozmowach Tusk mówi swoim ludziom wprost: żadnych liberalnych manifestów, żadnych wypowiedzi zrażających duże grupy wyborców. Celem jest wygrana z Kaczyńskim – za każdą cenę. Tusk mówi swym ludziom także, że nie będzie szukał populistycznych tematów do wojen z PiS. Ale jeśli takie wojny rozpęta Kaczyński, to dostanie w odpowiedzi populizm wysokokaloryczny. Tusk wie, że jego elektorat – nawet jeśli liberalny – wybaczy mu nawet nadmiar kalorii, byle tylko rozbił PiS”. Ponoć historię piszą zwycięzcy.

**W** rozmowie dla wyborczej.pl prof. Anna Siewierska-Chmaj zwraca uwagę: „Jarosław Kaczyński [deklaruje, że] musi mieć jeszcze dwie kadencje, żeby wyprowadzić Polskę... No właśnie, z czego? Z tego, gdzie ją zaprowadził przez ostatnie osiem lat? Należy cały czas przypominać Jarosławowi Kaczyńskiemu, bo by może nie zauważył, że to oni mają rządy od ośmiu lat. Wszystko, co się w Polsce wydarzyło przez te lata, także to, że Polska rzeczywiście w niektórych kwestiach staje się krajem prowincjonalnym, to jego zasługa. (...) A jeśli chodzi o prawa osób LGBT czy kwestie praw człowieka, w tym prawa kobiet, to rzeczywiście przez te osiem lat myśmy szli w stronę prowincji. Ale szliśmy pod wodzą pana Jarosława Kaczyńskiego (...)”.

**A**utor rubryki „Przebłyśki” w „Przeglądzie” naśmiewa się: „Na Twitterze abp Jędraszewski napisał, że »człowiek wierzący nie może z czystym sumieniem głosować na ludzi, którzy nie szanują sakramentu małżeństwa«. Czyli wezwał wierzących, by broń Boże nie głosowali na Ryszarda Terleckiego, Marka Kuchcińskiego, Adama Bielana, Mariusza Kamińskiego czy Małgorzatę Gosiewską. To zresztą tylko wierzchołek wielkiej góry prawicowych rozwodników. Są jednak rozwodnicy bliscy sercu Jędraszewskiego. Przecież nie tak dawno osobiście dawał ślub kościelny Jackowi Kurskiemu, który po 24 latach unieważnił swoje pierwsze małżeństwo kościelne (...)”. Arcybiskup ma czyste sumienie, bo go nie używa?

Najdotkliwszym i najbardziej niebezpiecznym objawem toczącej nas choroby jest zobojętnienie wobec wszelkich prób dechrystianizacji Polski – Aleksander Nalaskowski, „Sieci”.



KOZA

© JANI KOZA

# CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

## Klinika ortopedyczna

### Szpital

operacje ortopedyczne ✦

## Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

## Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neurolizy współczulne ✦

blokady / neurolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

## Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

## Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

## Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

## Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców  
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

## Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

## Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

**CMS i Wracasz do gry!**

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.  
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

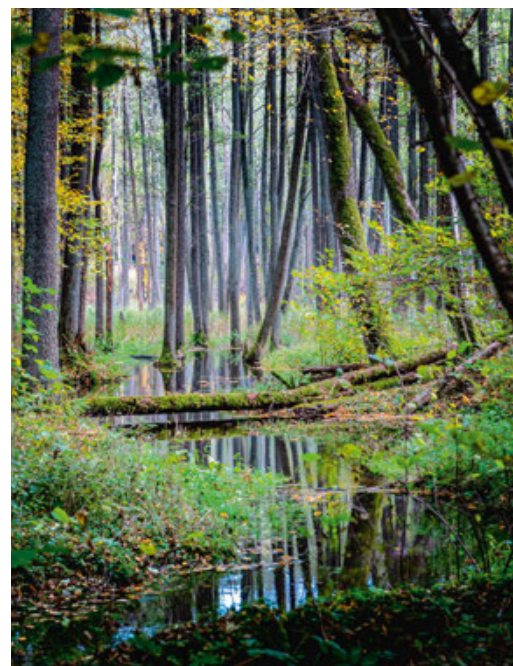
tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

# Leśniczówka Nibork – oaza spokoju



Fotografie: Paweł Rybaltowski, pawelybaltowski.com



Leśniczówka Nibork to magiczne miejsce. Na skraju Mazur i Puszczy Napiwodzko-Ramuckiej, z dala od cywilizacji, z dala od zgiełku wielkiego miasta, znajduje się urokliwy dom pracy twórczej: doskonały na weekendowy wypad lub na dłuższy urlop. Można tu poczytać (lub popisać, jak kto woli), pooddychać głęboko na zajęciach jogi, poznać lepiej swojego pupila na psich warsztatach, pospacerować leśnymi duktami, odpocząć i zapamiętać, że jest w ogóle jakiś inny świat.

Rabat specjalny **20%** na pobyty do 30.09.  
hasło: **POLITYKA**

**Leśniczówka Dom Pracy Twórczej Nibork**  
Las Miejski 1, Nidzica  
[www.nibork.com](http://www.nibork.com) | +48 695 020 236

 [facebook.com/LesniczowkaNibork](https://facebook.com/LesniczowkaNibork)